

Władysław Jarnicki

# Trzy białe goździki





Władysław Jarnicki

# TRZY BIAŁE GOŹDZIKI

Władysław Jarnicki

# trzy białe goździki



Książka i Wiedza
Warszawa
1962



Okładkę i stronę tytułową projektował
STANISŁAW ŻAKOWSKI

•

Redaktor
BOŻENA WILOCH

## Część I

# BRUN PRZEJMUJE SPRAWĘ

1. Kapitan Hubert Gren dziwnie nie miał szczęścia do urlopów. I tym razem, gdy właśnie szykowali się z Teresą do wyjazdu w góry, a walizki były już spakowane, na stoliku zaterkotał telefon. Przez kilka sekund Gren zastanawiał się, czy w ogóle podnieść słuchawkę. Już chciał wyjść, pozostawić ten natrętny dźwięk poza sobą; jednak poczucie obowiązku wzięło górę. Podszedł do stolika.

Ręka zawisła nad słuchawką. Telefon dzwonił bez wytchnienia jak na alarm. W pokoju rozlegało się denerwujące: drrrrrr ... drrrr, drrrrrrrrrr... drrrrrr... drrrrrr...

— Bodajby cię szlag trafił — zwrócił się bezosobowo do czarnego pudełka.

Podniósł słuchawkę.

— Słucham, Gren.

W głosie jego wyczuć można było hamowaną wściekłość.

— Dzień dobry, kapitanie, tu Kowalski. Myślałem, że już wyjechaliście.

— Nie, na moje nieszczęście, jeszcze nie.

— To dobrze. Wpadnijcie do Urzędu.

— Litości, szefie. A gdybym nie podniósł słuchawki?

— Brun już oczekuje was na dworcu.

— Cholera.

— Coś mówiliście?

— Nic, tylko tak sobie westchnąłem. Kiepska pogoda.

— Poczekajcie, już wysłałem po was samochód.

— Dobrze, zaczekam.

— Cześć!

— Do zobaczenia, szefie.

Gren ruchem pełnym zniechęcenia odłożył słuchawkę. Podszedł do okna. Deszcz stukał o szyby, jak gdyby na-

igrawając się z zawiedzionej miny kapitana. Z kuchni dobiegło wołanie Teresy:

— Co tam nowego?

— Nic, ale coś mi się zdaje, że trzeba będzie rozpakować walizki. Prawdopodobnie zostajemy.

— Czy coś poważnego?

— Nie wiem... I wcale nie jestem ciekaw...

— To w takim razie przygotuję obiad. Zgoda?

Na dole zawarczał motor samochodu. Gren podszedł do okna. Poprzez potoki deszczu przemknął zgięty wpół Kryspin. Hubert wybiegł do przedpokoju.

— Psia pogoda, kapitanie.

— Tak. Nie wiecie, Kryspin, czy zaszło coś nowego?

— Chyba tak, bo stary kazał was wykopać choćby z Zakopanego. Bruna nawet wysłano na dworzec, by was łapał.

— Wiem o tym. Poczekajcie, tylko założę płaszcz.

Wokół butów Kryspina utworzyła się nieforemna kałuża.

— Ale nachlapałem!

— Nie szkodzi.

Trzasnęły drzwi. Szybko zbiegli po schodach. Drogę dzielącą ich od zaparkowanego za rogiem samochodu przebyli biegiem. Deszcz wciskał się nieprzyjemnie za kołnierz. Płaszcz szybko nasiąkał wodą.

W parę minut później szary citroen zatrzymał się przed gmachem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Kapitan Gren dopadł wejścia. Wartownik przepuścił go, dając ręką znak, że nie trzeba okazywać legitymacji. Pułkownik Kowalski kazał widocznie uprzedzić wartownię. Gren, znając swego szefa, zrozumiał, że sprawa jest naprawdę pilna i ważna.

Sadził po kilka stopni w górę. Chciał jak najszybciej znaleźć się na drugim piętrze w gabinecie szefa. Tylko na chwilę zatrzymał się przed drzwiami, by wygładzić fałdy na przemokniętym płaszczu i poprawić opadający na oczy kosmyk mokrych włosów.

Wszedł do sekretariatu.

— Czy pułkownik jest?

— Tak. Wejdźcie. Czeka.

Nie zdejmując płaszcza, przeszedł do gabinetu dowódcy.

— A, to wy, kapitanie. Rozbierzcie się, siadajcie.

Pułkownik wyjął papierosy. Zapalili.

— Postanowiłem odwołać was z urlopu. Mamy nowe wiadomości związane ze sprawą „Rudego". Informacji na ten temat dostarczył nam WOP.

— Coś konkretnego? — spytał Gren.

— Niestety, nie bardzo. Ujęto przy przechodzeniu granicy podejrzanego osobnika. Ustalono, że utrzymywał kontakt szpiegowski między Warszawą a zagranicą, że w Warszawie działa dobrze zorganizowana szajka, której szef był najprawdopodobniej także szefem „Rudego" — i to chyba wszystko. Zresztą tyle wiedzieliśmy, a przynajmniej mogliśmy wywnioskować, i dotąd...

— Więcej ten łącznik nie chce zeznawać?

— Już nie może. Popełnił samobójstwo.

— Cholera! Ładnie go pilnowali.

— Zdarza się. Trudno...

Po chwili milczenia pułkownik ciągnął dalej:

— Wezwałem was jednak tak nagle z dwu przyczyn. Przede wszystkim fakt ujęcia teraz łącznika na granicy świadczy o ponownym ożywieniu działalności podziemia, które na jakiś czas zamarło po aresztowaniu „Rudego" i zlikwidowaniu jego „dwójek". Po drugie, wy, kapitanie, jesteście najlepiej zorientowani w tej całej historii. Tkwiliście w niej tyle czasu... Więc wam chcę powierzyć ciąg dalszy.

— Jeśli trzeba... trudno, zgoda.

— Jeszcze jedno: wskazówką dla was mogą być ostatnie słowa wydobyte od schwytanego łącznika: „Ale jego nigdy nie złapiecie".

— I to ma być podstawowym punktem zaczepienia? — zażartował Gren, ale zaraz spoważniał. — Mam pewne dane, zdobyte podczas przesłuchiwania „Rudego". Mógłbym na razie oprzeć się na nich. Myślałem tylko, że w czasie mego urlopu zajmie się tym kapitan Brun...

— Nie miejcie do mnie żalu. Rozumiecie przecież sytuację. Brun to zdolny chłopak, ale sam nie dałby rady. Co do dalszych poczynań — zostawiam wam na razie wolną rękę. A poza tym taki jest rozkaz — zakończył nieoczekiwanie opryskliwym tonem. I potem znów serdecznie: — Czy macie, kapitanie, jeszcze jakieś pytania?

— Nie. — Gren wzruszył ramionami i powstawszy skierował się do wyjścia.

— Jeszcze jedno, kapitanie. Wszystkie koszty poniesione w związku z nieudanym urlopem zostaną zwrócone. Przeproście w moim imieniu żonę.

Dochodziła piąta. Hubert schodził wolno, bardzo wolno, po wytartych stopniach. Zatrzymał się przed gmachem. Deszcz wciąż padał, choć teraz zmienił się w dokuczliwy kapuśniaczek. Gren przeszedł parę kroków. Nagle koło niego zatrzymał się samochód, uchyliły się drzwiczki.

— Wsiadajcie, kapitanie, podrzucę was do domu.

Ruszyli... Tłum przelewał się Targową, rozdeptując na chodnikach lepkie, ciastowate błoto. Samochód co chwila zwalniał biegu, by po wyminięciu jednej z wielu człapiących furmanek ruszyć dalej.

— No i co, kapitanie? Po co wzywał stary?

— Ciągle wlecze się ta sama sprawa...

— Ta, przy której tak dużo kołowaliśmy po mieście?

— Tak.

— To, jak czuję, będzie większa robótka — i z urlopu nici.

— No wiecie, Kryspin, mówiąc szczerze — sam jeszcze nie wiem.

Samochód zatrzymał się przed domem.

— Cześć, Kryspin, do zobaczenia.

Hubert wolno szedł po schodach. Cicho zgrzytnął klucz obrócony w zamku.

— Czy to ty, Hubercie?

— Tak.

— Zimno na dworze?

— Tak, kochanie.

— Zmień pantofle. Zaraz dam obiad.

Po chwili weszła z wazą pełną parującej zupy.

— Co z wyjazdem?

— Tak, jak się spodziewałem — odwołanie. Pułkownik bardzo cię przeprasza.

— Nie martw się. Może lepiej, że nie wyjechaliśmy. Trochę źle się czuję.

— Czy coś poważnego? — w głosie Grena zabrzmiał lęk i troska.

— Nie, normalne objawy.

Odetchnął z ulgą.

— A już zacząłem się martwić.

— Nie ma o co, głuptasie!

— Trzeba będzie rozpakować walizki. Po obiedzie połóż się, a ja pozmywam.

— Daj spokój, sama to zrobię.

— Jeżeli chcesz koniecznie, to powycierasz talerze. Na nic więcej nie pozwalam.

Zabrał się do zmywania.

Teresa patrzyła spod przymrużonych powiek na męża borykającego się ze ścierką. Postanowiła jednak zostawić go w spokoju, by nie urazić jego męskiej dumy. Pomyślała tylko: „Biedaku, ja już bym od godziny miała to wszystko pozmywane".

— Kochany jesteś — powiedziała — nie spodziewałam się, że „as kontrwywiadu" tak dobrze daje sobie radę również i w tej dziedzinie.

— Nie przesadzaj, maleńka. Od jutra zabieram się naprawdę do roboty.

## 2.

Od jesieni 1947 roku trwało uciążliwe dochodzenie w sprawie siatki kierującej „Rudym", niedawno aresztowanym „rezydentem" obcego wywiadu. „Rudy" dysponował na terenie województw warszawskiego, lubelskiego i białostockiego „dwójkami" — parami agentów. W skład każdej „dwójki" wchodził radiotelegrafista, przekazujący polecenie zagranicy dla „Rudego" i rozkazy „Rudego" do poszczególnych band dywersyjnych, oraz łączniczka między radiotelegrafistą a „Rudym".

Zdemaskowanie i rozbicie tej siatki, osłabienie działalności band było w znacznej mierze zasługą kapitana Huberta Grena z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie Sprawa jednak, wbrew pozorom, nie była ukończona. Pewne zeznania „Rudego" sugerowały Grenowi, że nie był on jedyną, a tym bardziej główną figurą na szachownicy obcego wywiadu w naszym kraju.

A więc kto działał poza nim?

Od chwili aresztowania „Rudego" rozpoczęto inwigilację cmentarza powązkowskiego, na którym miała się jakoby znajdować skrzynka kontaktowa przekazująca

wiadomości między nim a jego mocodawcami. „Rudy" pokazał miejsce, w którym była umieszczona, i sposób sygnalizacji, gdy jakieś materiały znajdują się w skrytce.

Otóż jeżeli „Rudy" zostawiał kopertę — kładł na płycie jednego z grobów trzy białe goździki, gdy zaś było dlań coś do odbioru — na płycie leżały goździki czerwone. Poza tym „Rudy" miał obowiązek co poniedziałek w godzinach szesnasta—siedemnasta sprawdzać, czy nie ma czegoś do przejęcia. Po tej informacji, uzyskanej podczas wyczerpującego, drobiazgowego śledztwa, Gren nazwał akcję „Operacją białych goździków".

W najbliższy poniedziałek kapitan wybrał się na cmentarz powązkowski. Na wskazanym uprzednio przez „Rudego" grobowcu leżały zwiędłe czerwone goździki. T r z y  c z e r w o n e  g o ź d z i k i. Gren postanowił zajrzeć do grobowca. Zanurzył rękę w skrytce. Nic. Była p u s t a. Wiedział już, że funkcjonariusze inwigilujący cmentarz i okolice grobu od szeregu dni dotąd nic podejrzanego nie zauważyli. Zaraz, zaraz... dlaczego skrytka jest pusta?... Przecież na płycie leżały trzy czerwone goździki?... Powinien być materiał dla „Rudego"... „Aha... — przypomniał sobie Gren. — To możliwe. Zwiędłe kwiaty usuwało się dopiero po ułożeniu świeżych. Ale może ktoś niepowołany dowiedział się już o aresztowaniu «Rudego»?... Nie, na pewno nie. Stawałem na głowie, by o tej sprawie wiedziało możliwie najwęższe grono..."

W czasie narady u pułkownika Kowalskiego kapitan Gren kilkakrotnie podkreślał, aby prasa nie podawała na razie wiadomości o aresztowaniu „Rudego" i by osoby już w sprawę wtajemniczone zachowały jak najdalej idącą dyskrecję. Zresztą było ich niewiele: pułkownik Kowalski, kapitan Gren, kapitan Brun, wywiadowcy Gajewski i Kuśmirek, kierowca Kryspin, no i oczywiście naczelnik wydziału „H" — Kamiński. Nawet sprawozdanie do Ministerstwa miało być wysłane dopiero po zakończeniu „Operacji białych goździków".

Żądania Grena nie były bezpodstawne. Możliwość zdrady wewnątrz, wśród pracowników bezpieczeństwa, istniała ciągle. Sugerowały to zarówno zeznania „Rudego", jak i szereg drobnych na pozór, nieznacznych wydarzeń, jakie od pewnego czasu obserwował kapitan...

Zresztą do wniosków Grena całkowicie przychylał się

również pułkownik Kowalski. Przekonał się, że instynktowi śledczemu kapitana można ufać, a poza tym... No cóż — zaczynał mieć również wątpliwości...

Cmentarz inwigilowano przez parę tygodni, nie dawało to jednak żadnych wyników. Potem Hubert wywalczył sobie upragniony urlop i przekazał sprawę Brunowi.

Nagłe odwołanie z urlopu początkowo bardzo go wzburzyło, ale równie szybko zapalił się na nowo do podjęcia przerwanego śledztwa. Dane z WOP-u były nazbyt nikłe, postanowił więc rozpocząć z punktu, na którym utknęło śledztwo — od cmentarza. Wysunął projekt, aby spróbować położyć na przynętę trzy białe goździki. Na wypadek, gdyby się ktoś zgłosił — aresztować go.

Kapitan raz jeszcze przepytał wywiadowców inwigilujących okolice grobowca, czy nie kręcił się tu ktoś podejrzany. Okazało się, że nie zaobserwowano nikogo poza starym dziadkiem, który omiata alejki z liści między dziewiątą a dziesiątą rano. Wywiadowca Kuśmirek nawet zaczepił staruszka.

— Liście opadają, dziadziu...

— Że co? — zapytał starowina, przysłaniając ucho stuloną dłonią.

— Liście opadają, dziadziu! — krzyknął wywiadowca Kuśmirek.

— A opadają, opadają. Dlaczego mają nie opadać?...

— Tak tu spokojnie i cicho. — Kuśmirek starał się nawiązać rozmowę ze staruszkiem.

— A cicho — odrzekł staruszek, wsparłszy się na miotle.

— Czy dziadzio pali?

— Palę — odparł flegmatycznie.

Kuśmirek wyciągnął z kieszeni paczkę „Lotników". Stary długo wybierał papierosa. Przez jakiś czas palili w milczeniu.

— I tak codziennie dziadzio zamiata?

— Ano, codziennie...

Kuśmirek zastanawiał się, jak zapytać, czy się tu ktoś nie kręci. Jak wtrącić coś takiego do rozmowy, by starego nie spłoszyć? Mógł się dziadzio rozgadać, ale mógł też zaciąć się i nic nie powiedzieć. Właśnie zrobił ruch, jak gdyby chciał odejść.

— A ludzie czy często tu przychodzą... no, ktoś z ro-

dziny? — zastrzegł się szybko, że on tylko tak, z nudów pyta.

Stary poskrobał się w głowę. Przez chwilę przyglądał się Kuśmirkowi spod oka. Kilkakrotnie otwierał usta, jakby miał coś mówić.

— Eee, co pytaliście? — zapytał wreszcie z głupia frant, przekrzywiając chytrze głowę.

— Czy czę-sto ktoś tu przy-cho-dzi z ro-dzi-ny?!!

— Nie — stary raptem się ożywił — skąd? No, patrz sam, synu, jakie stare groby.

Rzeczywiście. Najpóźniejsza data zgonu pochodziła sprzed dwudziestu paru lat. Że też tego wcześniej nie zauważył! Spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, czy nie wskazać grobu z przywiędłymi goździkami; nie, nie może odkrywać swych kart.

— Czas już, dziadziu, na mnie, tak przyjemnie się gawędziło z wami i ten dzień taki ciepły, mimo że listopad.

— Do widzenia, synu, a uważaj na siebie... Niezdrowo spacerować po starym cmentarzu.

## 3.

— Halo, czy kapitan Gren?

— Przy telefonie.

— Tu dozorca spod sześćdziesiątego trzeciego. Był tu taki jeden gość.

Gren spojrzał na przegub ręki. Dochodziła trzynasta.

— Dobrze. Zaraz tam będę.

Była trzynasta piętnaście, kiedy szary citroen zatrzymał się przed bramą domu, w którym jeszcze niedawno mieściła się melina „Rudego". Hubert szybko przeszedł przez chodnik i zniknął w bramie.

— Dzień dobry, panie Klimczakowski — powitał dozorcę. — Co tam nowego?

— A, dzień dobry panu. Proszę do środka.

Weszli.

— Kto to był, jak wyglądał? — spytał szybko Gren.

— No, mężczyzna, tak jakieś czterdzieści pięć — pięćdziesiąt lat, przystojny, elegancko ubrany, miał teczkę z jakimś monogramem.

— Wysoki, niski?

— Takiego wzrostu, jak pan, tylko trochę lepiej zbudowany i tęższy.

— Nie zauważył pan, co to za monogram?

— Coś takiego jak „zet", a może „es", cholera wie, takie jakieś wygibasy. Najpierw to poszedł na piętro, a potem, jak mnie zauważył, to skarżył się na serce, choć chyba zdrów jak byk. Pan przy nim, nie przymierzając, to mikrus. Dał mi sto złotych za fatygę.

— O co pytał?

— Ano, czy tu mieszka doktor Majkowski, a potem poprawił się na Majewski. Uskarżał się na to, że doktora nie ma, że podobno taki dobry, że mu go znajomy polecił.

— Możecie mi pokazać?

— Co?

— No, tę setkę...

Dozorca z ociąganiem wyjął banknot z kieszeni.

— Eee, taka sobie zwykła stówa.

— Pozwól pan na chwilę.

Gren ujął delikatnie banknot przez chusteczkę, zwinął w rulon i schował do kieszeni.

— Panie śledczy, co to, jak pragnę szczęścia?! Uczciwie zarobione moniaki pan podrywa?

— Niech się pan nie przejmuje, panie Klimczakowski. Proszę, tu jest setka za tamtą, a tu drugie sto za fatygę, za tę gonitwę do telefonu. A tę setkę zatrzymam sobie na pamiątkę. Zgoda?

— Blat.

— A gdyby pan miał jeszcze coś ciekawego dla mnie, to polecam się łaskawej pamięci.

Gren wskoczył do samochodu.

— Gazu, Kryspin.

Zatrzymali się przed Wojewódzkim Urzędem. Po kilka schodów na raz Hubert pędził do Wydziału Kryminologii.

— Co tam, kapitanie, znów się u was pali? — powitano go od progu.

— Kochani, złoci, zróbcie te odciski palców!

— Z czego? Z tej zasmarowanej setki?

— Tak.

— O rany, Gren, trochę litości. Przecież to świństwo z tysiąc osób trzymało w ręce!

— Tylko te najbardziej wyraźne. O, ten w rogu, przybrudzony smarem — jest przecież wyraźny. Duża wódka z węgorzem, jeżeli dziś jeszcze będzie.

— Nie, cudów nie ma, nawet za cysternę wódy. Ale dla kapitana, niech stracę, no, na jutro rano.

— Trudno, jeżeli nie dacie rady, to niech będzie na rano. Cześć, chłopcy. Zachowam dla was wdzięczność do grobowej deski.

— Tylko niech kapitan przed śmiercią zdąży postawić.

— Na pewno zdążę.

4. — Teraz już wiecie, kapitanie, wszystko.

— Słuchaj, Kuśmirek, czy poza zamiataczem nikt się nie kręcił? No, przypomnij sobie.

— Nie. Na pewno nikt.

— Wiecie co, Kuśmirek?... — kapitan Gren zawiesił na chwilę głos, jak gdyby chciał w ten sposób zaintrygować tym, co za chwilę powie.

Kuśmirek przysunął się bliżej.

— ... Będąc na waszym miejscu, dowiedziałbym się w kancelarii cmentarza, czy wymieniony przez was staruszek jest tam rzeczywiście zatrudniony. Jeżeli tak, to wszystko w porządku, lecz jeśli nie, to...

— ... to — podjął Kuśmirek — to znaczy, że dziadek nie jest dziadkiem. A jak nie jest dziadkiem, to jest podstawiony przez kogoś, by inwigilować skrzynkę kontaktową i... nas. Czy to chcieliście powiedzieć, kapitanie? — zapytał z uśmiechem.

— Tak, mniej więcej to samo, mój ty Sherlocku Holmesie. No, a teraz do dzieła. Jeżeli chcecie, to pójdę z wami. Wy do kancelarii, a ja — pilnować dziadka, żeby nam się gdzieś nie zawieruszył. Jeszcze jedno: sprawdźcie, czy pistolet się wam nie zacina.

— Po co?

— Żeby na cmentarzu nie było niespodzianek.

Wysiedli z tramwaju. Kuśmirek ruszył do kancelarii cmentarza, Gren zaś skierował się w pobliże interesującego go grobu.

Deszcz coraz bardziej zacinał. Poprzez jego strugi widać było zaledwie na odległość kilku metrów, reszta roz-

pływała się w smugach kropel. Zamazane kontury krzyżów, drzew i krzewów wzmagały wrażenie niesamowitości.

Gren ostrożnie zbliżał się do znajomego miejsca. Tak, tu gdzieś powinien znajdować się zamiatacz, jeżeli jest w rzeczywistości kimś innym. Na taką pogodę nawet najbardziej sumienny pracownik gdzieś by się zaszył. Tak, po cmentarzu włóczą się teraz tylko osoby mające tu jakiś specjalny interes. Chociażby on, Gren.

Strugi deszczu wciskały się wszędzie. Postawił kołnierz płaszcza. Mocniej nasunął czapkę. Przetarł oczy. W szarej poświacie mignęło coś między grobami. Nie, to chyba nie złudzenie. Jeszcze jeden krótki błysk — ktoś najwidoczniej usiłował zapalić papierosa. Zamiatacz?... Więc jednak jest tu i czeka...

A może zamiatacz jest niewinny, może to ktoś inny, z siatki „Rudego"? Gren zaczął się skradać. Krok za krokiem, centymetr po centymetrze zbliżał się do podejrzanego osobnika. Zanurzył rękę w kieszeni i ścisnął rękojeść pistoletu. Jeszcze kilka metrów dzieliło go od miejsca, w którym pojawił się płomyk zapałki. Wtem pod jego nogą trzasnęła gałązka. Ten zwykły, cichy trzask zabrzmiał Hubertowi w uszach niczym wystrzał armatni. Zamarł w bezruchu. Przez jakiś czas wsłuchiwał się w monotonny szum deszczu.

Agent WIS-25 stał przemoknięty pomiędzy grobowcami. Czuł w całym ciele wilgotny chłód, przejmujący go do szpiku kości.

— Cholera nadała to wszystko — klął pod nosem. — Mogliby mnie wyznaczyć do przyjemniejszej roboty. Po tylu latach...

Rozejrzał się wokoło. Nikogo, tylko ten cholerny deszcz...

„Żeby można było zapalić. E, chyba nikt nie będzie się szwendał w taką pluchę".

Sięgnął po papierosy. Błysnęła zapałka i natychmiast zgasła. Jeszcze jedna — i nic. Znów potarł zapałkę, kryjąc ją głębiej w stulonych dłoniach. Zaciągnął się chciwie dymem. Wyczulony słuch uchwycił słaby trzask gałązki. Szybko zgniótł niedopałek, wyciągnął pistolet. Okrążył

grobowiec. Spostrzegł skradającą się sylwetkę. Zaszedł intruza od tyłu.

„No, jeżeli to ten, co rano — to ubek. Na wszelki wypadek zrewiduję go".

Gren rozejrzał się. „Tak, tu gdzieś powinien być". W rozmiękłej glinie wyraźnie rysowały się ślady stóp. W pobliżu leżał zmięty, nadpalony papieros. Schylił się, by go podnieść.

— Ręce do góry! — Hubert usłyszał słowa, którymi sam chciał zaskoczyć nieznajomego. „Poderwać się... Uskoczyć". — No, tylko bez głupich kawałów! — głos był twardy, rozkazujący. — Łapy na kark, tylko szybko, mały ruch, a strzelam.

Gren rzucił się całym ciężarem ciała na napastnika. Padł strzał. Ziemia zawirowała Hubertowi przed oczyma. „Więc to już miałby być koniec?" — przebiegło mu przez głowę. Ciemna mgła przesłoniła wzrok.

Agent WIS-25 gorączkowo przeszukiwał kieszenie leżącego. Przewrócił Grena na wznak. Z rękawa kapitana wypadł pistolet. Po chwili agent znalazł ukrytą legitymację.

Szybko zniknął pomiędzy grobami. Z daleka słychać już było tupot nóg.

Wywiadowca Kuśmirek wszedł do niemożliwie zagraconej kancelarii.

Przez chwilę zdawało mu się, że wśród różnorakich świeczników, kandelabrów, katafalków, części ołtarzy, półek z aktami, połamanych krzeseł i stołów nie zdoła zrobić ani jednego kroku. Gdzieś z głębi, jak gdyby spod ziemi, wydobył się głos:

— Pan do kogo?

— Do kancelarii.

— To nie tu.

— Jak to nie tu?

— No, nie tu.

— To po co w takim razie jest tabliczka na tych drzwiach?

— Tu była, proszę pana, kancelaria przed wojną, je-

szcze przed powstaniem — informował niewidzialny rozmówca.

— A gdzie jest teraz? — Kuśmirka zaczynała ogarniać wściekłość.

— Niech pan zaczeka, zaraz pana zaprowadzę.

— No dobrze.

— A w jakiej pan sprawie — indagował dalej głos — może w sprawie pogrzebu?

— Mhhh...

— Już idę...

Słychać było szuranie nóg, westchnienia. Nagle tuż przed Kuśmirkiem ukazał się wysoki mężczyzna, chudy jak szczapa. W ręku trzymał wyleniałą ze starości szczotkę do zamiatania.

— Niech pan idzie za mną, to jest w drugim końcu korytarza.

Jakiś czas szli w milczeniu.

— A pan do rodzinnego grobu?

— Nie.

— O, to niedobrze. Miejsca nie ma. Ale może się coś znajdzie... — zrobił charakterystyczny ruch palcami. — Rozumie pan, ciężko żyć.

— Jestem z Urzędu.

— To po co pan do kancelarii?

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

— No, no, kochasiu, tylko bez cudów. Z bezpieczeństwa...

Sięgnął do kieszeni.

— No dobra, dobra, przecież prowadzę.

Dotarli do małych, obitych stalową blachą drzwi.

— Wchodzić.

Kuśmirek popchnął mężczyznę do środka. Ręka jego odruchowo ścisnęła pistolet. W małym pokoiku, jak gdyby przerobionym z sionki, stał ksiądz w podniszczonej sutannie. Wyszarzałe rękawy świeciły się od starości. Poprzecierane mankiety były starannie pocerowane. Mógł mieć zarówno czterdzieści kilka lat, jak i sześćdziesiąt.

Pod ścianą stało odrapane biurko i krzesło, w rogu koło okna — kasa pancerna. Pokój wydawał się za ciasny; trzy osoby ledwo się w nim mieściły. Masywne kraty w oknach potęgowały wrażenie ciasnoty.

— Niech będzie pochwalony. Kogo tam Grzegorz przyprowadził?

— Jestem z Urzędu Bezpieczeństwa — wyręczył Grzegorza Kuśmirek — chciałbym się dowiedzieć o...

— Czy znów chodzi o jakieś zwłoki pochowane na fałszywe nazwisko? — przerwał w pół zdania ksiądz.

— Nie. Chciałbym się dowiedzieć... — zawahał się — czy ten pan, no jak mu tam, Grzegorz — może wyjść?

— Może.

Mężczyzna zwany Grzegorzem opuścił niechętnie pokój.

— Otóż chodzi mi o... — wywiadowca Kuśmirek podszedł na palcach do drzwi i raptownie je szarpnął. Za drzwiami nie było nikogo. — Chodzi mi... — wrócił do przerwanego zdania — o zamiatacza.

— Nie rozumiem.

— Czy może mi ksiądz opisać możliwie dokładnie wygląd zamiatacza pracującego w kwaterze 38 K?

— Ależ oczywiście. Pracuje tam Pawiński, lat około czterdziestu, niski, czarniawy.

— Czy nie ma tam jeszcze jednego zamiatacza? Niech ksiądz sobie przypomni... Może na pół etatu lub na zastępstwie?

— Nie.

— Czy ksiądz jest tego pewien?

— Tak. Jestem pewien. Pawiński był dziś nawet po pieniądze.

— No to dziękuję.

— Czy stało się coś? Może zamordowano Pawińskiego?

— Nie.

— Dzięki Bogu.

— Do widzenia.

— Niech będzie pochwalony.

Kuśmirek już za drzwiami przyspieszył kroku. Po tym, czego się dowiedział, był zaniepokojony o Grena. A tu jak na złość deszcz utrudniał widoczność. „Tak, tu gdzieś w okolicy powinien być grobowiec". Wywiadowca rozejrzał się za znajomą bryłą kamienia. O tam, na prawo, czwarty z brzegu. Nagle huk wystrzału wstrząsnął powietrzem. Kuśmirek pobiegł, rozchlapując nogami błoto. Pomiędzy grobami mignęła mu jakaś sylwetka. Strzelił. Postać rozpłynęła się we mgle.

Kuśmirek zatrzymał się zdezorientowany. Tu, gdzieś

w pobliżu, powinien być Gren. „Szkoda, że go puściłem samego. Kto strzelił? Kapitan Gren do kogoś czy odwrotnie?”

— Kapitanie, kapitanie! — zawołał półgłosem.

W nikłym świetle latarki zaczął szukać śladów. Natrafił na złamaną gałązkę, wbitą w rozmiękłą od deszczu glinę. Ruszył kierując się odciskami stóp. Pomiędzy grobami leżała nieruchomo jakaś postać. „Więc jednak go trafiłem”. Elektryczną latarką oświetlił twarz leżącego. Był to Gren.

— Niech to cholera weźmie, rąbnąłem kapitana!

Przyłożył ucho do piersi trafionego. Serce biło słabo, nierówno, ale biło. Nie szukał już innych śladów. Wziął Grena na plecy i udał się w kierunku cmentarnej bramy. Pot jego mieszał się z deszczem, spływając po twarzy i karku za kołnierz. Kuśmirek kilkakrotnie odpoczywał, dysząc ciężko. Było już po piątej, kiedy minął bramę cmentarną. Rozejrzał się za samochodem. Mgła i ten deszcz... Poprzez szum ulewy usłyszał nadjeżdżający od pętli tramwaj. Z konduktorem ułożyli Grena na ławce.

— A teraz gazu do Żelaznej! — zwrócił się do motorniczego.

Tramwaj zgrzytał jak opętany na zakrętach Okopowej.

— Nie możesz pan na dziewiątkę?

— Nie widzi pan, że mam zablokowane korkiem?

— Rób pan, co chcesz, byleby ta trumna szybciej jechała. Ten człowiek umiera...

— A jak mnie ekspedytor złapie, to przejedzie się po premii.

— Nic nie zrobi, jedź pan na moją odpowiedzialność — Kuśmirek okazał legitymację.

Tramwaj zatrzymał się na rogu Żelaznej. Przy pomocy konduktora zaniesiono Grena do szpitala. Po chwili zjawił się lekarz dyżurny.

— Gdzie go tak urządzili?

— Na cmentarzu powązkowskim. Ścigaliśmy podejrzanego. To ja go postrzeliłem.

— Oddajcie pistolet i poczekajcie.

— Doktorze, czy on się z tego wyliże?

Doktor rozłożył ręce.

— Nie wiem. Nazwisko rannego?

— Kapitan Hubert Gren z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

— Dziękuję.

Za noszami z Grenem zamknęły się drzwi.

5. — Proszę szybko przygotować narzędzia. Zaraz zaczynamy operację. Dajcie mi znać, jak wszystko będzie gotowe. Czekam w pokoju obok.

Turkoce szybko obracana tarcza telefonu.

— Halo, czy Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa? Tu szpital MBP, Żelazna. Chciałbym z szefem... Pułkownik Kowalski?

— Tak, przy telefonie.

— Tu doktor Żywczyński. Przed chwilą przyniesiono waszego pracownika postrzelonego w kręgosłup przez wywiadowcę.

— Kto jest ranny?

— Kapitan Gren.

— Niemożliwe... Hubert? — chwila milczenia. — Przepraszam, doktorze... Gdzie był wypadek?

— Na Powązkach.

— No tak... Czekam na wiadomość o stanie jego zdrowia.

— Halo, pułkowniku, jeszcze chwilę...

— Słucham...

— Kazałem wywiadowcy zaczekać na dole.

— Aha... To dobrze. W takim razie zaraz przyjadę.

Mężczyzna podniósł się znad biurka.

Podszedł do pieca, przycisnął kafel. Dolna połowa wysunęła się cicho. Wyjął stamtąd skorowidz. Przez chwilę przerzucał kartki, wreszcie znalazł to, czego szukał...

Wyjął kartę ewidencyjną agenta WIS-25. Przeczytał półgłosem personalia:

„Jacek Czystoń, syn Marcina i Zofii, urodzony 20 stycznia 1920 roku w Warszawie. Od 1940 roku w wywiadzie Związku Walki Zbrojnej, następnie w Armii Krajowej — wydział «Antyk», od 1944 roku — Komenda Główna Narodowych Sił Zbrojnych. W 1945 awansowany do stopnia

porucznika, pracuje w wydziale informacyjno-sabotażowym. Zdolny, tylko niezdyscyplinowany".

Odłożył kartę. „No tak, porucznik WIS-25 przestanie istnieć. Przeniesie się w krainę wieczystych cieni, w czym mu w dużej mierze osobiście dopomogę. Psy z bezpieki przyuważyły go sobie zapewne na cmentarzu. Mogą być na jego śladzie. Znam go, będzie sypał bez skrupułów. — Zdolny, ale tchórz".

— Siostro, podajcie zaciskacze.

Szczęknęły podawane narzędzia.

— Jak tam z tlenem?

— Dobrze! — i po chwili: — Doktorze, zmniejsza się ciśnienie, temperatura opada.

— Dać glukozę i więcej tlenu. Skalpel?

— Jest.

Dłonie chirurga, w rękawicach purpurowych od krwi, trzymały narzędzia. Pielęgniarka asystująca przy operacji ocierała pot spływający kroplami z czoła operującego.

— Dłuto i młotek.

— Jest.

Błysnęła żółtą koszulką kula.

— Kleszcze.

— Jest.

Chwila napięcia. Pocisk wysunął się z kleszczy.

— Cholera — mruknął lekarz poprzez maskę.

— Słucham?

— Nic.

Jeszcze raz chwycił kleszczami za pocisk. Powoli wyjął go z rany.

— Uff, nareszcie. Teraz szybko opatrunek, igłę, katgut.

Operacja dobiegała końca.

Pułkownik Kowalski wsiadł do citroena.

— Pełnym gazem, Kryspin, na Żelazną.

Samochód wyprysnął osiemdziesiątką na Targową. Trochę zwolnił przy Zielenieckiej.

— Co to, na spacer się wybieramy?

— Coś się stało, towarzyszu Kowalski?

— Stało się! Gren ciężko ranny. Podobno postrzelił go jakiś zasrany wywiadowca na cmentarzu.

— Mój kapitan! A, cholera, niedobrze!

Kryspin gwałtownie zwiększył szybkość. Włączył syrenę. Samochody posłusznie zjeżdżały na bok. Minęli Marszałkowską.

— Czy nie widzieliście, z kim Gren wychodził?

— Z Kuśmirkiem.

Przy Chałubińskiego o mało nie zderzyli się z autobusem.

— Ale mgła! Nic dziwnego, że go postrzelił.

— No, nic jeszcze nie wiem na pewno — pułkownik zamyślił się.

Skręcili w Żelazną. Jeszcze kilka minut i z piskiem opon zatrzymali się przed szpitalem. Wartownik przepuścił pułkownika do środka. W poczekalni stał Kuśmirek.

— Jak z Grenem?

— Jeszcze nic nie wiem, szefie.

— Coście oczu nie mieli, Kuśmirek?

— Zaraz, szefie, opowiem. Podzieliliśmy się pracą. Ja sprawdzałem w kancelarii personalia podejrzanego, kapitan zaś miał go przez ten czas śledzić. W kancelarii dowiedziałem się, że nikt taki tam nie pracuje, więc szybko poszedłem w stronę skrzynki kontaktowej. Kiedy byłem blisko, usłyszałem strzał. Pomyślałem, że to może ten bandzior strzela do kapitana Grena. Pomiędzy grobami zauważyłem przemykającą się postać. Strzeliłem. Myślałem, że pudło. Podchodzę bliżej, patrzę — leży. Gren! Wziąłem na plecy i przyniosłem do szpitala.

— W ten sposób pozabijacie mi wszystkich pracowników.

Kuśmirek zwiesił głowę.

— Jaki macie kaliber?

— Dziewiątka „Vis".

— Zaczekamy, aż wyjmą kulę, być może, że to bandzior postrzelił Grena.

Pułkownik podszedł do telefonu.

— Wyślijcie natychmiast grupę operacyjną na Powązki. Kierownictwo nad grupą przydzielicie kapitanowi Brunowi. O wyniku zamelduje mi osobiście... Tak, będę czekał u siebie. Cześć!

W tym momencie wszedł doktor Żywczyński.

— Jak ranny? — zapytali jednocześnie Kowalski i Kuśmirek.

— Operacja się udała. Chłopak ma silny organizm, powinien się wylizać. Oczywiście, za nic nie mogę jeszcze ręczyć.

— Czy przytomny?

— Nie.

— Czy doktor wyjął pocisk? — zapytał pułkownik.

— Tak, kaliber 9. Oto on. Starałem się nie uszkodzić pancerza przy wyjmowaniu.

Podał pocisk zawinięty w ligninę.

— Dziękuję, doktorze, za to, coście do tej pory zrobili.

— Przepraszam, pułkowniku, muszę iść do chorych. Do widzenia.

— No, Kuśmirek, trudno, pójdziecie siedzieć, jeśli się okaże, że to z waszego pistoletu. A teraz jedźcie na Powązki, wskażecie kapitanowi Brunowi, w którym miejscu znaleźliście rannego Grena. Po zakończeniu badań wracajcie z Brunem do Urzędu. Tylko go nie postrzelcie. Idźcie już, idźcie...

Mżący bez przerwy deszcz wypełnił już częściowo wodą pozostawione w rozmiękłej glinie ślady. Technicy zabrali się gorączkowo do pracy. Pod rozpiętą pałatką, ostrożnie, by nie naruszyć niewyraźnego odcisku obuwia, wybrali wodę, a następnie wypełnili wgłębienie gipsem.

Brun i Kuśmirek szukali łusek lub czegokolwiek innego, co by mogło naprowadzić na ślad zbiegłego. Między grobami znaleźli zapałki, a w pobliżu miejsca upadku Grena spory niedopałek. Kilka kroków dalej wygrzebali z błota jedną łuskę, a około dwudziestu metrów opodal drugą. Z wypowiedzi Kuśmirka wynikało, że ta druga łuska pochodzi z jego pistoletu — dziewiątki. W pobliżu bramy znaleźli wciśniętą pod płytę siwą perukę.

Pies puszczony tropem szedł powoli. Tu zatrzymywał się, ówdzie zawracał. Ostatecznie doprowadził do przystanku tramwajowego.

— Dalej nie da rady, kapitanie. Pies stracił ślad.

— Spróbujcie.

— Nic z tego nie wyjdzie. Szkoda czasu.

— Trudno. W takim razie idźcie z psem do domu. Nic mi po was. Cześć.

— Powodzenia, kapitanie.

Pozostali znów weszli na teren cmentarza.

6. Nad ranem w gabinecie pułkownika Kowalskiego zameldował się Tadek Brun. Był przemoknięty i zabłocony.

— Co nowego przynosicie, kapitanie?

Zapytany wyciągnął z kieszeni perukę.

— Oto co znaleźliśmy z Kuśmirkiem w pobliżu bramy cmentarnej. Poza tym trzy wypalone zapałki i połówkę „Lotnika". A oto łuski. Jedna znaleziona blisko miejsca upadku Grena, druga około dwudziestu metrów dalej.

Pułkownik podniósł słuchawkę.

— Tu pułkownik Kowalski. Proszę z Wydziałem Kryminologii... Poproszę z doktorem Wajnertem... Doktor Wajnert?

— Tak.

— Mówi Kowalski. Bądźcie tak dobrzy i przyślijcie kogoś do mnie. Mam pilną pracę.

Po kilku minutach przyszedł laborant.

— Proszę, to są łuski, tu macie pocisk, a tu pistolet. — Kowalski podawał kolejno laborantowi te przedmioty. — Kiedy mam się spodziewać wyniku badań?

— Towarzyszu pułkowniku, to potrwa jakieś pięć, sześć godzin.

— Zróbcie dokładnie, od tego bardzo wiele zależy.

Laborant szykował się już do wyjścia.

— Gdzie się tak spieszycie? Narzeczona czeka na dole?

— Czy jeszcze coś, towarzyszu pułkowniku?

— Oto niedopałek papierosa do ekspertyzy laboratoryjnej na badanie śliny, zawartości alkoholu i grupy krwi. Może jeszcze coś wykryjecie. Dziękuję wam z góry. Czekam na wyniki. Do widzenia.

Znów zwrócił się do Bruna:

— A jak dał sobie radę przewodnik z psem?

— Pies szedł jakiś czas, potem zgubił ślad, znów znalazł i ostatecznie zgubił na przystanku tramwajowym. Poza tym sporządziliśmy odlewy śladów. Proszę, oto fotografie odcisków, a tu — gipsowych odlewów.

Pułkownik przez chwilę przyglądał się zdjęciom.

— Zobaczymy, może się przydadzą. Zatrzymamy chwilowo perukę, może nas naprowadzić na trop. Widzę, że jesteście zmachani. Jak się starał Kuśmirek?

— Bardzo.

— No, dobra. Teraz idźcie się przespać. Zaraz, poczekajcie jeszcze trochę, Brun...

Wezwany stanął w drzwiach niezdecydowanie, oczekując nowych poleceń.

— Zapomniałem na śmierć! Powiadomcie żonę kapitana Grena, tylko oględnie. Wiecie, w jakim ona jest stanie. Cześć!

Brun po wyjściu z gabinetu szefa spojrzał na zegarek. Minęła szósta rano. Spać już się nie opłacało.

— Ale mi stary zadał klina. „Powiedzcie to oględnie, żeby nie zdenerwować". Trudno, trzeba będzie to zrobić.

## 7.

— O, jesteś, Rysiek! Coś tam przyniósł od starego?

— Sami zobaczycie, doktorze.

— Rzeczywiście, dość ciekawy pasztet. A spać się chce jak jasna cholera.

— Czy zanieść to do rusznikarzy?

— Nie, lepiej do świętego Izydora! Daj tego peta, zabieramy się do dzieła.

Doktor Wajnert pochylił się nad niedopałkiem. Odciął kawałek i zalał odczynnikami. Drugą część skropił i zaczął podgrzewać nad palnikiem Bunsena. Pobrał próbki. Pochylony nad mikroskopem, porównywał. Była to żmudna i długa robota.

— Tak, to by się mniej więcej zgadzało... — wymruczał wreszcie.

Spojrzał na zegarek. Minęło trzy godziny od chwili przystąpienia do badań nad przyniesionymi od pułkownika materiałami dowodowymi.

— Rysiek, skocz do rusznikarzy.

Przetarł ręką zaczerwienione z przemęczenia powieki. Noc bardzo pracowita. Pragnął już końca służby. Żeby tak móc położyć się spać!

Po kilkunastu minutach laborant przyniósł wynik

ekspertyzy i jeszcze mokre od utrwalacza fotografie łusek i pancerzy pocisków.

— Ładne odbitki? Co?

— No, ujdą w tłoku. Od biedy mogą być.

Zabrali się do pisania raportu.

8. Rano w mieszkaniu kapitana Grena zadzwonił telefon. Teresa nie rozbudziła się jeszcze. Przez chwilę zastanawiała się, czy to nie sen, lecz natarczywość dzwonka telefonicznego doprowadziła ją do przytomności.

Podniosła słuchawkę.

— Proszę...

— Halo! Czy mieszkanie kapitana Grena?

— Tak.

— Kto przy telefonie?

— Żona.

— Dzień dobry. Mówi pułkownik Kowalski.

— Słucham... Czy... czy coś się stało Hubertowi?

— Tak, wczoraj, to jest w poniedziałek wieczorem, został zabity w czasie akcji na cmentarzu powązkowskim.

Słuchawka wypadła z ręki Teresie. Zemdlała.

— Halo, czy pani słucha?

Nie było odpowiedzi.

Brun szedł do mieszkania Grena jak na ścięcie.

— Ale mnie stary wplątał w kabałę. No i co ja, do cholery, powiem kobiecie?

Nacisnął dzwonek, ale w mieszkaniu nikt się nie poruszył. Szarpnął klamkę. Nic.

Gdy po długim dobijaniu się, zaniepokojony nie na żarty, wyważył zamek, znalazł leżącą na podłodze, nieprzytomną Teresę. Obok kołysała się słuchawka telefoniczna bzycząc głośno na dowód przerwanego połączenia.

Mężczyzna odłożył słuchawkę. „Dlaczego ona jeszcze nic nie wiedziała? — myślał z niepokojem. — Więc ja pierwszy podałem jej tę radosną wiadomość? Dlaczego dotąd

jej nie powiadomiono? Może jeszcze nic nie wiedzą?... A może... E, WIS-25 celnie strzela... Trzeba będzie jednak sprawdzić!"

Była godzina siódma rano.

Wywiadowca Kuśmirek zastukał do drzwi kancelarii cmentarza.

— Proszę.

Wszedł do znanego z poprzedniej wizyty pokoju.

— Znów pan?

— Tak...

— Słucham...

— Proszę mi podać dokładny adres zamiatacza Pawińskiego.

— Powązkowska 10, mieszkania 3. Dwa domy za kancelarią.

— Dziękuję, do widzenia.

Szybkim krokiem przeszedł odległość dzielącą go od mieszkania zamiatacza. Minął zaśmiecone, pełne gruzu podwórze.

Po chwili stukał do drzwi.

— Kto tam?

— Do pana Pawińskiego.

— Już otwieram.

W progu stanął mężczyzna niskiego wzrostu, przytrzymując ręką w pośpiechu nałożone spodnie.

— Obywatel Pawiński?

— To ja.

— Jestem z bezpieczeństwa.

— Ja nic nie zrobiłem.

Kuśmirek odsunął go od drzwi i wszedł do środka.

— Dlaczego przez ostatnie dni nie zamiatał pan cmentarza?

— Zamiatałem.

— Nieprawda. Był tam inny mężczyzna. Ile dał za to, żeby was tam nie było?

— To już powiem, jak i tak wiecie: pięć tysięcy złotych, no i podjął się zamiatania.

— Pójdziecie siedzieć.

— Za co, panie śledczy?

— To był szpieg.

— O rany, co ja narobiłem! Ale skąd mogłem wiedzieć? Co ma szpieg do cmentarza?!

— Czy często ten typ zwracał się do was z podobną propozycją?

— Nie. To było jakieś dwa tygodnie temu. Przyszedł i prosił, żebym mu pozwolił zamiatać, to mi zapłaci.

— I co?

— Początkowo myślałem, że to złodziej albo wariat, ale gdy dał forsę i zobaczyłem, że uczciwie zamiata, przestałem go pilnować. O wiele przyjemniej w taką pluchę siedzieć w domu.

— Jak on wyglądał?

— Z twarzy to stary, ale ja patrzałem na ręce... Ręce miał młode.

— To wszystko?

— Tak.

— Siedźcie tu i nigdzie nie wyjeżdżajcie. Wolno wam tylko pracować na cmentarzu.

— Dobrze, jak pan sobie życzy.

— Do widzenia.

Kuśmirek wyszedł.

„Cholera, że ja nie zauważyłem rąk! — myślał. — Gdybym zauważył, może Gren nie zostałby ranny, a ptaszek siedziałby pod kluczem i śpiewał o swoim mocodawcy. Trzeba to szybko przekazać Brunowi".

Ulicą Mokrą wracał do domu po służbie dzielnicowy, starszy sierżant Lizoniak. Dochodziła osiemnasta. Deszcz wciskał się za kołnierz, zacinał w twarz. Przemoczone ubranie ciążyło niczym ołowiany pancerz. Buty co krok trzeba było wyciągać z błota. Ręczna latarka ledwo rozświetlała drogę w gęstej mgle.

Lizoniak raptem uskoczył. Niewiele brakowało, by przejechał go samochód.

— A bodajbyś, skurczybyku, wpakował się do rowu!

Nowy mundur był zachlapany od góry do dołu. Do domu pozostało jeszcze ze dwieście metrów. Lizoniak przyspieszył kroku. W pewnym momencie potknął się o leżącego mężczyznę.

— Co za cholera! Na taką pogodę uchlał się jak bydlę!

Nachylił się i oświetlił twarz. Nie, tego gościa nie znał. A może zasłabł i tak leży?...

Dotknął ręką policzka. Zimny. Pomacał puls. Nie bił. Trup!...

Lizoniak pobiegł w kierunku Radzymińskiej. Z urzędu pocztowego zadzwonił do Komendy Milicji na Cyryla i Metodego, po czym szybko zawrócił na miejsce wypadku. Po kilkunastu minutach zajechała karetka pogotowia. Lekarz stwierdził zgon.

— Mógł umrzeć przed godziną, no, może o siedemnastej trzydzieści, ale dokładnie wykaże dopiero sekcja.

— Doktorze, a czy nieboszczyk nie ma śladów opon na sobie, na ubraniu?

— Nie, nie widzę.

— Bo widzicie, jak tu wracałem do domu o osiemnastej, to minął mnie na pełnym gazie samochód. Może to on go stuknął.

— Zobaczymy przy sekcji. Jeżeli został przejechany, to ślady opon będą na ciele. Ubranie jest zbyt zabłocone, żeby coś było widać.

— Co się pani stało, pani Tereso?

Leżała na tapczanie skulona niczym obity psiak i płakała rozdzierająco.

— To pan nie wie, że Hubert nie żyje?

— Co pani wygaduje?!

— Wczoraj wieczorem został zabity podczas jakiejś akcji na Powązkach.

— Nieprawda! Kto takie bzdury nawygadywał?

— Przed chwilą dzwonił pułkownik Kowalski.

— Niemożliwe! Przecież dziś nad ranem dał mi polecenie, bym panią zawiadomił, że Hubert jest ranny i leży w szpitalu na Żelaznej! Zaraz... chwilę... proszę... zaraz sam do niego zadzwonię! Dobra jest, niech pani nie wstaje. Już dzwonię.

— Po co, czy on może powiedzieć co innego? Czy przez to Hubert ożyje?

Brun nakręcił numer telefonu.

— Dzień dobry, poproszę z szefem.

— Łączę.

Za chwilę ze słuchawki odezwał się głos pułkownika.

— Kapitan Brun przy aparacie.
— No jak tam, powiadomiliście?
— Dziękuję, towarzyszu szefie, za wcześniejsze powiadomienie.
— Jak to? Nie rozumiem? Mówcie jaśniej.
— Przecież przed piętnastu minutami towarzysz szef dzwonił i powiadomił o śmierci...
— Ja? Nie rozumiem...
Zapadło dłuższe milczenie.
— Nic z tego, Brun, nie rozumiem, mówcie jaśniej. O czyjej śmierci?
— I ja też nie rozumiem. Najpierw dajecie mi polecenie, a potem sami dzwonicie.
— Człowieku, czyś się nie wyspał? Co bredzisz?
— Oddaję słuchawkę Teresie Gren.
— Dzień dobry pani, czy to na pewno ja do pani dzwoniłem? Czy poznaje pani mój głos?
— Nie, rzeczywiście to nie pan... Więc Hubert...
— Widzi pani, na pewno komuś bardzo zależało, by panią wprowadzić w błąd. Hubert zajmuje się tym kimś.
— Rozumiem... Ale żyje? Naprawdę żyje?!...
— Żyje. Jest ranny. Proszę, niech pani zaraz pojedzie do szpitala na Żelazną i zobaczy się z mężem. Zapewniam panią, że wszystko będzie dobrze. A teraz poproszę jeszcze na chwilę kapitana Bruna...
— Słucham, szefie.
— Halo, Brun, słuchajcie uważnie. Ktoś podszywa się pod moje nazwisko. Czy to przypadkiem nie ten ktoś, kogo szukamy? Wpadnijcie do Urzędu. Mam coś ciekawego. Cześć.
Brun pomógł Teresie złapać taksówkę. Przed wejściem do szpitala rozstali się.
— Głowa do góry, pani Tereso!

## 9.

— Zobaczcie, Brun, tu jest meldunek z Zakładu Medycyny Sądowej. Co o tym sądzicie?

Wczoraj o godzinie osiemnastej trzydzieści przywieziono do Zakładu Medycyny Sądowej denata, znalezionego na ul. Mokrej. Nazwisko nieznane, lat około trzydziestu. Meldunek ustny dzielnicowego, starszego

sierżanta MO Lizoniaka, sugerował, że denat mógł być potrącony przez samochód. Sekcja zwłok nie wykazała wewnątrz wybroczyn krwawych ani śladów uderzenia, ani opon. Na przedramieniu denata stwierdzono nakłucie. Pobrana wokół nakłucia próbka skóry po przeprowadzeniu analiz chemicznych i doświadczeniach ujawniła silne zgęszczenie bliżej nie znanej trucizny. Próba dokonana na myszach wypadła dodatnio. Myszy zginęły po piętnastu sekundach od chwili zrobienia zabiegu.

Zgon denata nastąpił około godziny siedemnastej — siedemnastej trzydzieści. Przyczyna zgonu: zastrzyk z bardzo silnej trucizny, zrobiony podskórnie w prawe ramię. W załączeniu podajemy wynik przeprowadzonego doświadczenia, odciski palców, fotografie do „Gazetki Poszukiwanych" oraz fotografie odcisków obuwia.

Przy denacie nie było dowodu osobistego. Kieszenie zostały dokładnie opróżnione. Brak znaków rozpoznawczych. Znaków szczególnych czy tatuaży nie posiada.

Doktor medycyny
(—) Zdzisław Kasprzycki

— Ciekawe... — powiedział Brun.

— A tu obejrzyjcie sobie wyniki ekspertyzy z Wydziału Kryminologii.

Wydział Kryminologii informuje: w niedopałku nie stwierdzono alkoholu, badanie śliny wykazało, że jest w niej duży odsetek substancji kwaśnej. Osobnik palący tego papierosa jest chory na nadkwasotę żołądka. Jeżeli chodzi o wyjęty pocisk, to nie został wystrzelony z pistoletu załączonego do badań rusznikarskich. Wobec powyższego Wydział Kryminologii komunikuje, że z załączonego pistoletu do denata nie strzelano.

Kierownik Wydziału Kryminologii
przy WUBP w Warszawie
(—) dr Leopold Wajnert, mjr

— Tak... No to chyba Kuśmirek strzelał do nieznajomego mężczyzny...

— Tak...

— Towarzyszu pułkowniku, akurat te dwie sprawy... Może porównać fotografię obuwia mężczyzny leżącego w Zakładzie Medycyny Sądowej z fotografią odcisków stóp znalezionych na cmentarzu?

— Proszę.

Przez kilka minut oglądali w skupieniu. Porównywali powiększenia przez lupę.

— Zgadza się, pułkowniku! To te same, zupełnie jednakowe odciski! Technicy dobrze wykonali robotę!

Pułkownik Kowalski podniósł słuchawkę.

— Połączcie mnie z Zakładem Medycyny Sądowej.

— Medycyna Sądowa. Słucham.

— Tu pułkownik Kowalski z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Ile czasu może wam zająć stwierdzenie, czy denat, o którym daliście mi dziś rano znać, był chory na nadkwasotę żołądka?

— Około pół godziny.

— Dziękuję. Proszę zrobić odpowiednie badania. O wyniku zawiadomicie mnie natychmiast.

Zwrócił się do Bruna.

— Więc mamy już naszego „zamiatacza", czyli inaczej mówiąc — zamachowca na Grena.

— Zaczekajmy jeszcze z tym wnioskiem kilkanaście minut.

Pułkownik sięgnął po papierosy. Twarz miał zmiętą, zmęczoną. Strata — chociażby na tydzień — Grena, najlepszego, najbardziej lubianego i cenionego pracownika, bardzo go zmartwiła. Było jeszcze wielu zdolnych funkcjonariuszy, ale do Grena czuł jakiś specjalny sentyment. Od początku pracowali razem. Przeżyli wspólnie najgorszy okres przy sprawie „Kreta", a to wiąże. Wspólne klęski i zwycięstwa... Sukces przy likwidacji bandy „Kreta", potem błyskawiczne ujęcie „Rudego" i teraz sprawa „Białych goździków", tak dobrze się zapowiadająca po ujęciu „Rudego" — i raptem ten niefortunny wypadek. Jedno drobne potknięcie — czy niebezpiecznie dobra orientacja wroga?...

— Zapalicie, Brun?

Zaciągnęli się. Znów cisza wypełniła zadymiony pokój. Na biurku zadźwięczał telefon. Pułkownik ociężałym ruchem sięgnął po słuchawkę.

— Kowalski, słucham.

— Tu Zakład Medycyny Sądowej. Wynik przeprowadzonego badania u denata wykazał daleko posuniętą nadkwasotę żołądka. Wasze przypuszczenia sprawdziły się.

— Dziękuję.

Przez chwilę znów panowało milczenie.

— Szybko go wykończono, co, Brun?

— Widocznie bali się, że jeżeli go aresztujemy, będzie sypał.

— Tak, najbardziej dyskretny jest nieboszczyk. Ale gdzie podział się pistolet, z którego raniono Grena?...

— Powinien być przy denacie.

— Słuchajcie, Brun Przekazuję wam sprawę „Trzech białych goździków" do chwili powrotu ze szpitala kapitana Grena.

— Tak.

— Będziecie meldować mi co dzień o postępach w dochodzeniu.

— Towarzyszu pułkowniku, kiedy podamy do prasy fakt aresztowania „Rudego"?

— Jeszcze nie teraz.

— A może jednak? Sprawa mogłaby posunąć się naprzód. Może by się coś wyjaśniło?

— Poczekamy jeszcze kilka dni, aż będzie można rozmawiać z Grenem. Widzicie, jemu bardzo zależało na tym, by trzymać rzecz w tajemnicy. Chyba miał rację... Chciał mieć „Rudego" jak gdyby pod kloszem, odosobnionego. Może ktoś nie wytrzyma i zdradzi się jakimś drobiazgiem, jakimś posunięciem. Będą przecież usiłowali się dowiedzieć, co się stało z „Rudym", gdzie on jest, czy przypadkiem nie aresztowany. Będą usiłowali przeprowadzić penetrację, dotrzeć do niego. A na to tylko czekał Gren.

— Tak jest, rozumiem. — Brun odmeldował się i wyszedł.

— Powodzenia, kapitanie — goniły za nim słowa Kowalskiego.

Coraz większe zmęczenie ogarniało Bruna. Nie spał już od trzydziestu sześciu godzin. Toteż teraz mimo woli głowa opadała mu na piersi; zasypiał niemal na siedząco. Sięgnął po filiżankę z kawą. Była pusta.

Na biurku zaterkotał telefon.

— Słucham, Brun.

— Tu Wydział Kryminologii.

— Czy zaszło coś nowego?

— Nie. Tylko mamy fotografię odcisków palców.

— Czyich?...

— Sami nie wiemy. Tę pracę zlecił nam kapitan Gren. Dzwoniłem do pułkownika Kowalskiego, ale on powiedział, że wy, kapitanie, przejęliście sprawę.

— Czy Gren podał jakieś bliższe dane?

— Nie.

— Przyślijcie całą dokumentację do mnie.

— Będziecie ją mieli za pięć minut.

— Czekam.

Odłożył słuchawkę. Odruchowo jeszcze raz sięgnął po pustą filiżankę, odstawił ją na bok z grymasem zniecierpliwienia. Otworzył szufladę. Na dnie leżała szklana fiolka z lekarstwami. Wziął ją do ręki.

— Nie, stary, tak nie można. Wykończysz się — mruczał do siebie pod nosem, ale bez przekonania.

Zdecydowanym ruchem wyjął z fiolki korek. Biała tabletka psychedryny upadła w zagłębienie dłoni. Podrzucił ją do góry, przełknął. Rozsiadł się wygodniej w fotelu. Zapalił papierosa. Zmęczenie odpływało odeń po trochu, ak gdyby ciepłymi falami.

W drzwiach stanął pracownik laboratorium.

— Oto materiał, który dostarczył kapitan Gren.

— Dziękuję.

Z rozdartej koperty wypadły błyszczące odbitki i banknot stuzłotowy.

— Ki diabeł? Nie wiedziałem, że Hubert zajmuje się kolekcjonowaniem przybrudzonych banknotów.

Obejrzał dokładnie poszczególne odciski palców. Były posegregowane. Wśród na pół zatartych najbardziej wyóżniały się dwojakie ślady. Jedne pozostawił ktoś, kto miał do czynienia ze smarami, drugie, odmienne, były też dość wyraźne. Ale czyje? Brun bezskutecznie łamał nad tym głowę.

— Żeby Hubert mógł mówić! Cholera, już doba, jak leży ranny. Może oprzytomniał?

Szybko zeszedł na dół. Wsiadł do samochodu.
— Dokąd, kapitanie?
— Do szpitala na Żelazną.

## 10.

— Jestem żoną kapitana Grena, przywiezionego tu wczoraj wieczorem. Jak się czuje mąż?

— Proszę zaczekać, zaraz porozumiem się z lekarzem oddziałowym.

— Doktorze, przyszła żona rannego, wiecie, tego z separatki. Pyta się o zdrowie, co z nim jest?

Żaden dźwięk nie dolatywał do Teresy, potem usłyszała trzask odłożonej przez dyżurnego z izby przyjęć słuchawki.

— Mąż jest po operacji. Teraz śpi. Wizyty: czwartki i niedziele od czternastej do siedemnastej.

— Czy to wszystko?

— Tak... Aha, mąż prosił, by panią pozdrowić, i pytał, jak się pani czuje.

— Dziękuję. Proszę powiedzieć mężowi, że czuję się dobrze. Może jednak zrobi pan wyjątek, doktorze, i pozwoli na widzenie.

— Niestety, nie mogę. Przepisy nie pozwalają. Zapewniam panią, że wszystko jest w porządku i naprawdę niepotrzebnie się pani niepokoi. Gdyby sytuacja była poważna, bez chwili zwłoki wpuściłbym panią do męża.

— A jutro?

— Niestety nie, dopiero w czwartek. Przykro mi, ale pani rozumie: regulamin szpitalny...

— Gdyby się jednak pogorszyło, bardzo proszę powiadomić mnie natychmiast.

— Nie obawiamy się pogorszenia. Mąż pani jest pod dobrą opieką, zapewniam.

Teresa wyszła.

Lekarz dyżurny otarł ręką zroszone potem czoło. „Szesnaście godzin mija, odkąd go przywieźli, a on cały czas nieprzytomny. Niech to cholera! No cóż, ciężkie jest życie bezpieczniaka. Szkoda kobiety, taka młoda i najwyraźniej ciężarna. Może zresztą jakoś go wyciągniemy. Udało mi się biedaczkę uspokoić. Dobrze, że nie było tu Żywczyńskiego. Jest zbyt szczery, mógłby wygadać się, że z kapitanem kiepsko”.

Gren przyglądał się przez kilkanaście sekund nieznanemu otoczeniu. „Gdzie jestem? Co to?" — zrodziła się leniwa myśl.

— Doktorze, nasz podopieczny się obudził.

— Pić — wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

— Proszę leżeć spokojnie, kapitanie.

Pielęgniarka pochyliła się nad rannym i podała herbatę.

— Co mi jest? — spytał Hubert trochę mocniejszym głosem. — Powiedzcie, co się ze mną stało?

— Nic poważnego. Mała rana — usiłował bagatelizować lekarz.

Grenowi, jak gdyby przez opary gęstej mgły, zaczęła przypominać się scena na cmentarzu.

— Kiedy będę mógł wstać?

— Niedługo, może za kilka dni

— Czy ktoś może mnie odwiedzić?

— Tak, ale na krótko Jeśli chcecie nas prędko opuścić, musicie wypoczywać w absolutnym spokoju

— To dobrze... Chciałbym zobaczyć się z żoną. Na pewno się niepokoi o mnie...

— Już jest zawiadomiona. Przyjdzie we czwartek.

— Dopiero?... Ja rozumiem, wiem, regulamin... Doktorze...

— Słucham.

— Mam... — mówił z wysiłkiem, pospiesznie — kilka spostrzeżeń, bardzo ważnych, dotyczących sprawy, którą prowadziłem do chwili zranienia. Chciałbym przekazać...

— Rozumiem. Ale nie mogę tu jeszcze nikogo wpuścić służbowo. Chodzi o wasze zdrowie To najważniejsze!

— Ale ja muszę... to pilne... bardzo pilne...

Doktor zastanawiał się chwilę.

— Możemy przystawić magnetofon, jeśli tylko czujecie się na siłach mówić Byle krótko.

— Dobrze Postaram się. Dawajcie ten magnetofon — rzekł z nagłą energią

Po chwili do separatki przyniesiono magnetofon i oddalono pielęgniarkę.

— Uwaga! Włączam.

— Dobrze.

— Proszę mówić.

— Uwaga. Zostałem raniony przez „zamiatacza". Należy do siatki „Rudego".

Pot skroplił obficie czoło Huberta. Doktor pochylił się nad nim, otarł troskliwie skronie.

— Pobrać od dozorcy z Marszałkowskiej odciski palców. Porównać ze stuzłotówką. Odciski przybrudzone... bardziej wyraźne należą... do członka z siatki „Rudego". Rysopis poda dozorca...

Mówienie sprawiało rannemu coraz większą trudność. Przed oczyma wirowały mu czarne kręgi, głowa ciążyła ołowiem.

— Może dość już, kapitanie. Odpocznijcie trochę.

— Dobrze... — wychrypiał.

— Leżcie spokojnie. Zabieramy magnetofon.

— Poczekajcie... Chcę... jeszcze... kilka słów... żonie... przekazać.

Głos Grena zabrzmiał pewniej, choć z wysiłku nabrzmiały mu sine żyły na skroniach.

— Tereniu... Wszystko w porządku. Jestem lekko ranny. Za kilka dni już wyjdę ze szpitala. Dbaj o siebie... Całuję cię...

— A teraz, kapitanie, trzeba spać.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

Tadek Brun oczekiwał lekarza na dole.

— Co z Grenem?

— Czuje się trochę lepiej. Przed chwilą odzyskał przytomność.

— Doktorze, czy to coś poważnego? Kiedy wyjdzie ze szpitala?

Twarz doktora Żywczyńskiego spochmurniała.

— Będę szczery. To nie taki zwykły postrzał. Mam nadzieję, że utrzyma się przy życiu, ma bardzo silny organizm, ale nie wyjdzie stąd wcześniej niż za dwa miesiące.

— To aż tak?... A... czy po tym czasie... będzie wszystko w porządku?...

— Tego sam nie wiem. Zachodzi podejrzenie, że będzie miał niedowład nóg.

— Doktorze!

— Tak.

— To straszne.

— Przed wami, kapitanie, nie potrzebuję nic ukrywać, to naprawdę poważny wypadek.

— Czy coś mówił?

— Zaczekajcie, kapitanie, zaraz włączę magnetofon.

Brun ze wzruszeniem słuchał słów nagranych na taśmę.

— Doktorze...

— Słucham.

— Zadzwonię do mieszkania rannego, a wy to nadacie niby bezpośrednią rozmowę. Dobrze?

Nie czekając na odpowiedź nakręcił numer i podał słuchawkę doktorowi. Ten nie oponował.

— Czy mieszkanie kapitana Grena?

— Tak.

— Tu szpital. Łączę z aparatem męża. Proszę słuchać i nie przerywać, ponieważ mąż jest bardzo osłabiony.

Włączyli magnetofon.

— Tereniu... — płynęły słowa z magnetofonowej taśmy.

— Halo, muszę przerwać rozmowę, by nie męczyć pani męża. Proszę przyjść w czwartek.

— Dziękuję, bardzo dziękuję!

— Do widzenia pani. Proszę być dobrej myśli!

Odłożyli słuchawkę.

— Dziękuję, doktorze. To, co powiedział Gren, może być nam bardzo pomocne.

## 11.

— Towarzyszu szefie, kapitan Brun melduje swoje wejście.

— Co tam nowego? Jak się czuje Gren?

— Posłuchajcie, pułkowniku.

Włączył magnetofon.

— Dzielny chłopak. No cóż, kapitanie, idźcie jego śladem. Ten trop na Marszałkowskiej powinien być dobry.

Brun podszedł do dozorcy.

— Dzień dobry. Chciałbym z panem zamienić kilka słów.

— A w jakiej sprawie?

— Wejdźmy do środka.

Przeszli do mieszkania.

— Wczoraj około pierwszej godziny był tu kolega po stuzłotówkę.

— Aha, rozumiem.

— Muszę wziąć od pana odciski palców.

— Panie śledczy, za co? Przecież nic nie ukradłem! Co ja takiego zrobiłem, jak pragnę szczęścia, że aż pan chce te odciski?

— Zaraz wytłumaczę. Otóż przez porównanie z innymi, pozostawionymi na banknocie, wiedząc, które należą do pana, łatwiej wpadniemy na trop tego, kogo szukamy.

Dozorca wyciągnął obie ręce do smarowania tuszem.

— Proszę odcisnąć tu, na tej kartce. I jeszcze jedno: proszę o możliwie dokładny opis faceta od tej setki.

— Przecież podawałem wczoraj koledze.

— Tak, zgadza się, ale kolega nie może chwilowo przekazać nam rysopisu.

— Dobra, mogę powtórzyć. Więc ten, co dopytywał się o doktora Majewskiego, miał jakieś czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Był przystojny, ubrany elegancko w taki szary garnitur, chyba amerykański. Wzrost miał taki, jak tamten pan śledczy, był tylko trochę lepiej zbudowany i tęższy. Miał teczkę z jakimś monogramem, ale jakim — nie udało mi się odczytać. Coś takiego, jak „zet", a może „es", cholera tam wie, co to były za wygibasy.

— Co robił?

— Najpierw poszedł na pierwsze piętro, a potem, jak mnie zauważył, to skarżył się, że go serce boli. Rozpytywał się o doktora Majewskiego. Twierdził, że mu go znajomy polecił.

— Czy mówił coś jeszcze? Jakieś nazwisko?

— Nie. Dał mi sto złotych, te, co wczoraj pan śledczy mi zabrał.

Brun wrócił do Urzędu. Teraz trzeba było tylko porównać materiał z odciskami pobranymi od denata z Mokrej. Może będą pasować. Zeszedł do Wydziału Kryminologii. Pochylił się nad mikroskopem. Długo i szczegółowo badał cechy zbieżne. Nie zgadzały się.

— A więc to ktoś inny odwiedził siedzibę „Rudego"?... — powiedział sam do siebie. — Ale kto?...

Zaszedł do gabinetu pułkownika Kowalskiego.

— Byłem na Marszałkowskiej. Mam rysopis gościa. I inicjał z jego teczki: „S" lub „Z". Ślady pozostawione na stuzłotówce nie pasują do odcisków tego faceta z Mokrej. Natomiast na podstawie poprzednich danych jestem w stu procentach pewien, że „zamiatacz" i nieznajomy z Mokrej jest to ta sama osoba.

— Tak, to by się zgadzało. Czyli, mówiąc szczerze, kapitanie, ślad się urwał.

— Nie, tego bym nie powiedział, pułkowniku. Mamy przecież nie zidentyfikowane odciski palców gościa „Rudego".

— Zgadzam się z wami, Brun, tylko nie zapominajcie, że jest to szukanie przysłowiowej szpilki w stogu siana. Nie macie żadnych innych danych.

— Przecież poza daktyloskopią mam inicjał i rysopis.

— Tak — sapnął z irytacją pułkownik — inicjał! Ten wasz inicjał nie jest taki pewny, „S" lub „Z". Czy wiecie, ilu ludzi w Polsce ma inicjały „S" lub „Z"?... Jeżeli chcecie szukać według inicjałów, to czysta bzdura.

— Zgadzam się, nazwisk zaczynających się na „S" lub „Z" jest do cholery i ciut, ciut.

— O to właśnie chodzi...

— Ale przecież tylko niewielu z tych ludzi jest w kolizji z prawem — upierał się przy swej hipotezie Brun.

— I wy myślicie, że właśnie taki typ zostawił dla nas specjalnie odciski swych szlachetnych paluszków? Skąd ta pewność, kapitanie? Mógł to być równie dobrze ktoś nie notowany w naszych kartotekach.

— Być może ten, który pozostawił odciski, jest na pozór jak najbardziej lojalnym obywatelem. Być może — jest w rejestrach Centralnej Kartoteki. Mam nadzieję, że to był ktoś z siatki. Zaczniemy chyba od kartoteki...

— Tak... To długa, żmudna robota. Trzeba sprawdzić według grup i podgrup daktyloskopijnych. Może to potrwać kilka godzin...

— Jestem na to przygotowany.

— Co tam ciekawego, kapitanie? — spytano Bruna w Kartotece Poszukiwanych.

— Cholerny kawałek roboty. Gren prowadził sprawę. Oto odciski palców jednego z podejrzanych o przynależ-

ność do tej kochanej paczki. Jedyne, co wiemy, to to, że nazwisko tego faceta zaczyna się na „S" lub „Z".

— To i tak, jak słyszę, wyjątkowo dużo uzyskaliście! — pokpiwał młody porucznik z kartoteki. — Szkoda, że nie podajesz, drogi przyjacielu, całego alfabetu, ale nic się nie martw. To twoje „S" lub „Z" nie jest nam potrzebne. Sprawdzimy tego ptaszka według swoich metod.

— Czy wiecie, że Gren jest ranny?

— Tak.

— Ale nie wiecie, kto go tak urządził.

— Hmmm... podobno któryś z wywiadowców.

— Nie. Grena wykończył gość z siatki rozpracowywanej przez niego.

— A co z tym gościem? To jego paluszki?

— Nie przerywaj, bo nie skończę do jutra rana. Znaleziono go na jednym z przedmieść Warszawy, ale już sztywnego.

— Wykończono i jego?

— Chyba tak. Był naszpikowany trucizną niczym pasztet tłuszczem.

— No, no, no, szybko się uwinęli. Jeszcze trochę, a pomyślę, żeś to, przyjacielu, wytrzasnął z Szekspira. Tyle trupów! Brrr...

— Tak, ale nie zapominajcie, że szliśmy jego śladem i można by było w ten sposób dotrzeć do tych, z którymi był powiązany „Rudy".

— A te odciski?

— Chyba nie myślicie, że moje. To druga nić prowadząca dalej. Ten gość był u „Rudego" i zostawił na pamiątkę swoje paluszki, dość co prawda fragmentaryczne.

— Powinno nam to wystarczyć. Może wiecie coś więcej?

— Wiek około pięćdziesiątki.

— Kiedy chcecie mieć te dane?

— Jak najszybciej.

— Trzeba będzie poczekać kilka godzin.

— Czy macie „Gazetki Poszukiwań" z roku 1945 i 1946?

— Tak.

— To pozwólcie, że będę szukał także na własną rękę.

— Dobra, zabierzemy się z dwóch stron, ale my będziemy od was, kapitanie, szybciej.

— Wcale nie przeczę.
— Powodzenia, kapitanie.
— Cześć.

Od rana, odkąd odzyskał przytomność, Gren uskarżał się na ciągły szum wentylatora. Doktor Żywczyński przeniósł go przed drugą do innej separatki. Do pokoju Grena przywieziono milicjanta rannego w wypadku samochodowym.

Dochodziła godzina osiemnasta. Siostra Barbara, jak co dzień, zabrała podręczny sterylizator ze strzykawkami i poszła robić zastrzyki. Przed drzwiami separatki sprawdziła jeszcze raz ampułkę. Tak, to ta — otrzymana od mężczyzny w ciemnym pokoju. Weszła do środka. Chory leżał odwrócony tyłem i spał.

— To dobrze, że śpi. Będzie mi łatwiej...

Wprawnie napełniła strzykawkę.

Podeszła do leżącego. Błyskawicznym ruchem wbiła igłę w leżące na kołdrze ramię. Chory ani drgnął, spał dalej. Schowała strzykawkę i ampułkę do kieszeni fartucha. Wyszła. Oparła się plecami o futrynę. Była zmęczona. Ręce miała lepkie od potu. „Cholera, rozklejam się". Nogi uginały się pod nią. Weszła do toalety. Wrzuciła do umywalki pustą ampułkę. Wypłukała strzykawkę. Napiła się wody. Poczuła się lepiej. Przed lustrem przygładziła wystające spod czepka włosy. Pozostały jej jeszcze do zrobienia dwa zastrzyki. Dwóch chorych — i będzie mogła zadzwonić do swego mocodawcy Otworzyła drzwi. W rogu pokoju leżał major KBW przywieziony z białostockiego.

— Co tam, siostro, znów szpikowanie pośladka waszymi truciznami? — krzyknął na jej widok tubalnym głosem.

— Ależ skąd, majorze?

— Znamy się na tych waszych specyfikach. Tylko patrzy siostrunia, jak by tu biednego chorego pognębić.

— Proszę się przygotować.

— Och, siostruniu, jak ja bym wam z przyjemnością zastrzyknął jakieś paskudztwo w ten uroczy pośladeczek.

— No, no, no, widzę, że towarzysz major już zdrów. Muszę zameldować doktorowi, to majora wypiszemy.

— O, jak mnie boli — zaczął stękać major — ojej — złapał się za bok.

— No dobrze, proszę już tak nie jęczeć. Nie zamelduję doktorowi...

Pochyliła się, by zrobić zabieg. W tym momencie major wyciągnął ku niej ramiona.

— Daj, siostruniu, biedakowi buziaczka, a puszczę.

— Co to, to nie, poskarżę się doktorowi Żywczyńskiemu.

Zaczęła się szamotać. Podsunęła mu jednak usta.

— No, a teraz zrobimy zastrzyk i pa.

— Siostruniu kochana, wpadnijcie do mnie po kolacji, tak przyjemnie się z wami rozmawia.

Wyszła. Poprawiła przekrzywiony czepek i obciągnęła fartuch.

„Niedźwiedź, nie chłop. Takiemu dostać się w ręce, to by kobietę zamęczył, chociaż... mogłoby być to całkiem przyjemne. Trzeba będzie jednak pójść po kolacji do niego. Może coś ciekawego uda mi się wydobyć z tego pieszczoszka..."

Pospieszyła do ostatniego chorego. Z książki przyjęć wiedziała, że był to milicjant ranny w wypadku samochodowym. Z zalecenia lekarza wynikało, iż ma mu wstrzyknąć glukozę. Otworzyła drzwi. Chory leżał obojętny na wszystko, co się wokół niego dzieje, wpatrzony w ciemniejące za oknem niebo.

— Dobry wieczór, proszę przygotować się do zastrzyku.

Podeszła bliżej. Chory odwrócił głowę. Krzyknęła.

W łóżku leżał kapitan Gren, a jego twarz rozjaśniał blady uśmiech.

Przetarła oczy. Tak, to był naprawdę Gren. Spojrzała na zegarek. Od zrobienia zastrzyku minęło dwadzieścia minut. Nie, nie mogła się omylić. Przecież zrobiła mu zastrzyk.

— Co się siostrze stało? Czy aż tak kiepsko wyglądam, że aż siostra krzyczy na mój widok?

Sięgnęła do kieszeni Wyjęła ampułkę z witaminą $B_1$. Obejrzała dokładnie. Nie, nie ma na spodzie krzyżyka. Co to w takim razie znaczy? Czyżby pomyliła pokoje i zamiast wejść do milicjanta, weszła po raz drugi do Grena?

— Nie, kapitanie — odpowiedziała — zobaczyłam cień na ścianie i przelękłam się.

— Aha, rozumiem. Nie trzeba być tak przewrażliwioną. Proszę usiąść. Siostra drży cała. Tu stoi szklanka z wodą. Proszę się napić, to powinno zaraz przejść.

Wypiła wodę jednym haustem.

— No jak, lepiej?

— Już dobrze.

— No to proszę mi wstrzyknąć moje $B_1$ i te inne paskudztwa.

Pochyliła się. Szukała śladu po świeżym zastrzyku. Nie było. Szybko wróciła do poprzednio odwiedzonej separatki. W łóżku kapitana Grena leżał nieżywy milicjant. Oczy, szeroko otwarte, wyrażały strach i jakby niemy wyrzut.

Usiadła na brzegu łóżka. Roztrzęsionymi rękami sięgnęła po papierosa i zapałki. Zaciągnęła się mocno dymem. „Cholera, co za przeklęta pomyłka! Dlaczego nie zajrzałam mu w twarz? Jestem tchórzem, potwornym tchórzem, i to zemściło się na mnie. Nie zniosę dłużej... Zaraz, co zrobić, co zrobić?... Zadzwonić i powiedzieć mu, że się omyliłam?... Chyba tak... Muszę. I tak się dowie... Jeżeli będzie mnie znowu zmuszał, odmówię, zagrożę, że go zdradzę. Bezpieka ucieszyłaby się z takiego podarunku. Oho!... Musi dać mi spokój. Nie mogę już dłużej... Dość, dość mam tego". Ostatnie słowa niemal wykrzyczała. Uchyliły się drzwi. a

— Co tu się dzieje? — W drzwiach stał doktor Żywczyński. — Dlaczego pani krzyczy, przecież tu leży chory?

Podszedł bliżej. Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumieć wszystko.

— Przyszłam robić zastrzyk, a on sztywny. Przestraszyłam się, doktorze.

— Tak, to widać. Siostra jest przemęczona. Proszę iść do pokoju, odpocząć. Krople też się przydadzą. Waleriana, trzydzieści kropel. Proszę się położyć.

Następnego dnia po opisanych wypadkach w pokoju lekarza dyżurnego Zakładu Medycyny Sądowej odezwał się telefon.

— Słucham, Medycyna Sądowa.

— W okolicach Wału Miedzeszyńskiego zginęła w katastrofie samochodowej kobieta. Proszę natychmiast jechać.

— Kto mówi, proszę podać numer telefonu, imię i nazwisko.

— Życzliwy... Zawiadomcie Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa. To ich zainteresuje.

— Kto mówi? Halo!...

Połączenie zostało przerwane.

Była jedenasta, kiedy pułkownik Kowalski otrzymał wiadomość z Zakładu Medycyny Sądowej.

— Przed chwilą otrzymaliśmy anonimowy telefon! — krzyczał w słuchawkę lekarz dyżurny. — Rozmówca kazał nam udać się na Wał Miedzeszyński, zabrać stamtąd zwłoki kobiety zabitej w wypadku samochodowym i, co najdziwniejsze, powiadomić natychmiast Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa. Zaznaczył, że to was zainteresuje. Co o tym sądzicie, pułkowniku?

— Zaraz tam będę. Dziękuję. Cześć! — Pułkownik rozłączył się, po czym nakręcił numer telefonu kapitana Bruna.

— Tu Kowalski. Zejdźcie na dół. Wybierzemy się razem na maleńką przejażdżkę.

Jeszcze jeden telefon do Wydziału Kryminologii.

— Doktor Wajnert?

— Tak.

— Tu Kowalski. Przygotujcie swoich ludzi na małą wycieczkę. Kierunek — Wał Miedzeszyński. Czekam na was na dole. Cześć!

Kiedy wszyscy zebrali się przed Urzędem, Brun już czekał w samochodzie. Szary citroen wyprysnął sprzed gmachu osiemdziesiątką. Tuż za nim na ciągłym sygnale jechał wóz z Wydziału Kryminologii.

— Co się stało, szefie?

— Jakiś nieznajomy powiadomił *via* Zakład Medycyny Sądowej o przejechanej na Wale Miedzeszyńskim kobiecie. Jedziemy sprawdzić.

Wozy zajechały prawie jednocześnie. Kobieta leżała w kałuży zakrzepłej krwi.

— Nie żyje — stwierdził lekarz.

Przeszukano płaszcz. W wewnętrznej kieszeni znaleziono legitymację służbową.

— Barbara Nowakowska — czytał pułkownik Kowalski — pielęgniarka szpitala MBP.

— Co o tym sądzicie, kapitanie?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że to wiąże się jakoś z Grenem.

— Intuicja?... Być może. Niczemu się już nie dziwię. Musimy tam natychmiast pojechać i dowiedzieć się, czy nic się Grenowi nie stało. O wynikach sekcji — pułkownik zwrócił się do lekarza z Medycyny Sądowej — powiadomcie telefonicznie. Jeżeli znajdziecie coś specjalnego, to proszę mnie zaraz zawiadomić.

Wsiedli do samochodu.

— Kryspin, pełnym gazem na Żelazną.

W pół godziny byli na miejscu. W westybulu szpitala spotkali doktora Żywczyńskiego.

— Dzień dobry, pułkowniku! — zawołał na widok Kowalskiego.

— Jak z kapitanem Grenem? Czy wszystko w porządku?

— Jak najbardziej.

— Chciałbym z wami, doktorze, porozmawiać.

— Proszę do mojego pokoju.

— Chodźcie, Brun, ze mną.

— Co się stało, czy możecie, pułkowniku, wyjaśnić tę nagłą wizytę? — dopytywał się Żywczyński.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak oceniacie pracę pielęgniarki Barbary Nowakowskiej?

— Nowakowskiej?...

— Tak.

— Pracuje dobrze, nawet, powiedziałbym, z pewnym poświęceniem. Jest na oddziale ciężkich przypadków.

— Czy nie macie wobec niej żadnych zastrzeżeń?

— Nie. Wszyscy ją chwalą. Jest zawsze na każde zawołanie pod ręką.

— Aha! A czy na tym oddziale ostatnio nikt nie umarł?

— O co chodzi, nic nie rozumiem?

— Czy nikt nie umarł nagle na tym oddziale, gdzie pracuje Nowakowska?

— No, umierają... To się zawsze trafia w szpitalu.

— Mam na myśli śmierć nagłą.

— Były dwa wypadki. Jeden zawał serca, około dwóch miesięcy temu, a drugi przypadek śmierci — wczoraj. Prawdopodobnie ta sama przyczyna zgonu. Sekcji jeszcze nie zrobiono.

— Mówicie: wczoraj?

— Tak.

— A gdzie leżał chory?

— Zaraz, przypomnę sobie... Tyle pracy... Aha, pod ósemką.

— Przecież tam leży kapitan Gren.

— Od wczoraj już nie. Skarżył się na nieznaczny hałas wentylatora kuchennego i został przeniesiony pod dziesiątkę, a pod ósemką położyliśmy milicjanta rannego w wypadku. Był nieprzytomny, więc ten niewinny szmer nic mu nie przeszkadzał.

Pułkownik porozumiał się wzrokiem z Brunem.

— Czy siostra Nowakowska wiedziała, że kapitan Gren został przeniesiony pod dziesiątkę?

— Zaraz, dowiem się od drugiej pielęgniarki.

Po chwili przyszedł z niemłodą już siostrą Anną.

— Przepraszam bardzo, że przerywam pracę — zaczął pułkownik Kowalski — chciałbym zadać dwa pytania.

— Słucham.

— Czy pielęgniarka Nowakowska została powiadomiona o przeniesieniu kapitana Grena z ósemki do dziesiątki?

— Nie — zmieszała się siostra Anna — zapomniałam jej o tym powiedzieć.

— To wszystko. Dziękuję. Drugie pytanie jest w takim razie zbyteczne. Być może, siostra uratowała w ten sposób kapitanowi Grenowi życie — dodał bardzo cicho. Siostra Anna wyszła, nie dosłyszawszy ostatnich słów.

— Doktorze, mam prośbę. Chodzi o dokładne przeprowadzenie sekcji zwłok tego milicjanta. Trzeba szczególną uwagę zwrócić na próbkę ciała z miejsca, w którym był robiony ostatni zastrzyk. Zachodzi podejrzenie, że nie był to zawał serca, lecz trucizna. Prosiłbym także o ekshumację i sekcję zwłok pierwszego nieboszczyka.

Doktor zbladł gwałtownie, spojrzał na pułkownika jakby z niedowierzaniem. Potem usiadł na kancie stołu i podniósł słuchawkę telefonu.

— Proszę przeprowadzić sekcję zwłok zmarłego wczoraj milicjanta i zrobić wyciąg z okolic miejsca, w którym

zauważycie nakłucie, a następnie przeprowadzić próby na myszach... Tak, jak najprędzej. O wynikach zameldować na górę telefonicznie.

Spojrzał wyczekująco na Kowalskiego. Ten pytał dalej:

— Czy pielęgniarka Barbara Nowakowska była wczoraj podniecona lub zdenerwowana?

Doktor potarł ręką czoło, przymknął oczy.

— Tak... Wczoraj, kiedy miałem już wychodzić do domu, usłyszałem krzyk kobiecy, dochodzący z ósemki. Zajrzałem. Przy łóżku milicjanta siedziała Nowakowska i krzyczała. Podszedłem do chorego i stwierdziłem, że już nie żyje. Sądziłem, że pielęgniarka przelękła się i dostała szoku nerwowego. To zrozumiałe przy przemęczeniu...

— Czy mógłbym przesłuchać chorego spod dziewiątki i — jeżeli to jest możliwe — kapitana Grena?

— Proszę. Tylko kapitana Grena nie wolno przemęczać.

— Załatwię to szybko i delikatnie.

Przeszli pod dziewiątkę.

— Dzień dobry, majorze. Przyszedłem do was z pułkownikiem Kowalskim z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

— Bardzo mi miło. Co was, pułkowniku, sprowadza do mnie?

— Chciałbym zadać kilka pytań.

— Czy dotyczy to spraw służbowych?

— Nie, tutejszego podwórka. Powiedzcie mi, jakie wrażenie wywarła na was pielęgniarka Nowakowska?

— Klawa babka, chętnie zrobiłbym jej zastrzyk domięśniowy.

— Nie żartujcie, nie o to przecież pytam... Czy była wczoraj zdenerwowana?

— Nie. Chyba nie Zupełnie normalna. Tyle tylko, że miała przyjść do mnie drugi raz i nie przyszła. A taką mam na nią ochotę... — niepoprawny major mrugnął szelmowsko okiem. — No cóż, nudzi się leżeć — dodał na widok zmarszczonych gniewnie brwi Kowalskiego.

— Czy nie wypytywała was o sprawy służbowe?

— Nie, nigdy.

— To dziękujemy, majorze.

Przeszli do pokoju Grena.

— Jak to dobrze, że was widzę — ucieszył się. — Głos

miał bardzo słaby, mówił z trudem. — Co to za święto, że lekarz wpuścił?...

— Ano, udało się jakoś... Jak się czujesz, stary?

— Tak sobie, nie najgorzej. Siadajcie, pogadamy trochę. Jak sprawa?

— Posuwa się naprzód.

Umilkli, skrępowani widokiem jego wynędzniałej twarzy, przezroczystych niemal dłoni, bezbarwnym dźwiękiem głosu.

— Słuchaj, Hubert — zaczął wreszcie Brun — powiedz, jak się zachowywała wczoraj pielęgniarka?

— Śmiesznie — uśmiechnął się blado. — Krzyknęła na mój widok, jak gdyby ujrzała upiora. Potem długo piła wodę i grzebała się z tym zastrzykiem, jakby nie mogła znaleźć dogodnego miejsca.

— Tak... Wszystko się zgadza.

— Co? Powiedzcie — usiłował unieść głowę, ale opadła mu bezwładnie na poduszkę.

— Cicho... Leż spokojnie! I mów jak najmniej! Posłuchaj, ta twoja pielęgniarka otrzymała prawdopodobnie rozkaz, by cię wykończyć. Podejrzewamy, że zrobiła choremu leżącemu w twojej dawnej separatce zastrzyk z trucizny, a kiedy tu przyszła, nie mogła opanować zdenerwowania na widok ruszającego się nieboszczyka.

— Teraz rozumiem jej zachowanie...

— To już nie będziemy więcej cię męczyć. Damy ci specjalną ochronę, a ty zdrowiej nam szybko. Cześć, Hubert! Jak będzie coś ciekawego, damy ci znać.

Skierowali się do wyjścia.

— Tadek... pułkowniku. Niech Teresa tu przyjdzie... Załatwcie z doktorem, dobrze?

— Dobra, postaram się — obiecał pułkownik Kowalski.

Przeszli do pokoju doktora Żywczyńskiego. Właśnie przyjmował telefon.

— Słucham, Żywczyński.

— Tu prosektorium. Próbka skóry pobrana z lewego ramienia była nasycona specyfikiem trującym. Dokonane na myszach doświadczenie dało rezultat pozytywny. Myszy padły.

— Przyślijcie do mnie na górę protokół z dokładnym opisem — położył słuchawkę.

— Doktorze, prosimy o wyjątkową opiekę nad kapitanem Grenem — powiedział Kowalski.

— Zrobię, co będę mógł. Wszystkie zabiegi będziemy dokonywali na zmianę z doktorem Machniewskim. Nie dopuścimy tam nikogo więcej.

— Dziękuję. I jeszcze jedno... On bardzo by chciał zobaczyć się z żoną... Doktorze, czy to możliwe przy obecnym stanie jego zdrowia?

— Zgodzę się na wizytę, gdy chory będzie trochę lepiej wyglądał. Po co ma się kobieta przerazić? W jej stanie taki wstrząs... Ja wiem, że taka wizyta dobrze robi, ale... No, jeszcze parę dni. Rozumiecie mnie chyba?

Wyszli, zabierając protokół sekcji zwłok milicjanta.

## 12.

— Co myślicie, Brun, o tym wypadku?

— Myślę, że trzeba będzie jak najszybciej znaleźć osobnika z teczką.

— Tak...

— Poza tym jestem ciekaw wyniku badań z Zakładu Medycyny Sądowej i z Wydziału Kryminologii.

— Powinny już nadejść.

W tym momencie zadzwonił telefon.

— Tu Medycyna Sądowa.

— Słucham, Kowalski.

— Denatka została uderzona przez samochód z wielką siłą. Sekcja wykazała złamanie kręgosłupa i pęknięcie podstawy czaszki. Poza tym ogólne obrażenia wewnętrzne, między innymi pęknięcie wątroby. Nasuwa się wniosek, że denatka uderzona była w prawy bok, na którym jest duży wylew podskórny. Bardziej szczegółowy raport prześlemy później.

— Dziękuję, doktorze, za szybko przeprowadzoną sekcję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

— Za omyłki drogo się płaci, kapitanie.

— Tak, ale dzięki tej omyłce kapitan Gren żyje.

— Lepiej byłoby jednak, gdyby nikt nie zginął. Trudno, stało się.

Do pokoju wszedł pracownik z Wydziału Kryminologii. Podał pułkownikowi zalakowaną kopertę.

— Towarzyszu szefie, przyniosłem protokół z miejsca wypadku.

— Dziękuję.

Odczekali, aż wyjdzie.

— Zobaczymy, co tam ciekawego odkryli.

Zaczął czytać półgłosem:

**Meldunek**
**Dotyczy wypadku samochodowego na Wale Miedzeszyńskim**

Wydział Kryminologii WUBP komunikuje: na miejscu wypadku dokonano oględzin, które dały następujące wyniki:

1. Denatka została potrącona przez samochód osobowy.
2. Samochód zatrzymał się sto metrów od miejsca wypadku, a następnie zawrócił.
3. W pobliżu denatki znaleziono odprysk czarnego lakieru.
4. Zdjęto gipsowe ślady opon.
5. W załączeniu przesyłamy fotografie śladów opon, odcisków gipsowych ze śladów opon, odcisków gipsowych ze śladów obuwia oraz zdjęcia denatki.
6. Przy denatce znaleziono ślady obuwia męskiego numer 37. (W załączeniu przesyłamy fotografie śladów obuwia).

Kierownik Wydziału Kryminologii
przy WUBP w Warszawie
(—) dr Leopold Wajnert, mjr

— Co ty na to? — zapytał po przeczytaniu meldunku pułkownik.

— Bardzo ciekawe, ale o krok nie posunęło naszej sprawy.

— Nie masz racji, Brun. Wiemy obecnie, że melina ich znajduje się gdzieś na Saskiej Kępie.

— Skąd ten wniosek, pułkowniku?

— Samochód nie goniłby przecież za nią przez całe miasto. Trzeba rozejrzeć się w okolicy, a poza tym trzeba jak najszybciej zdobyć dużo danych.

— Musimy przycisnąć tych z kartoteki, żeby szybciej szukali naszego gościa od stuzłotówki.

— Nie tylko to, kapitanie. Należy dotrzeć do kogoś z rodziny „zamiatacza". Wejść w jego środowisko, a przez nie dotrzeć do mózgu kierującego „Rudym".

— Tylko jak?

— Pozostawiam to waszej inteligencji, Brun. Życzę powodzenia.

## 13.

Na przeszukiwanie terenu rzucono kilkunastu funkcjonariuszy pod kierownictwem wywiadowcy Kuśmirka. Po pierwsze, chodziło o znalezienie czarnego samochodu, po drugie: trzeba było spośród kilkudziesięciu will wyłuskać melinę, w której przebywał sztab kierujący „Rudym". Dodatkowe przesłuchanie „Rudego" nie dało żadnych wyników. Na pytanie, gdzie znajduje się sztab, odpowiadał niezmiennie, że o żadnym sztabie nie wie. Jedyne, co wie, to skrzynka kontaktowa na cmentarzu powązkowskim w trzydziestej ósmej kwaterze... Pozostawiono więc „Rudego" w spokoju.

Po kilkugodzinnym przeczesywaniu terenu wywiadowcy powrócili zmęczeni i bez wyników. W jednej z okolicznych will, oddalonej zresztą od miejsca wypadku, był ukryty lokal Ministerstwa, gdzie odbywały się spotkania, które trzeba było zachować w tajemnicy. Z lokalu tego korzystał właśnie kapitan Masnowski. Miał tam spotkanie z jednym ze współpracowników.

Pułkownik Kowalski nakręcił numer bezpośredni.

— Kapitan Masnowski.

— Tak.

— Dzień dobry, towarzyszu, mówi Kowalski z Wojewódzkiego Urzędu. Chciałbym uzyskać odpowiedź na kilka pytań.

— Słucham.

— Czy wczoraj byliście w lokalu Ministerstwa na Saskiej Kępie?

— Byłem.

— O której godzinie?

— Od dwunastej do czternastej.

— Czy idąc nie zauważyliście po drodze, gdzieś w okolicy, czarnego samochodu?

— Nie, towarzyszu pułkowniku. Czy się coś stało?

— Nie, nic szczególnego.

— Czy macie jeszcze jakieś pytania?

— Nie, to już byłoby wszystko. Dziękuję wam, kapitanie.

Do pracy rzucono niemal połowę wydziału.

Brun w wolnych chwilach wertował zapamiętale „Gazetki Poszukiwań". Przejrzał już czterdzieści cztery egzemplarze, ale bez wyników. Zabierał się właśnie do kolejnego numeru, gdy na biurku zadzwonił telefon.

— Słucham, Brun.

— Mówi Kowalski. Jeżeli nie macie nic pilnego, zajrzyjcie teraz do mnie.

— Już idę.

Odłożył akta do szafy i poszedł do gabinetu szefa.

— Cześć, kapitanie! — przywitał go Kowalski. — Czy są już jakieś wyniki?

— Jeszcze nie.

— Za to ja mam miłą wiadomość. Gren czuje się już lepiej.

— Czy wstał?

— Nie, skąd? Tak dobrze jeszcze nie jest Ledwo może siedzieć, i to podparty poduszkami. Ale to już dużo.

— Może byśmy wpadli do niego? Co, szefie?...

— Właśnie dlatego dzwoniłem.

Szary citroen był już gotów do odjazdu

— Na Żelazną — rzucił pułkownik w stronę Kryspina. — Po drodze zatrzymaj się na rogu Marszałkowskiej i Alej, kupimy kwiaty.

Ruszyli.

— Słuchaj, Tadek — zaczął Kowalski — chciałbym bardzo dać Hubertowi pewien prezent.

— Czy macie na myśli awans lub odznaczenie, pułkowniku?

— Nie, coś innego. Chciałbym do czasu jego wyjścia ze

szpitala aresztować pełnomocników „Rudego". To miałem na myśli.

— To jest również i moim największym pragnieniem, tylko... czy damy radę? Nie znaleźliśmy dotąd konkretnego śladu prowadzącego dalej.

— A odciski palców? Monogram?...

— Jeżeli będziemy szli tylko po tym śladzie, potrwa to zbyt długo... Zaraz... Mam myśl, szefie.

— No mówcie, Brun.

— Czy nie można by było zamieścić w prasie zdjęcia „zamiatacza" z prośbą o zgłoszenie się wszystkich osób mogących coś powiedzieć na jego temat? To by nam pozwoliło zorientować się, w jakim środowisku obracał się ten człowiek.

— Myślałem o tym, tylko że taka notatka informuje jednocześnie naszych przeciwników, a wtedy staną się bardziej ostrożni i zerwą kontakty.

— Tak, więc pozostaje nam jednak tylko tamta droga...

— W każdym razie jesteśmy już bliżej celu niż na początku tej sprawy.

— Jeżeli to nas w ogóle dokądś zaprowadzi...

Samochód zatrzymał się.

— Jesteśmy przy kwiaciarni.

— Dziękuję, Kryspin. Zaparkuj wóz w pobliżu. Zaraz wracamy.

Wracając po paru minutach do wozu z wiązanką goździków, zderzyli się raptownie z jakimś mężczyzną.

— Mógłby pan uważać, do stu diabłów!— rzucił z wściekłością Tadek.

— Najmocniej pana przepraszam.

Mężczyzna uniósł głowę i Brun poznał kapitana Masnowskiego, naczelnika wydziału „S" departamentu „H" w Ministerstwie.

— Przepraszam, kolego, nie poznałem was.

— A, kapitan Brun, jeśli się nie mylę. I pułkownik... Dzień dobry. Dokąd tak z kwiatami? Co to, jakieś imieniny?

— Nie. Jedziemy do chorego kolegi. Ciężko ranny...

— Któż to jest, że z taką pompą?...

— Kapitan Gren.

— Ach, ten as. Wiem, słyszałem. Bardzo z nim kiepsko?
— Bardzo.
— Jeśli pozwolicie, wpadnę z wami.

Czekali kilka minut, aż doktor Żywczyński wróci z obchodu, po czym, przywitawszy się z lekarzem, poszli w kierunku klatki schodowej. Na drugim piętrze zatrzymali się pod drzwiami separatki.

— Tylko proszę nie przemęczać chorego. Gdybyście zauważyli, że jest wyczerpany wizytą, pożegnajcie się i wezwijcie pielęgniarkę. Pamiętajcie, pozwalam tylko na dwudziestominutowe odwiedziny.

— Dobrze, doktorze. Zastosujemy się do wskazówek.

Weszli.

— Dzień dobry, towarzyszu Gren — powiedział kapitan Masnowski. — Bardzo mi miło będzie poznać was bliżej. Dużo o was słyszałem w Ministerstwie w związku z ujęciem i zdemaskowaniem „Kreta". Przykro mi, że w takiej właśnie chwili...

— Cześć, kapitanie — przywitał się pułkownik Kowalski.

— Cześć, Hubert — rzekł Brun. — Nie próbuj wstawać, leż spokojnie.

Wręczyli mu kwiaty.

— Co to? Dla mnie? Dajcie spokój! Z jakiej okazji?

— Bez okazji. Po prostu ktoś gdzieś kiedyś powiedział, że chorych odwiedzać należy z kwiatami.

— Dziękuję! Bardzo jesteście mili. Doprawdy, aż jestem zażenowany. Gdybym był kobietą, no to zrozumiałe. Ale dla mnie?

— Dla ciebie, dla ciebie, stary. Co, nie cieszysz się? Wolałbyś kielicha?

— Bardzo.

— Co bardzo? Kielicha?

— Nie, kwiaty.

— No to po co to całe gadanie?

— Dobrze, już dobrze. Dziękuję wam. Naprawdę, jestem wzruszony. Wstaw, Tadek, o, w ten wazon.

Brun wyszedł na chwilę po wodę. Gdy wrócił, obaj oficerowie zajęli już krzesła i jeden przez drugiego mówili Grenowi komplementy. Tadek włożył kwiaty do wazonu

i postawił na stoliku obok łóżka. Rozejrzał się, gdzie by tu usiąść. Podszedł do okna wychodzącego na ulicę i oparł się o parapet.

— Jak tam ze sprawą, czy posunęła się naprzód? — Gren spojrzał wyczekująco na Tadka.

— Właśnie — dodał kapitan Masnowski — ostatnio, towarzyszu Kowalski, jakoś skąpo przychodzą od was sprawozdania do Ministerstwa. Czyżby nic się nie działo? Zastój w interesie?

— Towarzyszu naczelniku, chwilowo nie składam raportu dyrektorowi departamentu dla waszego wydziału, ponieważ dochodzenie jest w toku, a mam już taki zwyczaj, że oddaję do zatwierdzenia sprawy zapięte na ostatni guzik. Wiecie zresztą o tym, że sekcja „S" wydziału „H", pracująca po waszej linii, jest chwilowo osłabiona. Brak jej kierownika, a towarzysz Brun nie był wprowadzony w bieg sprawy.

— Przecież sprawa „Rudego" jest już zakończona — wtrącił się do rozmowy Gren.

— Czyżby chorzy pracownicy lepiej się orientowali od szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa? — spytał z ironią kapitan Masnowski.

— Tak, sprawa siatki „Rudego" jest już zakończona — rzekł niechętnie Kowalski.

— To dlaczego nie przekażecie jej do akceptacji? — dopytywał się kapitan Masnowski. — I do prokuratury?

— Ponieważ pojawiły się uboczne okoliczności tej sprawy.

— Czy są aż tak ważne?

— Tak.

— No to powiedzcie coś o tym.

— Kapitanie, przyszliśmy w odwiedziny do chorego, a nie załatwiać sprawy służbowe.

— A więc proszę się jutro zgłosić do dyrektora departamentu. Ja ze swej strony złożę odpowiednią notatkę.

— Dobrze.

Kowalski był zły na siebie, że zaproponował kapitanowi Masnowskiemu wizytę w szpitalu. Całą przyjemność odwiedzin diabli wzięli!

Spojrzał na zegarek. Mijał czas wyznaczony przez doktora Żywczyńskiego. Szkoda, że nie udało się stworzyć

tej intymnej atmosfery przyjacielskiej rozmowy... Zaczęli szykować się do wyjścia.

— Zostańcie jeszcze chwilę — prosił Gren.

Z końca korytarza dały się słyszeć zbliżające się kroki.

— To już idą po nas.

Uścisnęli sobie ręce. W drzwiach stanęła pielęgniarka.

— Koniec wizyty. Proszę się pożegnać.

— Już idziemy

Zaczekała, aż opuszczą pokój.

— My tu jeszcze chwilę zatrzymamy się z kapitanem Brunem — powiedział Kowalski — chcemy się dowiedzieć u doktora Żywczyńskiego, jak przedstawia się stan zdrowia kapitana Grena. Czy zostaniecie z nami, towarzyszu kapitanie?

Zagadnięty spojrzał na zegarek.

— Niestety. Muszę się spieszyć na konferencję do Ministerstwa

— Do widzenia.

— Do zobaczenia w Ministerstwie, towarzysze.

Szybko zeszedł po schodach.

— Dobrze, że już poszedł — odetchnął Brun. — Jest wściekle antypatyczny i złośliwość aż tryska z niego.

— Nie powinniśmy kierować się sympatią czy antypatią. Widzicie, wiem, że kapitan Masnowski jest starym komunistą. Był w Hiszpanii, a stamtąd dostał się do Związku Radzieckiego. Jest obecnie najlepiej przygotowanym do pracy oficerem kontrwywiadu. Ma za sobą praktykę. Przeszedł do nas z kontrwywiadu wojskowego. Wsławił się rozszyfrowaniem siatki wywiadu niemieckiego na tyłach frontu. Było to duże osiągnięcie...

— Tak... No to chodźmy teraz do doktora. Jestem bardzo ciekaw, co nam powie.

Ale wiadomości o stanie zdrowia Grena nie były zbyt pocieszające. Doktor Żywczyński, zakładając, że stan zdrowia chorego nie pogorszy się, rokował jeszcze sześć do ośmiu tygodni pobytu w szpitalu.

— Potem proponuję kilkutygodniową kurację w sanatorium — zakończył. Następnie potrzebny będzie urlop i dopiero jeśli po tym wszystkim stan zdrowia kapitana okaże się zadowalający, może on przystąpić do pracy. Tylko koniec z wyjazdami w teren.

— Kiedyś wspominaliście, doktorze, kapitanowi Brunowi, że może pozostać niedowład nóg?

— Tak, ale to nic pewnego. Ostatecznie będę mógł się wypowiedzieć na ten temat dopiero wtedy, gdy kapitan Gren spróbuje chodzić.

— Dziękujemy za wyczerpujące informacje. Mamy jeszcze jedną prośbę.

— Słucham.

Proszę nie mówić prawdy o stanie zdrowia Grena jego żonie. Chociażby ze względu na jej ciążę...

Wyszli zmartwieni.

— Co myślisz, Brun? — pułkownik zatrzymał się na korytarzu. — Niewesoło przedstawia się sytuacja.

— Zaczekajmy, może wszystko będzie dobrze.

W pokoju panował półmrok rozjaśniony tylko lampą biurową. Brun z wzrastającym zaciekawieniem odczytywał tekst umieszczony pod fotografią odcisków palców. Wynikało z niego, że odciski należą do oficera II Armii Wojska Polskiego, który zdezerterował pod Budziszynem. Obecnie ciągle jeszcze jest poszukiwany.

Na biurku zadzwonił telefon.

— Halo!

— Czy kapitan Brun?

— Tak.

— Mamy waszego gościa.

— To dobrze, ja też go znalazłem, podrzućcie mi materiał na górę.

— Po chwili do pokoju wszedł niemłody, łysawy porucznik.

— Towarzyszu kapitanie, przynoszę karty ewidencyjne.

Brun przez dłuższą chwilę porównywał odciski palców.

— Spójrzcie teraz na to — podsunął „Gazetkę Poszukiwań" z czwartego sierpnia 1945 roku numer 46.

— To chyba będzie jednak Szokalnicki, a to drugie nazwisko jest lewe.

— Może też być i odwrotnie — westchnął Brun. — Zostawcie mi te materiały Dobrze?

Zagłębił się w czytaniu przyniesionych kart ewidencyjnych. Z pierwszej z nich wynikało, że Włodzimierz Sokalski jest poszukiwanym agentem Gestapo, z dru-

giej zaś, że poszukiwany jest dezerterem z II Armii Wojska Polskiego i występował jako Kazimierz Szokalnicki. Brak było poza tym bliższych danych, jak imiona rodziców, przypuszczalne obecne miejsce zamieszkania i inne bardziej szczegółowe personalia. Odciski palców tak na jednej, jak i na drugiej karcie pokrywały się z odciskami pozostawionymi na stuzłotówce ofiarowanej dozorcy z Marszałkowskiej.

Tadek zalakował kopertę i zaadresował ją zamaszystym pismem.

*Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego*

**Warszawa**

*Departament Ekspertyz Daktyloskopijnych*

**Bardzo pilne**

Popatrzył chwilę na swoją robotę, potem sięgnął po papierosy. — Teraz już go prawie mamy — myślał. — Tylko trzeba poczekać na orzeczenie biegłych. Będzie to co prawda tylko potwierdzenie, że „B", jest „B", a nie „C", ale potwierdzenie konieczne. Wtedy pozostanie nam tylko wysłanie listu gończego za panem Kazimierzem Szokalnickim, *vel* Włodzimierzem Sokalskim... i czekanie na wiadomości. Żeby nie wiadomo gdzie się ukrył, znajdę go, a wtedy dowiemy się, jaki to interes miał pan „S" do „Rudego".

## 14.

Gren nacisnął dzwonek. Do separatki weszła pielęgniarka.

— Czy czegoś wam potrzeba, kapitanie?

— Jeżeli można prosić, poczytajcie mi jakąś książkę.

— Co by kapitan chciał?

— Może być jakiś kryminał.

— Mam właśnie w szufladzie „Złoty trójkąt" Leblanca.

— Może być.

— Zaraz przyniosę.

Po chwili zjawiła się z książką pod pachą. Czytała monotonnie, ale głos miała przyjemny i dźwięczny. Poza tym akcja nieco staroświeckiej i dziś już naiwnej, ale

zręcznie i dobrze napisanej sensacji zaczęła po trochu interesować Huberta.

— „... Gdyby tu był Arsen Lupin — westchnął..." — czytała pielęgniarka.

Nagle rozległ się brzęk tłuczonej szyby i jakiś przedmiot, wrzucony przez okno, potoczył się po podłodze. Pielęgniarka urwała w pół słowa... Tuż przy łóżku Grena syczał odbezpieczony granat.

— Kapitanie, leżcie spokojnie! Nie ruszać się!

Jednym szarpnięciem wyrwała spod głowy Grena poduszkę i rzuciła ją na granat. Ciszą targnął huk wybuchu. Podłoga i ściany zadrżały. Ostatkiem świadomości pielęgniarka czuła, jak odłamki rwą jej ciało.

W kilka chwil później do pokoju wpadł lekarz dyżurny. Spojrzał na poranioną pielęgniarkę, na wyrwę w podłodze. Pobiegł do dyżurki. Nerwowo nakręcił numer Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

— Mówi lekarz dyżurny ze szpitala MBP. Powiadomcie natychmiast pułkownika Kowalskiego o wypadku.

— Co się stało?

— Zamordowano kapitana Grena.

Pułkownik Kowalski ociężałym krokiem wchodził do przedpokoju swego mieszkania.

— To ty, Adam? — zawołała żona. — Dobrze, że przyszedłeś. Przed chwilą był telefon.

Kowalski szybko podszedł do aparatu.

— Oficer dyżurny? Tu Kowalski. Co tam nowego?

— Towarzyszu szefie, w szpitalu był wypadek. Podobno zamach bombowy na kapitana Grena.

— Czy żyje?

— Podobno — nie!

— Wyślijcie pluton operacyjny. Zaraz tam będę.

— Pluton już wysłaliśmy. Samochód po was jest w drodze.

Na miejscu był już doktor Żywczyński.

— Kapitan Gren żyje — zawołał na widok Kowalskiego.

— Uf... — pułkownik Kowalski odetchnął z ulgą. — Czy możecie opowiedzieć mi o tym zamachu?

— Wypadek nastąpił o godzinie 20.30. Przez okno do pokoju wpadła prawdopodobnie bomba lub granat. Gren ma kilka ran. Chwilowo nie może mówić, ponieważ nastąpiło porażenie nerwowe. Kiedy szok minie, dowiemy się bliższych szczegółów. Jedno jest pewne: gdyby nie ofiarność pielęgniarki, która przycisnęła poduszką granat, kapitan Gren już by nie żył. Najlepiej idźcie, pułkowniku, na górę.

Do dyżurki wbiegł kapitan Brun.

— Co się tu dzieje? Co dzień zamach! Już zaczyna mi się kręcić w głowie. Co to, Chicago? Co on takiego zrobił, komu zalazł za skórę, że chcą się go za wszelką cenę pozbyć?... — urwał i usiłował opanować wzburzenie.

— Szukaliście sprawcy? — zwrócił się do lekarza pułkownik.

— Wysłaliśmy pluton wartowniczy, lecz nikogo nie znaleziono.

Weszli na górę. Pokój wyglądał okropnie. Łóżko było już puste. Pozostała tylko poduszka, a raczej jej strzępy.

— Jak sądzicie, Brun, co tu wrzucono?

— Chyba granat. Ale jak?...

— Zwyczajnie, przy pomocy katapulty. Coś takiego, jak proca, tylko zrobione ze sprężyny lub resoru. Podczas powstania używano tego do zwalczania czołgów i wykurzania Niemców z górnych pięter gmachów.

— Bardzo możliwe. Idę wydać rozkaz szukania tej machiny w okolicy. Zaczniemy od sprawdzenia gruzów naprzeciw okna.

— Gdzie jest Gren, doktorze? — zapytał Kowalski Żywczyńskiego.

— Pod ósemką.

— Czy można by do niego zajrzeć?

— Zaraz sprawdzę.

Po kilku minutach lekarz wyszedł z separatki.

— Lepiej jutro zajrzyjcie, pułkowniku. Teraz śpi.

— Dobrze. Będę z kapitanem Brunem o dziesiątej rano.

Okolice szpitala zostały oświetlone silnymi reflektorami samochodowymi. Pluton operacyjny pod dowództwem

kapitana Bruna przetrząsał okoliczne gruzy metr po metrze. Katapulty szukano niedługo. Po znalezieniu jej stwierdzono brak odcisków palców. Były starte.

Rano Brun z pułkownikiem Kowalskim udali się do szpitala. Szok już minął i można było porozmawiać z Grenem. Hubert czekał na nich z niecierpliwością, toteż gdy ukazali się w drzwiach separatki, przywitał ich bladym uśmiechem.

— Cześć, Hubert, co tam wczoraj było? — usiłował zbagatelizować całe zajście Brun. — Coś mi się zdaje, że trzeba cię będzie zamknąć w kasie pancernej. Co ty sobie myślisz? Przecież nie jesteś dyktatorem którejś z południowoamerykańskich republik. Może wasza ekscelencja pozwoli, że przeprowadzę z nią wywiad dotyczący wczorajszych wypadków. Może mi wasza wysokość powie, jak to się zaczęło?

— Tadek, przestań małpować.

— Dobrze, czekam na audiencję i zamieniam się w słuch.

— Wczoraj, mogło być około wpół do ósmej, nie mogłem zasnąć i cholernie mi się nudziło. Poprosiłem siostrę Annę, żeby mi coś przeczytała.

W trakcie czytania — minęła już chyba godzina — coś rozbiło szybę i upadło z hukiem na podłogę. Siostra Anna wyrwała mi spod głowy poduszkę i rzuciła się z nią na granat. Potem był huk i nic więcej nie pamiętam. Co się stało z pielęgniarką? Czy żyje?

— Tak. Jest ciężko ranna.

Gren poruszył dziwnie grdyką. Zamknął oczy.

— To jej zawdzięczam życie?

— Tak.

— Słuchaj, Tadek, czy ona ma kogoś, męża, dzieci?

— Nie, podobno zupełnie samotna...

— Chciałbym się jej w jakiś sposób odwdzięczyć.

— Dobra, dobra — przezwyciężył wzruszenie Brun. — Pogadamy, jak wyzdrowiejesz.

— Powiedzcie mi jeszcze jedno: czy wpadłem na jakiś konkretny trop? Trop prowadzący do gniazda?

— Być może...

— Teraz zaczynam rozumieć... Boją się... No tak... A co chcecie robić dalej?

— Proponuję wysłać szyfrogramy do podległych nam placówek w województwie oraz do komisariatów milicji w Warszawie. Niech sprawdzą, czy na podległym im terenie mieszka Włodzimierz Sokalski *vel* Kazimierz Szokalnicki. A nuż się znajdzie.

## 15.

Od dnia powtórnego ranienia kapitana Grena minął miesiąc. Mimo ciągłych interwencji pułkownika Kowalskiego z Ministerstwa nie przysyłano wyników ekspertyzy biegłych, dotyczących odcisków palców Sokalskiego. Dopiero po czterech tygodniach przyszło orzeczenie, z którego wynikało już zupełnie niezbicie, że odciski palców na stuzłotówce są i d e n t y c z n e z odbitkami na karcie ewidencyjnej zarówno Sokalskiego Włodzimierza, jak Kazimierza Szokalnickiego.

Teraz można było rozesłać listy gończe.

Po tygodniu zaczęły nadchodzić odpowiedzi. Wszystkie były jednakowe: „Wyżej wymienieni nie zamieszkują na naszym terenie".

Ślad znów się urwał. Pozostała ostateczność: zamieszczenie zdjęcia „zamiatacza" w prasie codziennej. Ale to byłoby jednoznaczne z przyznaniem się do porażki...

W tym samym czasie kapitan Hubert Gren został wypisany ze szpitala i wysłany na dwumiesięczny pobyt do sanatorium w Kudowie. Chodzić o własnych siłach jeszcze nie mógł. Wożono go na wózku. Lekarze zapewniali jednak, że już wkrótce niedowład nóg minie. Uszkodzenie kręgosłupa okazało się nie tak groźne, jak przypuszczano poprzednio.

Z Ministerstwa przyznano Grenowi roczny urlop zdrowotny. Po roku, jeżeli komisja lekarska uzna go za zdrowego, będzie mógł powrócić do pracy.

Wiadomość o zawieszeniu go w czynnościach służbowych, przesłana do sanatorium, załamała Grena nerwowo. Walczył jednak z własnym organizmem, chciał jak najszybciej odzyskać zdrowie. Walczył może zbyt gorączkowo. Poprawa następowała bardzo powoli i nieznacznie.

**16.** Pewnego kwietniowego dnia kapitan Hubert Gren wysiadł z pociągu przyjeżdżającego z Kudowy Na dworcu oczekiwał go już pułkownik Kowalski z Tadkiem Brunem.

— Cześć, stary! — krzyknął na powitanie Tadek. — Wyglądasz niczym młody byk. Co za opalenizna!

— Dzień dobry, Gren — szczerze uradowany pułkownik wziął Huberta w ramiona. — Bardzo się cieszę, że już jesteście z nami.

Kapitan witał się serdecznie, a przy tym uważnie rozglądał się naokoło.

— Gdzie Teresa? Dlaczego nie przyszła?

— Jest w szpitalu.

— Coś się stało?

— Nie, skąd. W każdym razie nic groźnego — wyjaśniał Brun. — Być może, jesteś już tatą. Wiwat, tata! Niech nam żyje!

— A ty, jak zwykle, błaznujesz — przerwał Gren z uśmiechem. — Kiedy nareszcie wydoroślejesz, stary koniu, i zaczniesz być poważny? Może się żenisz?

— Nie, nie ma głupich, a po drugie — dodał Tadek już poważniejszym tonem — po prostu nie mam czasu.

Ujęli Grena pod ramiona i wolnym krokiem ruszyli do wyjścia. Brun niósł małą walizeczkę i podróżny neseser Huberta. Przed dworcem czekał już w samochodzie Kryspin.

— Dzień dobry, kapitanie. Jak zdróweczko? Dokąd jedziemy, szefie?

— Do kliniki. Jeśli można... pułkowniku?...

— Dobrze, jedziemy do kliniki, tylko ostrożnie — powiedział Kowalski do ruszającego Kryspina.

— Tak jest. Ostrożnie jak z dynamitem.

— I jeszcze chciałbym kwiaty po drodze...

— Oczywiście...

Po kilkunastu minutach zatrzymali się przed kliniką.

Dopomogli Grenowi wyjść z samochodu. Szedł powoli, powłócząc nogami. Oburącz przytulał do siebie bukiet pąsowych róż.

— Dzień dobry, doktorze — zwrócił się do nadchodzącego lekarza — Jestem mężem Teresy Gren. Chciałbym się dowiedzieć, co się teraz dzieje z moją żoną. Czy już po wszystkim?

— Jeszcze nie, ale to kwestia najbliższych minut.

— Zaczekam tutaj, a jeżeli towarzysz pułkownik nie ma czasu... Nie chcę was specjalnie zatrzymywać.

— Hubert, bez wygłupów Zaczekamy z tobą.

Obaj kapitanowie usiedli w poczekalni, pułkownik zaś wyszedł na chwilę po papierosy do kiosku.

— Słuchaj, stary — rzekł Tadek — wiemy już z pułkownikiem, jak cię zrobiono na szaro. Jeżeli chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, to powiem krótko: to jest świństwo w najgorszym gatunku. Nie miej do nas żalu. To nie wyszło od nas Kowalski walczył o ciebie jak lew. Całymi dniami tłumaczył i argumentował, że powinieneś wcześniej wrócić do pracy, że nie będziesz wyjeżdżał w teren Ale ci faceci z Ministerstwa nic, tylko powoływali się na opinię komisji lekarskiej, która stwierdziła siedemdziesiąt procent utraty zdrowia Wyobraź sobie, że wygrzebano nawet to dawne ranienie w Makowie i to też ci doliczyli. Głową muru nie przebijesz. Nie pomogły tu twoje zasługi w wykryciu „Kreta" i „Rudego". Byli nieustępliwi. Niech ich jasna cholera.

— Cicho, Tadek, stary idzie.

— To co? On tak samo myśli.

— Co tam, Gren, już po wszystkim? — pytał z daleka pułkownik.

— Nie, jeszcze nie.

— To pójdę dowiedzieć się o nią, a wy tu sobie porozmawiajcie.

— Tadek, widzisz... — podjął znów Hubert. — Jest mi cholernie przykro, że odstawiono mnie do kąta niczym stare, zdarte kalosze. Przecież, do cholery, mógłbym pracować na miejscu. Mam już jakie takie doświadczenie i na pewno pracowałbym lepiej od niejednego żółtodzioba.

— Zgadzam się z tobą. Tylko wyciągnięto ci także tę historię z „zamiataczem" na Powązkach... Uznano, że nie możesz pracować nawet za biurkiem.

— Rzeczywiście, to była szczeniacka wpadka. Ale to może się trafić każdemu. I ta mgła wtedy...

— Wiem dobrze, jak to było, ale tych z Ministerstwa nie przekonasz.

— To znaczy, że nie omieszkano wytoczyć wszystkich argumentów, byleby tylko odstawić mnie od pracy. Żebym

to wiedział, komu tak bardzo zależy, abym nie pracował. Wiesz, coś mi się wydaje, i to nie od dziś, że w tym całym gipsie macza palce ten, którego szukałem po ujęciu „Rudego". Boi się, że właśnie ja mogę wpaść na jego trop...

— E, skąd by miał dojście do Ministerstwa.

— Może i ma! Tylko... co ja takiego odkryłem, że niepokoi go właśnie moja osoba? Przecież inni — ty, Kowalski — wiecie tyle samo, co ja... Czyżbym wpadł na coś, z czego sam nie zdaję sobie sprawy?...

Rozmowę przerwała im pielęgniarka, która wraz z pułkownikiem Kowalskim weszła do poczekalni.

— Pan Gren?

Hubert usiłował wstać. Pułkownik podbiegł i razem z Brunem dopomógł rekonwalescentowi dźwignąć się na nogi.

— To ja.

— Ma pan syna. Duży, ładny chłopak. Gratuluję.

— A jak żona?

— Czuje się dobrze.

Gren przekazał kwiaty dla Teresy i w wesołym gwarze gratulacji wszyscy trzej wyszli ze szpitala.

— Co tam, kapitanie? — zapytał Kryspin, gdy wsiadali do samochodu.

— Syn.

— No, to trzeba oblać.

— W takim razie, Kryspin, wal do mnie pełnym gazem.

— Tak jest, kapitanie.

Samochód pomknął przez ulice miasta niczym strzała.

## 17.

Minęło pół roku. Gren poruszał się coraz sprawniej, chodził coraz pewniej i sprężyściej. W pełni odzyskał już zdrowie. A jednak na razie praca w aparacie bezpieczeństwa była dlań nieosiągalna. Jeszcze pół roku zostało mu do ukończenia urlopu zdrowotnego.

Z Tadkiem Brunem początkowo widywał się bardzo często. Nieraz w wielogodzinnych dyskusjach usiłowali dochodzić do jakichś konkretnych wniosków w sprawie, która położyła kres działalności Huberta.

Później spotkania ich stawały się coraz rzadsze, coraz krótsze. Nie poróżnili się, nie osłabła ich przyjaźń, ale Tadkowi niewiele czasu pozostawiała jego praca. Rzadko tylko wpadał do Grena na konsultację.

Sprawa „Trzech białych goździków" utknęła w miejscu. Aż raptem, prawie po roku...

# Część II

# PO DZIESIĘCIU MIESIĄCACH

1. Mężczyzna podniósł słuchawkę, nakręcił numer.

— Dzień dobry. Proszę przyjść do mnie, tam gdzie zawsze, o godzinie siedemnastej.

— Dobrze... Ale czy nie mógłbym tej wizyty odłożyć do jutra?

— Nie. Czekam na pana. Niech się pan nie spóźni.

— Będę punktualnie.

— Cześć.

Rozmowa była skończona. Przez odsłonięte szyby blade styczniowe słońce zapalało błyski w politurze masywnych mebli. Mężczyzna pogrążył się w zadumie.

Ostatnio coraz trudniej było nawiązać współpracę. Podwładni agenci wyłamywali się. Nie chcieli oddawać uzyskanych materiałów. Woleli działać na własną rękę. Nikt nie chciał dzielić się zyskiem. Nowy narybek przysłany z Zachodu z reguły ignorował sieć krajową. Oni uważali się za wyżej postawionych w sieci szpiegowskiej. Byli przeważnie niedouczeni, słabo znali teren, nie orientowali się w sytuacji, toteż szybko wpadali. Niejednokrotnie, o czym oczywiście nie wiedzieli, dopomagał w zdemaskowaniu ich właśnie on — nieuchwytny dla władz bezpieczeństwa pułkownik WIS-01.

Nie znosił konkurencji. Gdy kontrwywiad likwidował nowo przybyłych, pisał do centrali raport o trudnościach w pracy, domagając się nowych dotacji, wyższych od poprzednio otrzymywanych. To jednak nie było takie proste...

Pomyśleć, że jeszcze niecały rok temu czuł się niczym nie zagrożony.

Od czego się to wszystko zaczęło? Chyba od braku meldunków „Rudego". Wtedy na rozkaz pułkownika

WIS-01 agent WIS-25 zaczął prowadzić inwigilację skrzynki kontaktowej na cmentarzu. Tak, to było dawno. Pewnego popołudnia przyszedł do niego zmarznięty agent WIS-25 i złożył meldunek.

Przed oczyma zamyślonego mężczyzny odżywały minione zdarzenia.

## 2.

— Dzień dobry, panie pułkowniku — agent WIS-25 chyłkiem, jakoś po lisiemu wśliznął się do gabinetu.

— Tyle razy mówiłem, by mnie nie tytułować — żachnął się pułkownik. — Co tam podejrzanego pan zauważył?

— Po cmentarzu kręcą się jacyś z bezpieki, wąchają. Trudno mi cośkolwiek sprawdzić.

Agent WIS-25 przeciągnął się, aż w stawach zatrzeszczało.

— Czy praca bardzo męcząca? — zapytał prawie z troską pułkownik.

— Niech to cholera weźmie, przepraszam, panie pułk... — WIS-25 urwał, zmieszany, w połowie słowa — ale jak długo można powłóczyć nogami i udawać półgłuchego. To nie dla mnie taka robota. Strzelać, to co innego, ale bawić się w obserwatora...

— Strzelać się panu zachciewa?! To nie nasza sprawa. A może przekazać szanownego pana do lasu? Ale las robi już bokami. Nasz wydział informacyjno-sabotażowy obecnie ma za zadanie... A zresztą nie wasz interes, jakie zadanie. Macie wykonywać rozkazy. Za sarkanie nie płacimy.

Pułkownik nerwowo zatarł ręce.

— A teraz proszę powiedzieć, co się dzieje na cmentarzu.

— Od kilku dni bezpieka kręci się jak wściekła. Nawet dziś w pewnym momencie jeden z nich podszedł do mnie. Myślałem że już, już — i mnie kupi, ale ten nic, tylko na gadkę mu się zebrało. Cały czas byłem przygotowany na to, że go wykończę. Ale poszedł, jakby chciał tam tylko trawkę powąchać lub miejsce dla dziadka nieboszczyka wybrać. Nie wie, ciapciak, że go już piąty raz widzę, jak się kręci koło skrytki.

Pułkownik poruszył się niespokojnie.

— A co z „Rudym"?

— Nie ma go i w poniedziałek też go nie było.

— Dziękuję, możecie odejść, obserwujcie dalej.

— Tak jest. Do widzenia.

Agent WIS-25 cicho zamknął drzwi.

„Co się mogło stać z doktorem? Miał być w poniedziałek i nic" — denerwował się pułkownik.

Ze srebrnego pudełka wyciągnął „Senior Service'a". Zapałka błysnęła jasnym ogniem. Zaciągnął się aromatycznym dymem.

„Tak, coraz bardziej kurczy się siatka". Podniósł się ciężko z fotela.

Powoli nakręcił numer telefonu.

— Dzień dobry, drogi przyjacielu. Coś pan o mnie zapomina. Dawno się nie widzieliśmy.

— Jestem bardzo zajęty...

— Mam nadzieję, że jednak trochę czasu znajdzie pan dla mnie.

— Oczywiście. Kiedy mam pana odwiedzić?

— Teraz jest godzina dwunasta. Proszę przyjść za godzinę.

— Dobrze, będę na pewno.

— A zatem do zobaczenia.

Kapitan WIS-37 był owego dnia, dziesięć miesięcy temu, bardzo zajęty. Miał dość dużo spraw do załatwienia, a tu do tego telefon szefa. Trzeba się będzie tam stawić. Teraz dopiero przypomniał sobie, że powinien z polecenia szefa odwiedzić pewnego faceta i „przywołać go do porządku". Facet ten — pseudo „Rudy" — już od kilku tygodni nie zgłaszał się z materiałami, a miał przynieść do skrytki pilny radiogram.

W okolicach Wileńskiej WIS-37 złapał taksówkę.

— Proszę na Marszałkowską 67.

Celowo podał adres obok, by w razie „kotła" nie wdepnąć do środka.

Rozklekotany opel z 1923 roku brzęczał wszystkimi częściami i na pierwszym z brzegu wyboju groziło mu rozpadnięcie się na czynniki pierwsze.

— Panie, nie można by troszeczkę szybciej?

— A masz pan dużą walizkę?

— A po cholerę mi walizka?

— No, żeby zbierać ten szmelc do kupy, jak się rozleci. Docierali już do Marszałkowskiej, kiedy taksówka podskoczyła na jakimś wyboju i zachybotała gwałtownie. Szofer przyhamował. Samochód prychnął, zachrobotał częściami i stanął.

— Co się stało?

— Chłodnica się urwała — powiedział z flegmą szofer. Wyszedł z taksówki i przez kilkanaście sekund grzebał w bagażniku, następnie wyciągnął zwój drutu, zadarł do góry maskę i przez chwilę dłubał w motorze. Naraz zawołał:

— Eeej, panie, panie tego, chodź no pan tutaj.

— Co tam znów?

— No, chodź pan, jak pragnę szczęścia, bo do jutra będziemy tu stali! Nie ma strachu, nie pobrudzisz się pan.

— Dobra! Już idę.

Zastanawiał się przez moment, czy zabrać z sobą teczkę, czy też zostawić ją w wozie. Ostatecznie wziął ją.

— O co chodzi?

— Przytrzymaj pan za te końce, a ja skoczę do bagażnika po flachcęgi.

Kapitan WIS-37 z odrazą uchwycił końce drutu, nie wypuszczając teczki spod pachy. Grupa gapiów przyglądała się tej scenie, pokpiwając sobie do syta z elegancko ubranego pasażera. To zaczynało być już denerwujące.

— Panie — zawołał WIS-37 w stronę szofera grzebiącego w bagażniku — coś pan, do cholery, do Gerlacha poszedł po te flachcęgi?

— Gdzieś się, psia ich mać, zapodziały — odparł z głębi bagażnika szofer. — Zaczekaj pan jeszcze chwilkę. O, już są!

Ukazał się umorusany. Ręce miał lepkie od smaru. Kiedy ujrzał swego pasażera delikatnie trzymającego końce drutu, parsknął śmiechem:

— Coś pan, jak pragnę zakwitnąć, taki delikacik! Boisz się pan, że mankieciki w białej koszulce się zabrudzą?

— Ja, ja sobie wypraszam takie impertynencje! — warknął agent.

Kilka ruchów i chłodnica została prowizorycznie umo-

cowana. Samochód czknął, zachrypiał niczym pijak i ruszył na trzecim biegu z miejsca.

Gdy znaleźli się pod numerem 67, agent rozejrzał się dyskretnie i dopiero ruszył do bramy właściwej kamienicy. Poszedł klatką schodową na górę, trzęsąc się jeszcze ze złości na szofera. „Pomagać takiemu!" — myślał poirytowany. Nagle zatrzymał się. „A jeśli ten szofer chciał, żebym zostawił teczkę? Może to wszystko było sfingowane? Tak długo szukał tych flachcęgów!... Jeżeli tak, to jestem śledzony! A więc «Rudy» aresztowany... No, nie pójdę tak zaraz do tego mieszkania!" Zszedł na dół i już kierował się do służbówki, gdy ktoś go zagadnął z głębi podwórka.

— Pan do kogo?

— Ja? Ja w sprawie porady. Jestem chory na serce, skierował mnie tu znajomy do doktora. Zdaje się, że nazywa się Maj... Majkowski — celowo przekręcił nazwisko.

— Tu taki nie mieszka — odparł dozorca z podejrzliwym spojrzeniem.

— Być może nazywał się trochę inaczej — rzekł pokornie kapitan WIS-37 — w każdym razie nazwisko zaczynało się na M.

— To może doktor Majewski?

— O, to, to, właśnie tak, że też mi z głowy wyleciało — udał radość.

— Wyjechał.

WIS-37 wyjął z kieszeni stuzłotówkę i wręczył ją dozorcy.

— A nic pan nie wie, panie kochany, dokąd? — dowiadywał się.

— Podobno zwiał na Zachód — wyjaśnił konspiracyjnym tonem dozorca. — Czy na pewno, to nie wiem.

— No i co ja teraz, biedny, zrobię? — z udaną rozpaczą biadolił kapitan.

— Eeee, nic, pójdzie pan do innego. Czy to mało dobrych lekarzy w Warszawie?

— No to trudno, do widzenia panu.

— Moje uszanowanie dla pana dobrodzieja — dozorca, zezując gdzieś w bok, schował troskliwie banknot do kieszeni.

3. Nad drzwiami zapaliła się lampka. Pułkownik podszedł do wejścia z pośpiechem. Przed nim stał WIS-37.

— Wiedziałem, że to pan, kapitanie. Ma pan coś?

— Tak.

WIS-01 wyciągnął srebrną kasetkę z papierosami. Palili chwilę w milczeniu.

— Zgodnie z poleceniem — zaczął wreszcie kapitan WIS-37 — rozejrzałem się w terenie. Otóż pułkownika „Rudego" nie ma. Podczas dyskretnie przeprowadzonego wywiadu rozpoznawczego dowiedziałem się ze źródeł poufnych, że pułkownik kilka tygodni temu zniknął bezpowrotnie. Prawdopodobnie wyjechał z kraju.

— Tak, to bardzo ciekawe...

— Panie pułkowniku, proszę, tu jest szczegółowy raport z mojej pracy. Znajdzie tam pan najświeższe rozstawienie wojsk pancernych i lotnictwa.

— Dziękuję, kapitanie — WIS-01 sięgnął do szuflady. — Proszę, tu jest pańskie wynagrodzenie.

— Jeśli można, to poproszę o dodatek dla agentury.

Pułkownik wręczył kilka dwudziestodolarówek.

— Żegnam pana, kapitanie. Następne spotkanie według harmonogramu.

— Tak jest. Do zobaczenia!

Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Tak. Wtedy pułkownik WIS-01 zaniepokoił się poważnie. Jeszcze dziś pamięta swoje ówczesne rozważania.

„Gdyby «Rudy» rzeczywiście zwiał z kraju — myślał — podałaby to chyba prasa i radio. Jest przecież sławnym lekarzem, to nie byle jaki rzezimieszek, który zmyka przez zieloną granicę.

Może więc zaopiekował się nim kolega z konkurencji. Ale i tak by «Rudy» dał jakiś znak życia — mija przecież już parę tygodni, a on milczy.

A te trzy białe goździki na cmentarzu? Czyżby «Rudy» był aresztowany i w ten sposób dał mi znać o sobie? Przecież nikt poza mną i nim nie znał hasła. Tak, aresztowali go, a on, chcąc mi dać znać, że jest spalony, zwierzył się tym durniom z umownego hasła między nim a mną — i rybka chwyciła. Niechcący zdemaskowali się, że mają

«Rudego». Mądry z niego chłop, tylko gdzie on siedzi? Muszę się za wszelką cenę dowiedzieć".

A potem przyszedł agent WIS-25 w przemoczonym płaszczu. Pułkownik już właściwie podjął postanowienie co do jego losu.

4. — Co tam nowego? — dopomógł przybyłemu zdjąć mokry płaszcz. — Już was więcej nie poślę. Usiądźcie tu, blisko pieca, rozgrzejcie się trochę. Może kieliszeczek koniaku, a może wódkę?

Agent był wyraźnie zaniepokojony uprzejmością zwierzchnika. Chodziły plotki, że picie u „starego" nie wychodzi na zdrowie. WIS-25 postanowił mieć się na baczności.

— Dziękuję, panie pułkowniku — powiedział — nie będę dziś pił. Pozwoli pan, że złożę raport.

— Proszę.

— W czasie inwigilacji skrzynki kontaktowej zauważyłem kręcącego się podejrzanie gościa — w poprzednim raporcie wspomniałem o tym obszernie. Dziś chciałem go wylegitymować.

Przez twarz pułkownika przebiegł lekko dostrzegalny skurcz.

— Co dalej? Mówcie!

W pytaniu czuć było rozdrażnienie.

— W trakcie legitymowania podejrzany sięgnął po pistolet. Byłem szybszy. Oto jego dokumenty.

Podał przez biurko legitymację służbową i pistolet Grena. Obserwował reakcję szefa. Nie, nic nie mógł wyczytać z jego twarzy Tamten klął w myśli: „Psiakrew, niedobrze! A jeśli go śledzili aż dotąd?!"

— Widzę, że wasz instynkt nie zawiódł — otworzył legitymację. Może zapalicie? — podsunął paczkę papierosów „Senior Service".

Agent WIS-25 sięgnął po papierosa z wahaniem. „A jeśli w tych papierosach coś jest? Trucizna? E tam, bzdury!" Zaciągnął się aromatycznym dymem.

Pułkownik także zapalił i zagłębił się w studiowaniu dokumentów.

— Kapitan Hubert Gren z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie — czytał półgłosem. — Zaraz, zaraz. Skąd ja znam to nazwisko? Ach, prawda, w raporcie nieodżałowanego Wolfsa przewijało się ono dość często. Więc aż jego wysłano do tej sprawy? No, no, ale szybko awansował. Podobno jeden ze zdolniejszych oficerów. Zdaje się, że on najbardziej deptał mi po piętach.

Znów przeglądał podane papiery.

— Tak, trzeba to będzie przesłać do centrali.

„Co się ze mną dzieje? Chyba to nie..." — Agent WIS-25 czuł, że jeszcze chwila, a uśnie. Otwierał szeroko oczy, skupiał całą uwagę na tym, co mówił pułkownik, byleby tylko zachować przytomność. Jak z oddali słyszał głos zwierzchnika. Za chwilę już spał.

Pułkownik spojrzał w kierunku agenta WIS-25. Głowa przechylona na bok i półotwarte usta upodobniały go do śpiącego dziecka, tylko nikłe zmarszczki pod oczami i siwe włosy przebłyskujące na skroniach nadawały tej krągłej twarzy piętno dojrzałości.

Pułkownik otworzył szufladę. Ze skrytki wyjął strzykawkę i ampułkę z przezroczystym płynem. Przez chwilę badał zawartość pod światło. Wprawnym ruchem odwinął rękaw koszuli. Błyskawiczne ukłucie i „lekarstwo" przeniknęło pod skórę Chwilę przyglądał się, jak postępuje reakcja. Przez twarz agenta WIS-25 przeszedł skurcz, następnie przybrała ceglastoczerwony kolor. Z kącika ust pociekła bezbarwna ślina. Jeszcze kilka drgawek. Zabarwienie z ceglastoczerwonego przeszło w sine Agent WIS-25 przestał oddychać.

Pułkownik wypłukał dokładnie pod umywalką strzykawkę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Odczekał pięć minut. Podniósł powiekę agenta. Łysnęła nieruchoma gałka oczna. Przyłożył lusterko do ust. Nie zmatowiało.

— No, gotowe.

Obszukał gruntownie nieboszczyka, zabierając najdrobniejszy nawet skrawek papieru. Wprawnym ruchem starł z jego twarzy resztkę charakteryzacji. Z prawej kieszeni wilgotnej jeszcze marynarki wyjął pistolet kalibru 9, schował go pieczołowicie do szuflady. Szybko ubrał się w nieprzemakalny płaszcz. Wziął trupa pod pachy, wy-

wlókł z mieszkania i ułożył ostrożnie w sieni. Wyjrzał przez uchylone drzwi. Ogródek był ciemny, zalany deszczem. Uliczka zupełnie pusta. Tylko gdzieś daleko, za rogiem, przebłyskiwało światło samotnej latarni.

Wyprowadził wóz z garażu. Zwłoki przeciągnął przez błotnistą ścieżkę, usadowił obok siebie. Rozklekotanym oplem pojechał w stronę Zacisza. W jednej z bocznych uliczek porzucił trupa.

„Tak, to była czysta robota — myśli teraz pułkownik WIS-01. — A jednak zorientowali się. Identyfikowali znalezionego trupa z cmentarnym zamiataczem. No i WIS-25 zawiódł... Gren żyje. Żyje mimo wszystko, a tak bardzo należało się go pozbyć. Zaraz... co było dalej. Dalej trzeba było zrobić następny zamach na Grena. On jeden dopuszczał do siebie t ę myśl..."

Wtedy to właśnie pułkownik WIS-01 wezwał do siebie agentkę WIS-33.

— Dzień dobry, proszę wejść. Plucha, co?

Do przedpokoju weszła kobieta w nieprzemakalnym płaszczu ociekającym wodą. Pułkownik dopomógł jej zdjąć mokre okrycie. Przeszli do pokoju.

— Proszę, niech pani usiądzie — wskazał ręką na fotel. — Co tam nowego?

— Wczoraj około godziny osiemnastej przywieziono rannego oficera bezpieczeństwa.

— Wiem. Kapitana Huberta Grena z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Czy to chciała mi pani powiedzieć?

Kobieta usiłowała ukryć zdumienie.

— Tak. Zgadza się

— Jak pani widzi, jestem informowany na bieżąco. To bardzo pięknie, że melduje pani sama o tej sprawie od razu. Mam dla pani zadanie.

— Słucham.

— Rządowi zależy, by ten pan milczał. Pani mu w tym dopomoże.

— Ale jak?

— To bardzo łatwe. Nie muszę chyba pani pouczać.

— Nie, nie mogę! Aresztują mnie!

— Czy chory otrzymuje zastrzyki?

— Tak.

— Jakie?

— Na wzmocnienie, glukozę, witaminę $B_1$ i witaminę C.

— To mi wystarczy. Proszę słuchać uważnie i nie myśleć, że narażam na niebezpieczeństwo swoich ludzi. Gdybym na przykład kazał dosypać do herbaty cyjankali, byłoby to więcej niż nieostrożne. Wynik pozytywny, ale pani znalazłaby się w sytuacji bez wyjścia: albo zniknąć, albo czekać na wyrok. Łatwiej by nam było osiągnąć cel, gdyby miała pani dostęp do sali opatrunkowej. Mała dawka curary w spirytusie używanym do przemywania ran i nasz drogi chory przenosi się w zaświaty.

Pułkownik cały czas obserwował zachowanie przybyłej. Ciemne szkła okularów kryły te baczne spojrzenia. „Jeżeli zacznie się wahać, trudno, pójdzie w ślady kolegi Czystonia". Kobieta jednak była zupełnie spokojna.

— Panie pułkowniku...

— Słucham?

— Czy nie za często jednak dopomagam chorym? Mogą mnie zacząć podejrzewać o zbyt gorliwą pomoc samarytańską.

— Chyba nie. Przecież nikt się nie domyślił, że tamten „zawał serca" był zrobiony za pomocą wstrzykniętego do arterii powietrza. Mam nadzieję, że wszystko uprzątnęła pani na czas.

— Tak.

— No to w porządku. W obecnym wypadku zadanie mamy ułatwione. Proszę — wyjął z szuflady ampułkę witaminy $B_1$. — To jest bardzo skuteczny środek. Wstrzyknięty podskórnie lub domięśniowo — i po pięciu minutach koniec. Przedtem następuje porażenie dróg oddechowych i skurcz szczęk. Delikwent nic nie powie, chociażby bardzo pragnął mówić. Na dole ampułki jest krzyżyk. Strzykawkę radzę jednak wypłukać i wprowadzić do niej prawdziwą $B_1$.

— To zrozumiałe, panie pułkowniku.

— Jeszcze jedno. Po stwierdzeniu, że nasz znajomy odjechał do kostnicy, proszę zadzwonić. Podaję hasło: „Pan doktor jest teraz bardzo zajęty". Proszę powtórzyć.

— Tak jest. „Pan doktor jest teraz bardzo zajęty".
— Do widzenia. Czekam na telefon.
— Do widzenia.

5. Około dziesiątej na biurku pułkownika zadźwięczał telefon.

— Słucham? — zapytał podniecony.

— Dzień dobry. „Pan doktor jest zajęty", a ja muszę się z panem koniecznie zobaczyć.

— Czy pani powiedziała, że „teraz bardzo zajęty"?

— Nie, tego nie powiedziałam i dlatego mam nadzieję, że pan mnie przyjmie.

Pułkownik spojrzał na zegarek.

— Teraz jest dziesiąta. Proszę przyjść za pół godziny.

— Dobrze, przyjdę.

O dziesiątej trzydzieści WIS-33 naciskała dzwonek. Po chwili była już w pokoju pułkownika.

— Co się stało?

— Nastąpiła omyłka. Zastrzyk otrzymał milicjant.

— Gdzie pani miała oczy? Co?

— Byłam pewna, że...

Przerwał jej w pół zdania.

— Byłam pewna, byłam pewna — powtarzał po niej ze złością. — Trudno, zrobi to pani jeszcze raz, tylko proszę się tym razem nie pomylić.

Za szkłami okularów dostrzegła niebezpiecznie rozjaśnione oczy.

— Nie zrobię tego.

— Dlaczego?

— Widocznie los tak chce. Ten człowiek ma przeznaczone żyć i może jeszcze raz wywinąć się śmierci. Nie chcę mieć na sumieniu niewinnych ludzi.

— Co pani za głupstwa mi opowiada o losie i przeznaczeniu! Zrobi to pani.

— Nie.

— Zobaczymy.

Wstał z fotela. Uderzył ją w twarz.

— Zrobisz to, zrozumiano?!

— Tak jest — jej głos drżał od powstrzymywanego szlochu.

„Poczekaj, niech tylko stąd wyjdę — myślała — powiem

o wszystkim bezpiece, albo kapitanowi Grenowi, a on się już z tobą załatwi"

Przyjrzał się jej uważnie „Załamuje się — pomyślał. — Niedobrze! Ją też trzeba zlikwidować".

Sięgnął do szuflady biurka

— Proszę, tu jest witamina $B_1$ — podał ampułkę oznaczoną krzyżykiem. — Mam nadzieję, że tym razem pani się nie omyli. Czekam na meldunek. Do widzenia.

— Do widzenia.

Wyszła pospiesznie. Odczekał chwilę. Przycisnął wmontowany w biurko dzwonek.

Do pokoju wszedł niepozorny mężczyzna w bliżej nie określonym wieku.

— Słucham.

— Proszę podejść do okna

WIS-22 rozsunął story. W głębi ulicy niknęła sylwetka pielęgniarki.

— Co pan zauważył?

— Kobietę w szarym palcie. Przed chwilą wyszła od szefa.

— Proszę tę sprawę z a ł a t w i ć.

— Tak jest.

— Ma pan zabrać jej torebkę. Będzie tam ampułka witaminy $B_1$. — Podał agentowi klucze od garażu i aparat fotograficzny. — Proszę wziąć samochód. Po wszystkim zrobi pan zdjęcia. O wykonaniu zameldować.

WIS-22 szybko zeszedł do garażu. Po chwili prowadził pełnym gazem samochód.

Dojeżdżał do skrzyżowania. Pielęgniarka właśnie przechodziła przez ulicę, była na pustej jezdni. Dodał gazu. Samochód jak gdyby poderwał się. Jeszcze pół metra, dziesięć centymetrów. Nagle wstrząs — i kobieta zniknęła pod maską rozpędzonej maszyny.

Obejrzał się, czy ulica nadal jest pusta. Zawrócił. Pielęgniarka leżała na środku jezdni. Torebka jej potoczyła się do rynsztoka. Z nosa i uszu kobiety sączyła się krew. Nie żyła. Zrobił kilka zdjęć. Podniósł torebkę i wyjął z niej ampułkę witaminy $B_1$ oznaczoną krzyżykiem. Wsiadł do samochodu. Prowadząc jedną ręką wóz, drugą przetrząsnął jeszcze raz torebkę. Trochę dobrych kosmetyków, ładna chusteczka, flakonik z perfumami, kilka banknotów stuzłotowych... Szukał jakichś notatek. Nie znalazł.

— Panie pułkowniku, wykonałem zadanie.

Agent WIS-22 położył na biurku torebkę, aparat fotograficzny i ampułkę z witaminą $B_1$.

Pułkownik obejrzał dokładnie ampułkę. Na dnie widniał krzyżyk.

— Dziękuję. Proszę zmienić opony. Mogą szukać po śladach. Jeszcze jedno, proszę przemalować wóz na wiśniowy kolor. Może pan już iść.

Zaczekał, aż WIS-22 wyjdzie. Otworzył torebkę. Wysypał jej zawartość na biurko.

Nawet nie spojrzał na leżące banknoty. Wsunął dłoń do torebki.

„Cholera! Gdzie się zapodziała legitymacja służbowa?"

Gorączkowo zerwał podszewkę. Może jest tam ukryta? Nie... Jednym ruchem zgarnął do kosza leżące na biurku drobiazgi. „Szkoda, że nie kazałem mu przetrząsnąć kieszeni jej płaszcza. Tak by się teraz przydała ta legitymacja! Maleńka zmiana fotografii i kolega kapitan Hubert Gren otrzymałby piękny zastrzyk. No trudno, to nie da się już naprawić. Trzeba będzie w inny sposób".

Gren miał szczęście. Temu się nie da zaprzeczyć. I trzecia próba usunięcia kapitana zawiodła. A przecież pułkownik WIS-01 tak dobrze wszystko przygotował... Chwytał się zresztą już ostateczności.

## 6.

Nakręcił numer telefonu i podał hasło:

— Dzień dobry panu. Jak panu smakowały papierosy?

— Dzień dobry, szefie. Smakowały dobrze — to był umówiony odzew rozmówcy.

— Dawno z panem nie rozmawiałem. Stęskniłem się za pana widokiem.

— Z miłą chęcią zapomniałbym o panu.

— A przysięga?

— Szefie, to do niczego nie doprowadzi. Przecież już dawno zostałem wycofany z obiegu.

— Przez telefon nie będziemy na ten temat rozmawiać. Proszę być gotowym o osiemnastej. Przyjadę samochodem tam, gdzie zwykle...

Wiśniowy opel długo przeciskał się przez most Poniatowskiego. Pułkownik, zdenerwowany, co chwila zerkał na zegarek. Za piętnaście minut miał na Bagnie umówione spotkanie z agentem WIS-76. Zaraz za mostem zjechał ślimakiem w dół. Na wybrzeżu przyspieszył. Samochód pomknął osiemdziesiątką. Skręcił w Tamkę. Wymarłą, pełną gruzów ulicą piął się do Kopernika. Jeszcze kilka zakrętów i już Królewska. Dochodziła osiemnasta, kiedy wjeżdżał w plac Grzybowski. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pozostała minuta. Nie tolerował spóźnień ani u swych podwładnych, ani u siebie. Każde opóźnienie nasuwało myśl o wpadce partnera.

Zbliżywszy się do umówionego miejsca rozejrzał się uważnie. Z głębi ulicy szedł naprzeciw agent WIS-76, Podjechał bliżej.

— Proszę do środka — zwrócił się do nadchodzącego, otwierając jednocześnie drzwi. — Jednak pan przyszedł.

— Rozkaz jest rozkazem.

— Mam dla pana małe zadanko.

— Słucham.

— Znajomi mówili mi, że w czasie powstania robił pan doskonałe wyrzutnie dla butelek zapalających i granatów podczas ataku na „Prudential".

— Tak, było coś takiego, ale już zapomniałem.

— Nie do wiary, żeby tak doskonały fachowiec zapomniał, jak się robi katapulty. Może przypomnieć mam, gdzie potrzeba, pańską współpracę z okupantem? Opowiedzieć o wpadce radiostacji AL i aresztowaniu jej obsługi?

— Nie, lepiej nie mówić. Już sobie przypomniałem.

— To dobrze. Nie lubię, gdy moi przyjaciele gniją w więzieniu.

— Czego pan chce ode mnie?

— Nic, drobiazg. Jedziemy na miejsce, a później omówimy detale. Może papierosa?

— Dziękuję, nie palę od roku, lekarz zabronił.

— Choruje pan?

— Płuca.

Wjeżdżali z Żelaznej w Nowolipie.

— Niech pan patrzy uważnie. Czwarte okno od rogu na drugim piętrze. Widzi pan?

— Tak.

— Proszę dobrze zapamiętać. Żeby nie było omyłek.

— Już zapamiętałem.

— To dobrze, a teraz wracamy do warsztatu.

Pułkownik rozejrzał się uważnie, czy ktoś nie jedzie za nim. Poprowadził wóz w kierunku zburzonego pałacu Mostowskich.

Było już wpół do ósmej, kiedy zajechali pod warsztat ślusarski, który obecnie prowadził WIS-76.

— Ile czasu potrzeba panu na zrobienie odpowiedniej katapulty?

— Około pół godziny.

— Dobrze, zaczekam.

W czterdzieści minut później pułkownik zaparkował samochód w pobliżu szpitala.

— Pomogę panu zainstalować wyrzutnię.

Weszli w pobliskie gruzy. WIS-01 wręczył agentowi granat.

— Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Granat przeleciał nad ulicą. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby.

Rzucili się do stojącego opodal samochodu. Kiedy ruszali pełnym gazem, usłyszeli wybuch.

— Tym razem nie powinien wyjść cało.

— Czy pan coś mówił, szefie?

— Nie, nic...

7. A jednak Gren ocalał! Miał wprawdzie zrujnowane zdrowie, został odsunięty od pracy, ale ciągle jeszcze mógł szkodzić... No i ta sprawa z szyfrogramem.

Właściwie w najświeższych szyfrogramach nic ciekawego nie było. Ciągłe poszukiwanie byłych gestapowców, volksdeutschów, kolaborantów, konfidentów i byłych szupo. Same powojenne „remanenty”. Nagle uwagę przeglądającego przykuł nagłówek jednego z nich „Bardzo pilne”. Z zaciekawieniem zabrał się do rozszyfrowania.

Ściśle tajne

AZ/H/197/48

*Do*

*Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego*

Proszę sprawdzić na podległym terenie, czy zamieszkuje tu Włodzimierz SOKALSKI vel Kazimierz SZOKALNICKI.

W razie zidentyfikowania natychmiast powiadomić Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, wydział „H".

Termin wykonania: siedem dni od otrzymania niniejszego szyfrogramu. Jeżeli będzie odpowiedź negatywna, zameldować o wykonaniu.

Sprawa bardzo pilna.

Do wiadomości według rozdzielnika.

SZEF WUBP
(—) A. Kowalski, płk

Warszawa, 27.1.1948 r.

„Cholera, niedobrze! — pułkownik WIS-01 nerwowo zapalił papierosa. — Gdzie się ten dureń mógł wsypać? — myślał. — Trzeba się dowiedzieć".

Wezwany telefonicznie kapitan WIS-37 przyszedł punktualnie Był wściekły nagły telefon szefa pokrzyżował mu plany dotyczące miłego wieczoru. Bał się, że nie zdąży na randkę.

— Co się stało, że mnie pan wezwał, szefie? — zapytał niemal zgryźliwie.

— Proszę do środka, porozmawiamy — odparł WIS-01. Rozsiedli się wygodnie w fotelach.

— Może mi pan powie, kapitanie, ile lat pan pracuje w tym zawodzie? — spytał pułkownik z podejrzaną słodyczą.

— Około dwudziestu ośmiu

— Czy przez ten cały czas przełożeni byli zadowoleni z pańskiej pracy?

— Tak.
— Proszę mi powiedzieć, kto pana uczył pracy wywiadowczej?
— Generał Z. w 1921 roku.
— To widocznie zbyt mało panu czasu poświęcał.
— Jak mam to zrozumieć?
— Zaraz pan to zrozumie, gdy odczytam pewien, uzyskany przez mych ludzi, tekst — i dobitnie, powoli, rozdzielając poszczególne słowa, przeczytał szyfrogram.
Kapitan WIS-37 w miarę słuchania kurczył się coraz bardziej w fotelu. Gorączkowo przypominał sobie, czy aby gdzieś nie zetknął się z bezpieką...
— I co pan sądzi, kochany kapitanie?
WIS-37 rozłożył bezradnie ręce.
— Może mi pan powie, gdzie się pan sypnął? Kto pana rozpoznał i dał znać do bezpieki?
— Nie wiem... słowo honoru, nie wiem...
— Jak to pan nie wie? Czy pan nie rozumie, że od tej chwili jest pan spalony i w każdej chwili mogą pana aresztować?
— Ależ ja...
— Co za „ależ"? Może mi pan powie, jakimi papierami się pan posługuje? Na nazwisko: Włodzimierz Sokalski czy Kazimierz Szokalnicki?
— Swoimi własnymi.
— Czy jest pan na ich podstawie zameldowany?
— Tak.
— No, ma pan szczęście! Jest nadzieja, że sprawa rozejdzie się po kościach. A teraz może spokojnie sobie pan przypomni, kto mógł pana sypnąć. Komu pan wpadł w oko? Czy to nie jakaś kobietka?
— Nie! — zaprotestował żywo WIS-37 i zaczął intensywnie masować sobie czoło.
— Przypomina pan sobie?
— Tak, coś mi świta, szefie. Jeżeli... to jedynie dozorca. Wtedy, gdy poszedłem się dowiedzieć o doktora Majewskiego... Ale nie podawałem dozorcy swego nazwiska...
— Czy może coś mu pan dawał, kapitanie?
— Ależ tak, dałem mu za informację sto złotych.
— Miał pan może brudne ręce?
— Tak, pomagałem taksówkarzowi przy naprawianiu chłodnicy i trochę się pobrudziłem.

— To już jesteśmy w domu...

— Nie, nic jeszcze nie rozumiem.

— Kapitanie, czy pan udaje durnia, czy pan nim jest w rzeczywistości? Dał pan sto złotych dozorcy?

— Tak.

— Pozostawił pan na nich odciski swoich palców Rozumie pan już? To wystarczyło daktyloskopom. Miał pan pobrane odciski, jak sobie przypominam, przez kontrwywiad wojskowy.

— Tak, ale...

— Nie ma żadnych „ale". Po aresztowaniu „Rudego" dozorca miał prawdopodobnie przykazane meldować bezpiece o wszystkich osobach dopytujących się o niego. A ci już znaleźli! Czy miał pan przy sobie teczkę?

— Tak, z monogramem

— Inicjały imienia i nazwiska?

— Nie. Tylko nazwiska.

— Właśnie. Tak przypuszczałem. Szukali odcisków palców według grup i podgrup daktyloskopijnych, a litera „S" była tylko dodatkową premią i dlatego znaleźli obydwa nazwiska, pod którymi jest pan zarejestrowany Na pewno i w czasie okupacji pobierano od pana odciski, co?

— Tak Gestapo przy aresztowaniu. Teraz wszystko rozumiem, szefie.

— Uff... Nareszcie. Od jutra ma pan chodzić po mieście z teczkę bez inicjału. A w ogóle to powinien pan posiedzieć z pięć lat, to by pana nauczyło ostrożności!

— Panie pułkowniku, a... czy w przyszłym tygodniu też mam przyjść?

— Oczywiście! To chyba jasne.

— Czy ma pan jeszcze coś do mnie? — dyskretnie spojrzał na zegarek wystający spod mankieta białej koszuli.

— Jest godzina dziewiętnasta zero jeden. Gdzie panu tak się spieszy? Randka? Niech pan uważa, bezpieka nasyła swoje agentki. Żeby się pan nie dał nabrać, bo wtedy nawet ja machnę ręką i nic już pana nie uratuje. Jedyne, co pozostanie, to przygotować testament. No, niech pan sobie idzie. Nie zatrzymuję.

8. Tak. Pułkownik WIS-01 miał się nad czym zastanawiać. Głupie kilka miesięcy, a z siatki wypadło dwoje agentów najbardziej wartościowych, którzy przez wiele lat dobrze pracowali. A z agentem WIS-37 też są kłopoty. Coraz bardziej niedbale wypełnia obowiązki. Teraz pułkownik czeka właśnie na niego, ale nie jest wcale pewien, czy agent przyjdzie na to spotkanie. I co przyniesie? Czy znów stare, zdezaktualizowane materiały — jak zwykle ostatnio.

Pułkownik przetarł wierzchem dłoni zmarszczone czoło, jak gdyby chcąc odpędzić niewesołe myśli.

Zegar wybił godzinę siedemnastą. Jeszcze nie przebrzmiało echo ostatniego uderzenia, kiedy nad drzwiami pogrążonego w półmroku pokoju zapaliło się światło.

WIS-01 podszedł do wejścia.

— Proszę, kapitanie. Co u pana słychać? — zapytał z lekką drwiną. — Dawno się nie widzieliśmy. Czy zapomniał pan o mnie? A może zgubił pan adres?

Agent WIS-37 czuł się dziś dziwnie zagubiony w tym ciemnym pokoju, w wygodnym, miękkim fotelu. Zniknęła gdzieś cała jego zwykła swoboda. Być może, wpłynął na to półmrok, którego nie zdołało rozproszyć zielonkawe światło dużej lampy biurowej, być może — siedzący poza zasięgiem tego światła pułkownik.

Tak. Trudno mu było zacząć. Ostatni raz był w tym pokoju pół roku temu. Po tej historii z szyfrogramem przestraszył się i przychodził punktualnie przez jakiś czas. Później miał się meldować co miesiąc, ale tak się jakoś złożyło, że nie robił tego. Nie miał nic konkretnego do zakomunikowania. Coraz trudniej mu było zdobywać wartościowe materiały, które zadowoliłyby pułkownika. Zresztą chciał w końcu przejść na własny rozrachunek. Jeżeli już ryzykować skórę — to za odpowiednio wysoką stawkę, bez niepotrzebnych pośredników. Uważał się za wystarczająco przebiegłego, by pracować samodzielnie. Nawiązał nawet kontakty poza plecami pułkownika. Teraz zastanawiał się, co tamten powie na jego wyjaśnienia. Czego będzie żądał?

Na wszelki wypadek oblekł twarz w wyraz uprzejmej obojętności. Powoli przypalał sobie papierosa, nie przestając ważyć w myślach każdego słowa, które miał zamiar wypowiedzieć.

Pułkownika nie można było zbyć byle czym. Znał pracę wywiadowczą na wylot. Obracał się w niej od kilkudziesięciu lat. Współpracował z niejednym asem Tak, rozmowa z pułkownikiem była ciężka, nieprzyjemna. Od niej zależało, czy kapitan stąd wyjdzie „oczyszczony", czy też popadnie w niełaskę.

— Panie pułkowniku — zaczął powoli, z namysłem — sam pan się orientuje w pracy Nie można jak żółtodziób, tak... na łapu capu Nie muszę przecież panu tłumaczyć, że nasza działalność jest długofalowa My musimy tu mieszkać. To nie to samo, co skoczkowie: robią swoje i wracają — jeżeli im się oczywiście uda Coraz im trudniej zresztą powracać do centrali Coraz częściej kontrwywiad ubowski aresztuje ich, zanim zdążą przystąpić do pracy... I ta idiotyczna czujność, wykrzykiwana przez radio, na łamach prasy, a nawet w piosence...

Spece od propagandy zabrali się ostro do roboty. Teraz każdy węszy i wszędzie szuka szpiega...

WIS-37 przerwał Nerwowo szukał po kieszeniach następnego papierosa. Pułkownik podsunął ku niemu srebrną kasetkę.

— Proszę, kapitanie, niech pan zapali

Wypielęgnowanymi, dobrze utrzymanymi, lecz pożółkłymi od nikotyny palcami WIS-37 wyjął „Senior Service'a".

— Widzę, że pan pułkownik nie zdradza swoich wieloletnich upodobań

— A cóż nam zostało na stare lata dobra kawa, wódka i... — przez chwilę zawiesił znacząco głos — papierosy

— No, a kobietki... — WIS-37 zatrzymał się w pół zdania.

— Kobietki też, ale trzeba się ich wystrzegać bardziej niż UB. Swoimi języczkami wyrządzają więcej szkody niż kontrwywiad całego świata.

— Tak, tak — podchwycił kapitan WIS-37, zadowolony, że pułkownik dał się zbyć półsłówkami — zgadzam się z panem.

— Tak ładnie pan mi tu opowiadał o trudnościach w pracy, kapitanie — podjął pułkownik — ale nic nie usłyszałem o konkretnych wynikach Proszę o konkrety, kochany kolego, przecież nie zaprosiłem tu pana na papierosa i pogaduszki! Co pan zrobił do tej pory? Jakie

obiekty są w rozpracowaniu, co pan wie o planowanej rozbudowie przemysłu zbrojeniowego na pańskim terenie? Proszę, niech się pan wypowie.

Agentowi WIS-37 z wrażenia opadła szczęka. Jego pełna, zaokrąglona twarz przypominała teraz zdziwionego mopsa. Pułkownik zaskoczył go swymi wiadomościami...

— Właśnie chciałem panu zameldować o tym, że w okolicach Otwocka ma być budowana fabry...

— Gdzie? — przerwał mu pułkownik w pół słowa. — Proszę powiedzieć konkretnie.

— No, na terenie powiatu — bąknął WIS-37.

— Panie kolego, kogo pan bierze na plewy? Gdybym tego przed chwilą nie powiedział, to dowiedziałby się pan o tym dopiero z prasy, a i to ogólnikowo. Kogo pan chce bujać, mnie?! To się pan pomylił! Ze mną takie numery nie przechodzą.

Szybkim ruchem otworzył szufladę i wyjął mapę.

— Jeżeli pan rzeczywiście coś wie, to proszę mi pokazać właściwe miejsce.

Palec kapitana WIS-37 błądził po omacku po całej mapie, to tu, to tam. Zatrzymywał się jak gdyby z wahaniem.

— Dziękuję. Niech się pan nie trudzi. Ja wiem, gdzie się to mieści. Nic pan nie robi! Ostatnio zaniedbał się pan! Co pan sobie w ogóle myśli?...

WIS-37 zdenerwował się już wyraźnie. Czoło pokryły mu kropelki potu. Ręce drżały nerwowo.

— Wstać, jak do pana mówię! — ryknął pułkownik.

Agent WIS-37 zerwał się posłusznie i wyprężył na baczność.

— W imieniu dowództwa wydziału informacyjno-sabotażowego udzielam kapitanowi WIS-37 surowej nagany z wpisaniem do akt personalnych oraz zarządzam potrącenie pięćdziesięciu procent z trzymiesięcznych poborów. Spocznij.

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Kapitanie WIS-37, chcę panu dać jeszcze szansę.

— Słucham.

— Otóż prawdopodobnie w tych dniach zgłosi się do pana agent WIS-311. Proszę nie myśleć, że nie mam do pana zaufania. Gdyby tak było, na pewno nie podałbym

tej informacji. Zbyt pana cenię, kapitanie, i żal by mi było pana postradać.

Kapitan WIS-37 przestraszył się nie na żarty. Po co te miłe słówka zaraz po naganie?

— Wiem, że w tej chwili zastanawia się pan, po jaką cholerę tyle gadam, ale zaraz wyjaśnię. WIS-311 jest obecnie konfidentem bezpieki. Skończyć z nim chwilowo nie możemy. Czekam na jego zeznania Z chwilą, kiedy się przekonam, że sypie, będziemy zmuszeni go zlikwidować. Jest bardzo sprytny i dużo się domyśla. Jeżeli przyjdzie do pana i poda hasło, proszę na nie nie odpowiadać, bo to będzie prowokacja.

Mam nadzieję, że za przestrogę odwdzięczy mi się pan bardziej wydajną pracą.

Kapitan WIS-37 nagle zapragnął wydostać się z tego dusznego, półmrocznego pokoju. Wyjść i odetchnąć pełną piersią. Uciec jak najdalej od strasznego pułkownika.

— Jest pan wolny — powiedział pułkownik, jak gdyby czytając w jego myślach. — Na następne spotkanie proszę przyjść dziewiątego stycznia, to jest za tydzień. Do tego czasu będzie pan inwigilował agenta WIS-311, oczywiście tylko sporadycznie. Niech pan nie myśli, że nic innego nie będzie do roboty. Żegnam pana. Jeszcze jedno — zatrzymał szykującego się do wyjścia agenta WIS-37 — proszę przynieść materiał, konkretny materiał. Do widzenia, kapitanie!

— Do widzenia...

WIS-37 wyszedł. Mroźne powietrze zaparło mu na chwilę oddech. Zaniósł się kaszlem.

„A to stara świnia, ale mnie zmęczył! A swoją drogą: skąd on ma takie informacje?..."

9. Szybko podszedł do nadjeżdżającej taksówki. Cały kipiał od powstrzymywanej złości „Nie, to już szczyt bezczelności proponować mnie, staremu kadrowcowi, inwigilację jakiegoś głupiego agenta".

— Dokąd zawieźć?

— Do „Kamery" od strony Kopernika.

Silnik opla zacharczał, zakrztusił się i taksówka ruszyła z miejsca.

Tak, niewesoło brzmiało to, co kapitan WIS-37 usłyszał od pułkownika. Ostatnio chyba zanadto się jednak rozleniwił i stąd zastój w interesie Trzeba będzie rozruszać stare kości i wybrać się w teren Małe polowanie z dubeltówką w lasach otwockich dobrze podziała na trawienie zarobionych pieniędzy i poprawi samopoczucie. Nikt się nie orientuje, że druga lufa to tylko kamuflaż dla teleobiektywu zamontowanego wraz z aparatem fotograficznym w dubeltówce Nikomu nie przyjdzie do głowy oglądanie tej broni. Pod pozorem polowania sfotografował już kilkanaście lotnisk podwarszawskich. Nawet udało mu się utrwalić na filmie startujące samoloty odrzutowe — nowość w lotnictwie wojskowym — i stacje radarowe. Nigdy nie zapomni, jak o mało się nie wsypał, kiedy kilka dni temu zaczepił go w pobliżu lotniska pewien kapitan. W ostatniej chwili, na szczęście, przeleciał tuż przed nim zając i udało mu się go położyć od razu pierwszym strzałem. No, a gdyby spudłował i musiał strzelać z drugiej lufy? Wtedy leżanka na całej linii... Zachował jednak przytomność umysłu Jak gdyby chodziło mu tylko o to, podszedł do leżącego nieruchomo szaraka i przywiązał go do poprzednio zabitego, a następnie, prowadząc w dalszym ciągu z kapitanem przyjacielską rozmowę, oddalił się od lotniska

Taksówka zatrzymała się. Agent WIS-37 ocknął się z zamyślenia.

— Gdzie jesteśmy?

— Jak to, nie widzi pan? Róg „Nowika" i Alej. Coś pan pierwszy raz w Warszawie?

— Nie, tylko, widzi pan, trochę mnie głowa boli.

— To może zamiast do „Kamery" podrzucę szanownego pana do apteki na „kogutka"? Co? — zapytał z troską w głosie szofer — Tu koło Smolnej jest apteka. Wskoczy pan na chwilę, a ja poczekam.

— Nie, dziękuję. Spieszy mi się.

— Co, cizia czeka?

— Mhhh... — miało to oznaczać potwierdzenie.

— Ma pan głowę na karku, mistrzuniu. takiej kuchni ze świecą nie znajdziesz pan w całej Warszawie Tylko „Bristol" może konkurować — ale jakie tam ceny? Ho, ho..

Skręcili w Foksal.

Agent WIS-37 wyjął pomięty tysiączłotowy banknot.

— Reszty nie trzeba.

Zaczekał, aż taksówka skręci w Ordynacką, a następ-ie raźnym krokiem przekroczył próg „Kameralnej". V tym momencie coś sobie przypomniał: tu właśnie puł-ownik pokazał mu kiedyś młodego mężczyznę i powie-ział, że jest to agent WIS-311, którego ma zamiar mu rzekazać. Wówczas też wspomniał, że tu zbierają się łotki czarnego rynku, prezesi różnych spółdzielni, w któ-ych nie zawsze czysto prowadzone są rachunki, a czasami rzychodzą tu nawet i jego agenci, by przekazać sobie nateriały.

Bywa też bezpieka, ale przeważnie w poszukiwaniu rzestępców gospodarczych.

Agent WIS-37 stał przez chwilę niezdecydowany v przejściu Rozejrzał się po lustrzanej sali. Jakieś ciem-ie typy pochylone nad stolikami tchnęły pijackim szep-em Ruch kelnerów pomiędzy bufetami a stolikami był vręcz oszołamiający, nieustanny, niezmordowany Prze-nykali się to z półmiskami pełnymi smakowitych przy-tawek, to z tacami wypełnionymi po brzegi butelkami czystą wyborową i z sodową wodą Od strony kuchni łynął zawiesisty zapach wspaniałości przygotowywanych rzez mistrza nad mistrze, pana Antoniego Co chwila vybiegał stamtąd kelner obarczony dymiącymi patel-niami pełnymi skwierczących pieczarek i „spécialité de a maison" lokalu — brizolem cielęcym z rusztu, z fryt-kami.

Właśnie pod oknem w pobliżu wentylatora zwolnił się stolik Towarzystwo, lekko balansując na rozmiękłych od nadmiaru alkoholu nogach, zbliżało się do wyjścia. WIS-37 zręcznie wyminął tę grupę i zajął wolne miejsce. Spoza karty znów zaczął rozglądać się po sali. Jego wzrok przez chwilę zatrzymał się na znanej sylwetce. Już chciał unieść się w ukłonie i zaprosić szefa do z trudem zdobytego stolika, lecz ledwie dostrzegalny ruch głowy osadził go na miejscu. „Jak nie chcesz, to pies cię drapał" — mruk-nął cicho pod adresem pułkownika.

— Czym mogę służyć? — tuż nad głową zabrzmiał tu-balny szept kelnera.

— Łosoś z rusztu i ćwiarteczka orzechówki eksportowej, tylko proszę, jeśli można, z lodu.

— Już się robi.

Pułkownik usiadł w drugim końcu sali w większym towarzystwie. Rozmowy, jakby ucięte nożem, zamilkły nagle.

— No, no, ale stary jest tu znany. Nie myślałem, że aż tak trzęsie tym towarzystwem.

Szybko zjadł, wypił. Wychodząc zauważył agenta WIS-311, który właśnie oddawał płaszcz w szatni.

WIS-311 rozbieganym wzrokiem prześliznął się po postaci kapitana. Przez chwilę w oczach jego zagrał żywszy blask, jakby sobie coś przypominał, i znów spojrzenie stało się obojętne, myszkujące dalej po sali. Nagle rysy bladej, nalanej twarzy stężały, napięły się. Nowo przybyły szybko wyrwał płaszcz z rąk szatniarza. Wyszedł. Kapitan ruszył skrótem przez podwórko na tyłach teatru. Zatrzymał się przy kasie. W odbiciu szyby mignęła mu postać agenta WIS-311. Poszedł za nim. Minęli Chmielną. Śledzony wszedł do bramy pod jedenastym. Zaczął biec. Kapitan, mimo ciężaru swych lat, nie ustępował. Przecież na końcu przechodniaka była Bracka i Centralny Dom Towarowy w gmachu po braciach Jabłkowskich, gdzie w tłumie jest tak łatwo zniknąć. W bramie koło księgarni złapał za rękaw agenta WIS-311.

— Zaczekajcie, do jasnej cholery!

Tamten zatrzymał się niechętnie.

— Czego? — warknął niemal.

— Dlaczego uciekacie?

— Nie dość, że z wami człowiek pracuje, to jeszcze musicie deptać mi po piętach?

— Tylko spokojnie, chłopczyku, nie brykaj! — Ścisnął go mocniej za rękę. — Co to ma znaczyć? — indagował.

— Nic, nie mam czasu, by co dzień spotykać się z szefem, i powiedz mu pan, że jak będę miał coś ciekawego, to sam się zgłoszę do Urzędu i nie zwieję. Nie musi na mnie napuszczać kapusiów.

— Dobrze! Tylko w razie nawalanki — koniec. Nie puścimy tego płazem.

— Tak jest, panie śledczy.

Kapitan puścił trzymane kurczowo ramię. WIS-311 wykonał niemal akrobatyczny skok przed ruszającym z przy-

stanku trolejbusem i rozpłynął się we wchodzącym do cedetu tłumie.

„A jednak pułkownik ma nosa. Trzeba mu zdać szybko raport, może go udobrucham".

— Cholera, ale mnie skurczybyki obstawiły — klął pod nosem WIS-311. — Niedługo to i do kibla będą za mną chodzić. Dobrze, że udało mi się spławić tego kapusia.

Przeciskał się przez tłum zapełniający cedet. Na kilka minut zatrzymał się przy stoisku z płytami. Znudzony, wysłuchał paru oberków w wykonaniu orkiestry Cajmera. Puścił oko do ekspedientki ze stoiska fotograficznego. Zastanawiał się chwilę, czy nie podejść do niej i nie spróbować umówić się na randkę. W końcu ostentacyjnie machnął ręką i skierował się ku wyjściu. Przeszedł wśród tłumu do Alej. Wskoczył do ruszającego tramwaju.

Z pomostu wagonu rozejrzał się dyskretnie, czy nie jest jeszcze śledzony. Nie, chyba wszystko w porządku. Na rogu Alej i Marszałkowskiej wysiadł. Wiatr rwący Marszałkowską szarpnął za poły jego płaszcza i wdarł się zimnym chłodem pod ubranie. WIS-311 szybkim krokiem ruszył w kierunku „Polonii". Otworzył drzwi. Kwaśny odór parujących palt i przepoconych ciał buchnął mu prosto w twarz. Zajął stolik w rogu sali. Miał stąd widok na wejście główne i zapasowe.

Orkiestra grała uwerturę do „Wesołej wdówki". Wiolonczelista sennie kiwał się nad instrumentem. Zdawało się, że jeszcze chwila, a spadnie z łoskotem z krzesła. Na chwilę spotkali się wzrokiem. Wymienili mrugnięcia. Potem muzyk dalej znęcał się z senną apatią nad wiolonczelą.

Podeszła kelnerka.

— Co podać?

— Uważaj, skarbie, do kogo mówisz! Maleńka czarna, likier miętowy. Tylko szybko, bo się pali.

— Dlaczego pan tak?... Zaraz przyniosę, proszę pana.

— No dobrze, dobrze, spływaj, lalunia.

Przez chwilę szukał po kieszeniach papierosów. Wyciągnął pomięte pudełko „Poznańskich". Zaciągnął się dymem. Kelnerka podała zamówioną kawę i likier.

Przy sąsiednim stoliku siedziała ruda piękność w popie-

latym futrze z królików. Była to popularna w tym lokalu Misia. Spódnica rozcięta wysoko na bokach pozwalała podziwiać ładne nogi w przezroczystych nylonach.

Orkiestra przestała grać. Wiolonczelista ostentacyjnie skierował się do toalety. WIS-311 wstał od stolika.

— Cześć, staruszku — zawołał na powitanie wiolonczelista. — Co słychać?

— Mam „Tissota" do spędzlowania za trzydziestaka, prawie nowy.

— Pokaż.

Agent wyjął z kieszeni zegarek, machnął nim przed nosem wiolonczelisty.

Ten ze znajomością rzeczy zabrał się do oględzin.

— Dwadzieścia pięć patyków — powiedział — i biorę.

— No, nie rób ze mnie wała! Trzydziestaka, a jak nie, to oddaj towar!

— Popatrz tylko, tu są zadrapania.

— No oddawaj, nie mam czasu na głodne gadki, tu nie zebranie ani świetlica.

— No dobrze, dobrze. Masz tu dwadzieścia cztery tysiące, a podczas następnej przerwy podrzucę resztę.

— Dobra, tylko nie bądź „jezusem".

— O co chodzi?

— No, bez cudów.

Rozeszli się. WIS-311 z powrotem usiadł przy stoliku. Przez chwilę ze smakiem popijał likier. Misia poprawiała w lusterku usta. Szminka miała barwę krwistego rumsztyku. Mięsiste wargi kobiety pod jej dotknięciem stawały się jeszcze bardziej pełne. Odszukała w lusterku spojrzenie agenta WIS-311. Uśmiechnęła się. Odpowiedział jej mrugnięciem. Orkiestra znęcała się nad wiązanką romansów cygańskich. „Przydałoby się poderwać ją do chaty" — pomyślał WIS-311.

W tym momencie podeszła do jego stolika.

— Przepraszam, może pan ma zapałki? — Nie pytając się o zgodę, usiadła obok. — Podoba mi się pan.

— Naprawdę?

— Tak. Jest pan taki inny.

— Do kogo ta mowa?

— No, słowo honoru.

— Ile chcesz?

— Co pan mówi? O co panu chodzi?

— Pięć tysięcy — indagował ją dalej. — Jesteś Misia czy Joanna d'Arc? Czy myślisz, że trafiłaś na jelenia z prowincji?

— Skąd wiesz — raptem przeszła na ty — że jestem Misia?

— To już niech zostanie moją słodką tajemnicą. A jeżeli tak koniecznie chcesz wiedzieć, to ci powiem, tylko nikomu nie zdradź: krasnoludki mi powiedziały.

— Podoba mi się taka mowa. Nareszcie coś innego, zamiast „chodź do chaty" i „kładź się". Dość mam tego, chcę odpocząć. My też powinnyśmy mieć urlop.

— Szkoda, że nie macie związku zawodowego, który by się za wami ujmował, i wczasów.

— Nie kpij sobie z biednych, zaharowanych kobiet.

— Posiedź tu trochę, zaraz wrócę.

Poszedł na spotkanie wiolonczelisty.

— No jak, jest szóstka?

— Jest.

Szybko przeliczył pieniądze.

— Zgadza się. Do zobaczenia. Jak znów coś będę miał, to podrzucę.

Wrócił do stolika. Położył dwieście złotych.

— Chodź, idziemy.

Wyszli. Wiatr targnął nagle ze zdwojoną siłą za ubranie, jak gdyby specjalnie na nich czekał. Dopadli taksówki.

— Dokąd? — zapytał szofer.

— Towiańskiego — odpowiedziała Misia.

Mieszkanie było małe, przytulne. Misia zapaliła nocną lampkę z ciemnożółtym abażurem i przez chwilę kręciła się po pokoju. Poprawiła obrus na stoliku, włączyła radio. Z podręcznego bufetu wyjęła butelkę i kieliszki.

— Właściwie, jak ci na imię?

— A jeśli powiem: Stefan, to uwierzysz? Równie dobrze mogę nazywać się Wilhelm.

— Z dwojga złego wolę Stefan. Poczekaj chwilę.

Trzasnęły drzwi. Agent WIS-311 zastanawiał się, dokąd mogła pójść. Prawdopodobnie do kuchni. Przez drzwi słychać było szum wody, szuranie naczyń, jakieś ciche nucenie. Pomyślał nagle, że być może to wszystko lipa, że ona właśnie teraz idzie do bezpieki, by go zadenuncjować. Szarpnął za klamkę. Pośrodku kuchni stała Misia

na wpół rozebrana. Głowę i ręce miała uwięzione w zdejmowanej właśnie koszuli. Chwycił ją wpół.

— Daj spokój, poczekaj trochę! — krzyknęła. Łagodnie wypchnęła go do pokoju.

Po chwili wróciła, już w szlafroku. W dłoniach trzymała tacę z filiżankami i dzbankiem z kawą.

— Siadaj.

Wprawnym ruchem napełnił kieliszki.

— Nasze kawalerskie!

Wypili oboje jednym haustem. Przyjemne ciepło rozpłynęło się po całym ciele.

— Powiedz, Stef, skąd wiedziałeś — wracała z uporem do zadanego w „Polonii" pytania — że przezywają mnie Misia?

— Coś się do tego przyczepiła? — czy miał jej powiedzieć, że siedząc razem z kumplem rozmawiali o niej i że kumpel dokładnie ją opisał, łącznie z wykonywaną profesją i kolorem włosów?

— Chciałabym wiedzieć.

— I co ci z tego przyjdzie?

— No dobrze, możesz nie mówić, to nie takie ważne.

Sięgnęła po karafkę.

— Nalać?

— A jak myślisz?

— Sama nie wiem, jesteś jakiś taki...

— Tylko chorych się pytają — zaśmiał się WIS-311 — a ja na chorego chyba nie wyglądam.

Wypili. Patrzył uważnie, dociekliwie na dziewczynę. „Tak, trzeba się będzie zamelinować u niej na parę dni, a może nawet na dłużej. Całkiem możliwa meta".

— Misia...

— Co, Stef?...

— Dobrze mi z tobą.

— Chciałbyś, zdaje się, zostać na dłużej?

— Raczej tak, tylko że nic ode mnie nie zarobisz.

— Jesteś świnia! Chcesz, zostań. Coś mi się zdaje, że masz poważniejsze kłopoty. Wyglądasz mi na to. Podobasz mi się. Póki zechcesz i póki musisz — możesz tu pomieszkać. Tylko nie wtrącaj się do moich spraw. Zgoda?

— Zgoda.

— To pocałuj mnie teraz mocno i bądź grzeczny.

**10.** Nad drzwiami w gabinecie pułkownika zapaliła się mleczna lampka. Podszedł do drzwi.

— A, to pan, kapitanie! Proszę do środka. Zimno, co?

— Cholernie. Będzie chyba ze trzydzieści kilka stopni mrozu.

— Proszę zdjąć jesionkę. Może kieliszeczek „Podkomorzanki"?

— Dobrze, dziękuję, człowiek chętnie pije w taki ziąb.

Kapitan WIS-37 rozejrzał się z zainteresowaniem po pokoju. W ciepłym półmroku kontury mebli zamazywały się, były nieczytelne. Szczególne zainteresowanie wzbudzał piękny piec.

Tymczasem pułkownik wyjął spośród barwnej baterii jedną butelkę. Rozlał wódkę w kieliszki.

— Zdrowie, panie pułkowniku!

Wypili ze smakiem.

— No, no, no, ale mocna. Rzeczywiście dobrze rozgrzewa.

— Może papierosa? — WIS-01 podał kapitanowi szkatułkę z „Senior Service'ami". Zaciągnęli się.

— Jakie wiadomości, kapitanie?

— Chyba pana zadowolę. Otóż po rozstaniu się z panem spotkałem całkiem przypadkowo agenta WIS-311. Właśnie wychodziłem z „Kameralnej". Nie wiem, czy pan pułkownik go zauważył. Stał w wejściu. Szybko się cofnął. Kiedy go zaczepiłem, widocznie mnie nie poznał, bo zwrócił się do mnie niczym do agenta z bezpieki.

— Czy może mi pan powtórzyć jego słowa?

— Zaraz, niech tylko sobie przypomnę... „Nie, nie mam czasu, by co dzień spotykać się z szefem. Powiedz mu pan, że jak będę coś miał, to się sam zgłoszę do Urzędu i nie zwieję... Będę na pewno, panie śledczy".

— Czy to wszystko, kapitanie?

— Tak, wszystko, bo potem WIS-311 się ulotnił.

„Musiał stać w przejściu i dlatego go nie zauważyłem — myślał pułkownik. — Więc jednak mam dobre wiadomości. Trzeba go będzie jeszcze przed wyjazdem uziemić, bo jeżeli zacznie zbyt dużo paplać, to... to może być nie zanadto wesoło. Cholera, że musiałem wtedy tam być! Taki drobiazg, ale któż by się spodziewał, że tak szybko wypłynie?..."

— Dziękuję, kapitanie, dobrze wywiązał się pan z zadania. Oto gratyfikacja.

Sięgnął do szuflady biurka, skąd wyjął kilka pięćsetek.

— Widzę, że pan jest bardzo zmęczony, panie pułkowniku.

— Tak. Nawał pracy, kapitanie. Chyba czytacie prasę? Znów paru naszych kolegów otrzymało długoterminowe urlopy...

— Tak, tak, coraz gorzej. A co z tym typkiem? Nic?

— Na razie nic. Zaczekamy. W odpowiednim momencie porozmawiamy na ten temat. Następne spotkanie mamy szóstego lutego. Żegnam pana, kapitanie.

Pułkownik stanął przy oknie i obserwował zza kotary znikającego w perspektywie ulicy kapitana WIS-37.

„Ciężka sprawa z tym szczeniakiem. Najlepiej chyba będzie, kiedy agent WIS-311 zamilknie na wieki".

Podszedł do biurka. Nalał kieliszek „Podkomorzanki". „Dobra wódka nie jest zła" — z tą sentencją na ustach podniósł słuchawkę i zaczął nakręcać numer.

— Dzień dobry panu. Jak panu smakowały papierosy? — podał do telefonu hasło.

— Co za głupie kawały! Panie, ja tu ciężko pracuję i nie mam czasu na głupstwa... — rozległ się szczęk odkładanej słuchawki.

Pułkownik połączył się jeszcze raz.

— Dzień dobry. Jak panu smakowa...

— Czy da mi pan do jasnej cholery spokój, coś się pan schlał? Co się pan mnie czepiasz, ja już od kilku lat nie palę! Mówię panu, odwal się pan i dzwoń pan sobie do kogo innego! Ja pracuję! Ja poproszę milicję, by takiego barana złapała!

Znów nastąpiło rozłączenie.

— Cholera — zaklął pułkownik. — Zapomniał hasła lub udaje Głos na pewno jego, adresu nie zmieniał...

Dla pewności sprawdził w książce telefonicznej. Odczekał piętnaście minut i połączył się znowu.

— Halo, słucham — w głosie podejmującego słuchawkę zabrzmiała wyraźna złość.

— Tu szef. Słuchaj, bez głupich kawałów. Bądź za pół godziny w parku Paderewskiego na siódmej ławce po prawej stronie od Saskiej Kępy.

— Tak jest. Przepraszam, czy to pan uprzednio dzwonił?
— Oczywiście.
— Ale...
— Słucham.
— Ja nie... ja nie przyjdę do parku... Ja... ja... już nie chcę...
— Dobrze. Możesz, bracie — pułkownik zaczął mówić dobitnie, rozdzielając poszczególne sylaby — odłożyć słuchawkę, lecz pamiętaj, że zaraz połączę się z innym numerem i opowiem, gdzie trzeba, pewną historyjkę o czarodziejskiej zabawce, wrzucającej na drugie piętro piłeczki dla chorego przez okno. To kogoś bardzo ucieszy. Czy mam dodać drugą opowieść z czasów dawniejszych?
— Już dobrze. Przyjdę.
— Jeszcze jedno. Bez głupich kawałów. Niech ci nie wpadnie do głowy przychodzić w towarzystwie, bo ja i tak z tego wybrnę, ale co wtedy stanie się z tobą — za to nie ręczę. Do zobaczenia. Teraz jest godzina osiemnasta. Czekam.
Połączenie zostało przerwane.
— Bodajby cię jasna cholera! — zaklął WIS-76.
Zastanawiał się jednak dość długo, czyby nie zadzwonić i nie sypnąć starego.

Pułkownik stanął przed lustrem. Kilka pociągnięć szminką. Przylepiec zmieniający rysy twarzy. Tak, zupełnie nieźle. Połatana jesionka i stare, nie oczyszczone buty dopełniły przeobrażenia do końca. Jeszcze raz spojrzał uważnie w lustro.
— No, dobrze jest. Jeszcze tylko...
Szybkim ruchem rozmazał na dłoniach czarną farbę. W lustrze ukazał się umorusany starzec. Podszedł do biurka. Z szuflady wyjął pistolet.

O osiemnastej piętnaście WIS-01 znalazł się w pobliżu umówionego miejsca. Park był pusty. W dziesięć minut później na wyznaczonej ławce usiadł zdenerwowany agent WIS-76. Co chwila zerkał na zegarek. Pułkownik przeszedł koło niego ociężałym krokiem. Wyciągnął brudną rękę.

— Co łaska — zaskamłał.

WIS-76 położył dwudziestozłotówkę. Pułkownik nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

— Dziękuję panu WIS-76 za jałmużnę. Jednak pan przyszedł, i to nawet wcześniej. Muszę pana pochwalić za jedno.

— Za co?

— Że nie poprosił pan na dzisiejszy przyjemny wieczór towarzyszy z bezpieczeństwa. Widzę, że jest pan rozsądny. A teraz przystąpmy do rzeczy...

— Słucham.

Pułkownik wyjął z kieszeni fotografię.

— Oto jest młodzian, którego daję pod opiekę panu.

Agent WIS-76 ujrzał w mdłym świetle latarki podobiznę mężczyzny o ładnej, choć bezmyślnej twarzy.

— Co pan chce, szefie, ode mnie?

— Trzeba go załatwić. Jest konfidentem bezpieki. Czy to panu wystarczy?

— Aha.

— Tu ma pan adres. Po miesiącu zadzwonię do pana. Bardzo bym pragnął, by do tej pory sprawa została definitywnie załatwiona. Ma pan jeszcze swoje „Parabellum"?

— Tak. Jest w domu.

— To pięknie, a tu *à conto*.

Wręczył plik tysiączłotówek.

— Resztę otrzyma pan po wykonaniu zadania.

— Szefie, a jak go nie znajdę?

— Trudno, w takim razie o n i dowiedzą się o wypadzie na Żelazną.

— Bodajby to cholera!

— Przepraszam pana, czy pan myślał sobie, że praca w wywiadzie to gra w pchełki, którą można w każdej chwili przerwać?

— Nie...

— To nie mamy co na ten temat dyskutować.

— Szefie, czy będę jeszcze wezwany do pracy? Przecież już jestem niedołężny i stary — i jeszcze pokorniej dodał: — Ja... ja naprawdę się nie nadaję. Czy po tym da mi szef spokój?

— Tak, to będzie ostatnia praca. Słowo oficerskie.

— Dziękuję. Jestem cholernie zmęczony.

— Postaram się już pana nie trudzić. Do widzenia.

— Do widzenia, szefie.

Pułkownik odszedł szybkim krokiem i zniknął za zakrętem alejki.

— Czy podołam temu zadaniu? — mruczał pod nosem WIS-76.

II. Po miesiącu w alei parku spotkali się znów dwaj mężczyźni. Spoglądali na siebie nieprzyjaźnie.

— Co pan załatwił w wiadomej sprawie? — zapytał WIS-01.

— Nic.

— I pan śmie tak spokojnie o tym mówić? Termin wyznaczony przeze mnie już minął.

— Tak, ale facet gdzieś się zapodział.

— No to co? Trzeba było go znaleźć. Miał pan dużo czasu.

— Przecież muszę pracować i żyć.

— Co? To te czterdzieści tysięcy, które panu dałem, nie wystarczyły na utrzymanie? Trudno, sam pan się doigrał. Jutro daję znać do bezpieki. Już oni porozmawiają z panem...

— Pan tego nie zrobi!...

— Kto mi zabroni!?...

— Jest pan bydlakiem, skończonym bydlakiem! Żałuję, że nie mam broni. Zabiłbym jak psa!

— Proszę, spróbuj, tchórzu!

Jednym szarpnięciem lewej ręki wydarł z kieszeni pistolet i wyciągnął go przed siebie, trzymając za lufę.

— Masz, strzelaj!

Agent WIS-76 sięgnął łapczywie po broń. Jeden chwyt dżudo i sam nie pojmując, jak to się stało, leżał rozciągnięty na ziemi jak długi.

— Mógłbym cię, dziadu, teraz wykończyć, ale szkoda mi kuli dla takiego próchna. Niech mnie bezpieka wyręczy.

Kopnął leżącego między żebra. Szybko oddalił się w stronę Zielenieckiej.

Wieczorem spieszący do pracy na trzecią zmianę robotnicy znaleźli w parku martwego mężczyznę.

— Zamarzł. Na pewno sobie za dużo pociągnął, dziadyga!

— A może zasłabł?

Wezwano milicję. Po kilku minutach zwłoki zostały zabrane do Zakładu Medycyny Sądowej. Sekcja wykazała, że denat zmarł na zawał serca. We krwi nie wykryto nawet miligrama alkoholu.

— Co pan o tym sądzi, kolego? — zwrócił się lekarz kończący sekcję do asystenta — Chyba musiał go ktoś przestraszyć... Czy zwróciliście uwagę na rękę? Wygląda, jak gdyby po coś sięgał.

— Macie rację, byłbym to przeoczył.

Rano ósmego lutego ukazała się w prasie drobna wzmianka:

„Wczoraj wieczorem w parku Paderewskiego zamarzł na śmierć Heliodor Szpinder, lat 62, zamieszkały przy ulicy Bagno. Świadkowie proszeni są do Komendy Stołecznej MO".

W ciągu dnia w mieszkaniu agenta WIS-76 odbyła się rewizja. W skrytce pod podłogą znaleziono pistolet „Parabellum". Na stole leżała koperta, zaadresowana do komendanta Urzędu Bezpieczeństwa. Postanowiono ją oddać pułkownikowi Kowalskiemu.

Kowalski obracał przez chwilę w dłoniach otrzymaną kopertę. „Co też ona może kryć? Czy narzekania na los starego, zmęczonego życiem człowieka?"

Rozerwał ją. Na stół wypadła złożona w czworo kartka papieru. Po rozwinięciu okazało się, że cała pokryta jest drobniutkim, ale czytelnym pismem.

„Do Głównego Pana Komendanta Bezpieczeństwa dla miasta stołecznego Warszawy.

Ja, Heliodor Szpinder, lat 62, piszę, być może, ostatni list w życiu. Jeżeli nie będę żył, chcę, by wiedziano o mnie wszystko. Prawdopodobnie podczas przeszukiwania mieszkania znajdziecie pistolet. Otóż jest to pamiątka po powstaniu. Od zakończenia działań wo-

jennych nie padł z niego ani jeden strzał. Jestem pracownikiem wywiadu. Mój kryptonim: WIS-76. Zaraz wytłumaczę, dlaczego WIS. Jest to skrót od wydziału informacyjno-sabotażowego. Numer 76 oznacza kolejny numer agenta siatki. Być może, zadzwonią do was i będą mnie oczerniać. Chcę ich ubiec. Mam na myśli swojego szefa. Jest to świnia bez serca i duszy, kanalia, która nie powinna chodzić po tym świecie.

On to właśnie szantażem i groźbami ściągnął mnie z uczciwej drogi. Wszystko zaczęło się podczas okupacji. W domu, gdzie mieszkałem, wykryto radiostację. Od tego czasu wszyscy podejrzewają mnie o zdradę, ale klnę się na Boga, że ja tego nie zrobiłem; był to tylko czysty przypadek. Przy końcu 1947 lub na początku 1948 roku ktoś zadzwonił do mnie, żądając spotkania. Nie chciałem o niczym słyszeć. Powołał się na hasło obowiązujące mnie w czasie okupacji. Zagroził mi wtedy, że powie bezpiece o tej radiostacji. Zląkłem się. Czy byście mi uwierzyli? Przecież tyle strasznych rzeczy opowiadano mi o was. Spotkaliśmy się na ulicy Bagno. Przyjechał po mnie wiśniowym oplem. Widziałem go pierwszy raz w życiu. Zawiózł mnie pod szpital na Żelazną. Pokazał okno, a potem pojechaliśmy do mnie i zrobiłem katapultę. Wróciliśmy pod szpital. Do naciągniętej katapulty włożył granat, który zbił szybę. W chwilę potem nastąpił wybuch. Myśmy odjechali samochodem. Dał mi za to sto dolarów. Później miałem spokój aż do zeszłego miesiąca. Zadzwonił do mnie i znów się spotkaliśmy. Tym razem był przebrany za starego dziada. Spotkanie odbyło się w parku Paderewskiego. Pokazał mi zdjęcie jakiegoś człowieka; domagał się, abym go zabił. Nie chciałem. Wtedy zagroził mi, że zadenuncjuje mnie za ten wypad pod szpital. Zgodziłem się, choć wiedziałem, że nie potrafię zabić. Dość miałem tego. Gość, którego miałem zabić, miał być według słów szefa konfidentem bezpieki. Zamieszkiwał w Radości. Jestem stary i sterany życiem. Mam chore serce. Chcę odpocząć. Rozkazu nie wykonałem. Dziś, to jest siódmego lutego 1949 roku, idę z nim się spotkać o godzinie sze-

snastej. Być może już nie wrócę, dlatego piszę do was ten list.

Warszawa, 7.2.1949 r., godzina 15.00.

Heliodor Szpinder".

Pułkownik Kowalski odłożył list i zamyślił się głęboko. Tak, staruszek miał słuszne przeczucie. Szkoda, że nie opisał wyglądu swego szefa, nie podał jakichś bliższych danych. Nie zdążył, czy też skołatany umysł nie podsunął mu właściwej myśli? A może po prostu nie umiał podać nic konkretnego, bo tamten maskował się zbyt dobrze?... Trudno. I tak trzeba będzie szukać i znaleźć. Na razie wyjaśniła się jedna, dotychczas niezrozumiała sprawa.

Część III

# KAPITAN GREN ZNOWU POJAWIA SIĘ NA WIDOWNI

**1.** Był mroźny i śnieżny dzień drugiej połowy lutego 1949 roku. Gren bez pośpiechu i właściwie bez żadnego określonego celu szedł Nowym Światem. Nagle wśród bezosobowego tłumu przyciągnęła jego wzrok czyjaś zarośnięta i przygnębiona, tak dobrze znana twarz. W ostatniej chwili, gdy nie zauważywszy, przechodzień chciał już minąć Grena, ten chwycił go za rękaw. Nieprzytomny wzrok spoczął niechętnie na kapitanie, lecz po chwili blady uśmiech opromienił twarz spotkanego.

— Czołem, Hubert!

— Cześć, Tadek! Dokąd idziesz?

— Tak, przed siebie... Właściwie do fryzjera...

Poszli razem. Po drodze Brun wspominał, że cały tydzień tłukł się po powiecie otwockim.

Po wyjściu z zakładu fryzjerskiego na wniosek Grena wstąpili obaj do sąsiedniej kawiarni.

— Dwie duże kawy i flaszkę „Rizlinga"! — zamówił u przechodzącej koło stolika kelnerki Hubert.

Chwilę milczeli. Tadeusz odezwał się pierwszy:

— Nie dziw się, stary, że jestem taki „wypompowany" i jak gdyby oklapnięty. Mam za sobą miesiąc cholernie ciężkiej, wyczerpującej nerwowo i niestety niemal bezowocnej pracy.

Napełnił kieliszki.

— Widzisz — ciągnął. — Dobrze, że się spotkaliśmy. Mam na wątrobie taką zakichaną sprawę. Już na samym jej początku myślałem, żeby się ciebie poradzić; ale nie chciałem zawracać ci głowy. Zastanawiałem się nawet, czy wolno mi z tobą w ogóle o tym mówić, bo sam rozumiesz, że tajemnica służbowa, no i...

— Tak, rozumiem przecież.

— Właśnie. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że tobie mogę to powiedzieć z całą swobodą. Choć przedtem unikałem, jak mogłem, poruszania tego rodzaju spraw, by nie rozdrapywać ran...

— Jeśli będę mógł ci w czym dopomóc, to wal śmiało. Możesz liczyć na mnie — i na moją całkowitą dyskrecję.

— Ja nawet nie to głównie miałem na myśli. Tylko się zastanawiałem, czy po wielomiesięcznej przerwie będziesz mógł i chciał mi doradzić. Już się sam gubię w tym całym bigosie... Co ja mówię! Przecież jest już po wszystkim... Tylko widzisz, czuję, że wyrządzamy tu ludziom cholerną krzywdę. Zresztą sam osądzisz...

— No, mów...

**2.** Na początku stycznia 1949 roku z powiatu otwockiego nadszedł meldunek donoszący, że do komendanta posterunku milicji w Radości zgłosił się niejaki Ryszard Zygmuntowicz, dwudziestoletni chłopak, który niedawno został zwolniony na urlop zdrowotny z więzienia w Fordonie. Skazany był on na siedem lat za współpracę z obcym wywiadem. Twierdził, że chce się zobaczyć z szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Otwocku, ponieważ ma, jak się wyraził, „ciekawe wiadomości". Komendant posterunku MO w Radości maglował chłopaka przez pięć dni bez żadnego rezultatu, Zygmuntowicz bowiem chciał rozmawiać tylko z szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Wezwano w końcu szefa i Zygmuntowicz zaczął gorączkowo zeznawać. Okazało się, że w pierwszych już dniach urlopu odwiedził go były sierżant z armii Andersa, który proponował mu nawiązanie kontaktu z pewną ambasadą. Propozycje te były bardzo konkretne, poparte zarówno jakimiś tajnymi papierami, jak i... walutą (na dowód pokazał banknot dwudziestodolarowy). Dwudziestego ósmego stycznia Zygmuntowicz miał dostarczyć w określone miejsce otrzymany od sierżanta tajnopis. Więcej mówić nie chciał, natomiast usiłował wytargować zwolnienie z więzienia i osiemdziesiąt tysięcy złotych w gotówce — wtedy będzie mówił dalej.

Szef porozumiał się z Warszawą. Otrzymał rozkaz rozpoczęcia dochodzenia bez pomocy Zygmuntowicza.

Praca nie była tak łatwa, jak by się zdawało na pierwszy rzut oka. W Radości mieszkało dziewięciu byłych sierżantów z armii Andersa.

— Sam się orientujesz — tłumaczył Tadek — że było to nie do wykonania, a tu jeszcze ponaglał zbliżający się termin przerzutu tajnopisu. Nie mogliśmy wszystkich inwigilować — stracilibyśmy na to zbyt wiele cennego w tej sytuacji czasu.

Szef z Otwocka, stojąc przed zbyt trudnym dla niego zadaniem, na własną rękę obiecał Zygmuntowiczowi wolność i pieniądze, byleby tylko pchnąć sprawę naprzód. Na początek dla zachęty dał nawet chłopakowi trzy tysiące złotych z własnej kieszeni. Zygmuntowicz, zachęcony szeleszczącym argumentem, zaczął składać dalsze zeznania.

— Panie szefie, zacznę od początku. Otóż sierżant Medwecki (nareszcie padło nazwisko!) zaproponował mi współpracę.

— W czym miała sie wyrażać ta współpraca?

— Dwudziestego ósmego stycznia z pudełkiem zapałek, w którym ukryty był tajnopis, miałem pójść w stronę ambasady i przerzucić tam pudełko przez parkan!

— A skąd mieliście pewność, że nikt was nie zatrzyma? — indagował szef. — Wiecie, że istnieje ochrona placówek dyplomatycznych.

— Z tym dałbym sobie radę. Mógłbym przypalić papierosa, a następnie niby puste pudełko wyrzucić tak, żeby przeleciało pomiędzy sztachetami na teren ambasady.

— Czy nic poza tym Medwecki nie zlecał?

— Nie.

Mając już pewne dane, szef Powiatowego Urzędu z Otwocka przesłał do Warszawy meldunek o początkowym rozpracowaniu siatki szpiegowskiej, działającej na terenie powiatu Otwock. Na zakończenie meldunku prosił o dalsze wytyczne.

Naczelnik wydziału „H" po zapoznaniu się ze sprawą zawołał Tadka.

— Towarzyszu Brun, otrzymałem materiał z Otwocka, przeanalizujcie go dokładnie i zastanówcie się nad dalszymi krokami. Sądzę, że sprawa jest poważna. Liczę na wasze doświadczenie. O wynikach meldujcie mi co kilka dni.

— Tak jest, towarzyszu naczelniku.

Brun wyszedł, zabierając ze sobą plik papierów. W swoim pokoju stanął na chwilę przy oknie, bezwiednie wpatrując się w przedziwnie skomplikowany i misterny wzór wymalowany mrozem na szybach. Myślał o nowym zadaniu. Czy jego realizacja będzie znowu przypominała szereg podobnych spraw, jakie w ciągu ostatnich paru miesięcy prowadził on i jego koledzy? Znowu albo fiasko — albo wychwytanie drobnych tylko płotek, mimo uporczywego zarzucania sieci na grubsze ryby? I to nie wiadomo dlaczego... Czy sieć miała zbyt szerokie oczka, czy miejsca połowów były obierane niewłaściwie?... Czy też dawne podejrzenia Grena, że przyczyny niepowodzeń tkwią gdzieś wewnątrz aparatu bezpieczeństwa, były nie pozbawione podstaw?

Ocknął się z zadumy. Podniósł słuchawkę.

— Poproszę z kapitanem Radoniem.

— Łączę.

— Czy to kapitan Radoń?

— Tak.

— Tu Brun z wydziału „H". Mam do was małą prośbę.

— Słucham.

— Czy może ktoś od was podrzucić tu na górę kartę ewidencyjną Ryszarda Zygmuntowicza?

— Zaraz, tylko poszukam.

— Dziękuję. Będę czekał u siebie w pokoju.

Przez kilka minut palił papierosa opierając się o framugę okienną. Skrzypnęły drzwi. Do pokoju wszedł współpracownik kapitana Radonia. Podał zalakowaną kopertę.

— Dziękuję.

Brun szybko złamał pieczęć. Zaczął czytać. W miarę zagłębiania się w tekst twarz wydłużała mu się coraz bardziej.

— Cholera, ale wkopałem się w kabałę. I takie paskudztwo muszę ruszać!

Jeszcze raz przeczytał kartkę.

R y s z a r d Z y g m u n t o w i c z, syn Czesława i Marii Ludwiki z domu Maklaska, urodzony 11 listopada 1929 roku w Michalinie, powiat Otwock. W 1945 roku karany w sądzie dla nieletnich za przechowywanie broni bez zezwolenia. Skazany na dom poprawczy Kary nie odbył W roku 1947 aresztowany za kradzież portfeli w pociągach podmiejskich. Skazany przez Sąd Powiatowy w Otwocku na karę jednego roku pobytu w domu poprawczym. Z braku miejsca oddany pod nadzór kuratora W marcu 1948 roku aresztowany za działalność szpiegowską podczas przekraczania granicy w okolicach Kostrzynia Przy aresztowanym znaleziono tajnopisy Wyrokiem Sądu Wojskowego skazany na siedem lat więzienia Osadzony w więzieniu w Fordonie W przygotowaniu jest akt oskarżenia przeciw wyżej wymienionemu o szantażowanie i okradanie współwięźniów. Zwolniony warunkowo na dwa miesiące w celu przeprowadzenia badań lekarskich (jest zagrożony gruźlicą).

„Więc takiemu typkowi mam zaufać i dać wiarę jego słowom? Złodziej, szantażysta — i raptem skrucha, chęć współpracy! Co się za tym kryje?... Czy dążenie do pozostania na wolności, czy też chęć wydębienia od nas grubszej gotówki?... A może jedno i drugie?... Czy też może jakieś porachunki z dawnymi kumplami?... Ale w takim razie... To rzadko spotykany objaw, by jeden sypał drugiego. Coś mi się w tym całym pasztecie nie podoba Ale co?... Żeby tak go rozgryźć! No cóż, rozmowa z facetem może wyjaśnić pewne wątpliwości... Ale na razie sam muszę się pogimnastykować Przy takich historiach z sypaniem łatwo kogoś skrzywdzić. Trzeba bardzo ostrożnie..."

Przewertował dokładnie wszystkie papiery, posiedział chwilę bez ruchu, segregując w myśli ważniejsze fakty, wreszcie zaczął szykować się do wyjazdu. Zaplombował biurko i metalową szafę stojącą w kącie. Jeszcze przez

chwilę zastanawiał się nad pierwszymi krokami, jakie należało podjąć w nowej sprawie.

Szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa był mężczyzną postawnym, szerokim w ramionach. Podniósł się na widok wchodzącego Bruna.

— Wy z komitetu? — zapytał.

Głos miał zmęczony i beznamiętny. Tadek okazał mu legitymację.

— Aha... To wy jesteście przysłani przez naczelnika Kasztanowskiego. Dobrze. Usiądźcie. Zaraz przyniosę odnośne akta. Gdy zapoznacie się z nimi, naradzimy się nad dalszymi krokami.

Wyszedł i za chwilę wrócił w towarzystwie pryszczatego chłopaka w bliżej nie określonym wieku, ubranego w za ciasny mundur. Spod lewego ramienia sterczała chłopcu broń, wypychając marynarkę do przodu.

— „Colt" kaliber 11,5? — zapytał Brun.

— Tak jest. Ale, towarzyszu, skąd wy wiecie? — na twarzy pryszczatego odbiło się zdziwienie.

— Miałem kiedyś taką armatę, ale nosiłem ją na brzuchu, żeby się tak nie odznaczała.

Chłopak zarumienił się i już bez słowa położył przed Tadkiem papiery. Teczka była starannie obłożona, w środku poukładano systematycznie materiały dotychczasowego dochodzenia. Część ich, w kopii, Tadek przeglądał już w Warszawie. Teraz uzupełniał swoje dotychczasowe wiadomości. Wszystko razem było dość interesujące, choć w gruncie rzeczy sprawa wydawała się o wiele prostsza i łatwiejsza, niż zapowiadał to naczelnik i — własna intuicja Tadka. Ot, tuzinkowa sprawa poszlakowa.

Dane personalne były dokładne.

> M e d w e c k i M i e c z y s ł a w, syn Teodora i Wiktorii, z domu Żarneckiej, urodzony 17 czerwca 1903 roku w Warszawie, wykształcenie średnie, do roku 1939 pracował w Państwowej Wytwórni Uzbrojenia „Sprawdziany" jako technik. Był komendantem w „Strzelcu" na terenie „Sprawdzian". W latach 1924—1926 służył w trzydziestym pułku piechoty; tam też otrzymał stopień plutonowego, specjalność: radiotelegrafista (obsługa radiostacji małej mocy, fale krótkie). W roku 1939 powołany do wojska, walczył

pod Kutnem, następnie przez Rumunię, Węgry, Jugosławię przedarł się do Francji. Brał udział w kampanii francuskiej. Został ranny i internowany przez Dunkierkę do Dover (Wielka Brytania). W 1943 roku ukończył kurs szyfrantów w Kairze, awansował do stopnia sierżanta. Po przeszkoleniu wysłany na Bliski Wschód do dyspozycji generała Andersa. W 1944 roku, awansowany do stopnia starszego sierżanta, zajmował stanowisko radiotelegrafisty szyfranta przy generale Andersie. Przebył kampanię włoską. Po skończeniu działań wojennych został ewakuowany do obozu wojskowego w Glasgow. Numer jednostki wojskowej — 3411 „S". W marcu 1946 roku powrócił do kraju. Zaczął pracować w Polskim Radio jako technik. Zwolniony stamtąd w 1948 roku — pracuje do chwili obecnej w dziale zagranicznym „Varimexu", przyjęty tam dzięki dobrej znajomości języków obcych — angielskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego i arabskiego. Z pracy wywiązuje się dobrze, zajmuje stanowisko starszego inspektora.

Tadek spojrzał na załączoną do wywiadu fotografię. Wyzierała z niej sympatyczna, inteligentna twarz mężczyzny ubranego w mundur alianckich armii, ze znakiem formacji „Condor", naszytym na rękawie. Na drugim zdjęciu widniał ten sam mężczyzna idący Marszałkowską, ubrany w ciemną jesionkę i beret. Na odwrotnej stronie napis: „Wykonano dwudziestego stycznia 1949 roku przez wywiadowcę z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Otwocku".

„No, no, postarali się. Nawet całkiem dobre zdjęcie" — pomyślał Brun.

Wrócił do papierów. Krótkie dane wspominały o żonie Medweckiego, Annie, córce Jerzego i Anastazji, z domu Jakubczyk, urodzonej 21 sierpnia 1912 roku w Warszawie, posiadającej wykształcenie średnie, nie pracującej.

Dalej córka Monika, urodzona 11 kwietnia 1931 roku, i syn Czesław, urodzony 7 listopada 1948 roku.

Tadek z zaciekawieniem przyjrzał się fotografii Moniki Medweckiej. Piękna dziewczyna! Z niezbyt wyraźnej odbitki zdawała się patrzeć na niego wzrokiem pełnym zamyślenia. Falujące włosy okalały twarz o nieskazitel-

nym owalu i dużych, wyrazistych oczach. Brun zadumał się melancholijnie. Jakoś nigdy nie miał czasu ani chęci na trwalsze zainteresowanie się jakąś kobietą... Ta na zdjęciu podobała mu się bardzo, bardziej niż jakakolwiek ze znanych mu dotąd...

Oderwał niechętnie oczy od jej twarzy. Znów zagłębił się w papierach, w stosie notatek służbowych z inwigilacji, z wywiadów środowiskowych, z rozpoznania otoczenia, w którym się Medwecki obracał.

„... Mieczysław Medwecki utrzymuje kontakty towarzyskie — głosiła jedna z notatek — z adwokatem Kazimierzem Sokolnikowskim, zamieszkałym w Radości przy ulicy Źródlanej 6. Przychodzi do niego na brydża. Bliższych danych nie ma, brak bowiem dotarcia do środowiska..."

Wywiad, jak wiele innych, stereotypowy, pełen ogólników, naszpikowany personaliami wyciągniętymi z Biura Meldunkowego, bez głębszej analizy środowiska.

Przejrzał jeszcze kopie kart personalnych, wysłanych do sprawdzenia do Ministerstwa (chodziło o to, czy wymienione osoby nie są tam już notowane) — i odsunął teczkę.

— Tak, ciekawe, bardzo ciekawe — mruknął na wpół do siebie — ale...

— No i co, towarzyszu kapitanie, myślicie? — zapytał pryszczaty młodzian.

— Ano nic, synek... Pozwólcie, towarzysze, że pójdę teraz na obiad. Za godzinę wrócę...

Wydali się obaj jak gdyby obrażeni. Wzruszyli ramionami. Zapewne myśleli: „Tu taka poważna sprawa, a ten najspokojniej pod słońcem, po prostu ot tak — idzie sobie na obiad".

Gdy wychodził z pokoju szefa, usłyszał za sobą stłumiony głos pryszczatego:

— Towarzyszu szefie, ten gość z Warszawy ma nie po kolei w głowie. Co?... T a k a  s p r a w a...

## 3.

Po godzinie, gdy Tadek wrócił do Powiatowego Urzędu, rozpoczęto odprawę. W krótkim podsumowaniu Brun przedstawił zebranym funkcjonariuszom swój punkt widzenia.

— Uważam, że należy po pierwsze: podstawić zdolnego wywiadowcę, który by nawiązał znajomość z Mieczysławem Medweckim i Kazimierzem Sokolnikowskim na płaszczyźnie towarzyskiej. Osoba ta powinna raczej stać na pewnym poziomie intelektualnym. Poza tym pożądana byłaby umiejętność gry w brydża. To ułatwi dotarcie. Po drugie: trzeba niezależnie od tego stale inwigilować Medweckiego, a szczególnie zwrócić uwagę na jego kontakty poza miejscem zamieszkania: w pracy i na mieście. Po trzecie: zbadać kontakty jego córki i żony, ponieważ zachodzi prawdopodobieństwo, że mogą pomagać w pracy szpiegowskiej. Po czwarte i na razie ostatnie: obserwować chłopaka, który złożył meldunek.

Tadek zastanawiał się chwilę, co można by było jeszcze dodać.

— No, tak... — odparł powoli szef — ale wasz pierwszy wniosek jest chwilowo niemożliwy do spełnienia, nie ma u nas nikogo odpowiedniego, kto by miał warunki dotarcia do wrogiego środowiska. Chyba że ściągniecie kogoś z Warszawy. Obok mieszkania sierżanta Mieczysława Medweckiego jest wolny pokój, tam mógłby się on sprowadzić i obserwować zarówno Medweckiego, jak i jego rodzinę. Jeśli chodzi o Ryszarda Zygmuntowicza, to jutro jest akurat dwudziesty ósmy stycznia, a więc skontaktuje się on ze mną według umowy. Co do inwigilacji Medweckiego w pracy i na mieście...

— ... Tam też skieruję naszego wywiadowcę z wydziału „C" — dokończył Brun. Dobrze by jednak było, gdyby jeden z tutejszych funkcjonariuszy opiekował się podejrzanym do momentu wsiadania do pociągu — dodał, aby nie zadrażnić lokalnego patriotyzmu szefa.

Odprawa trwała dalej. Ponieważ inwigilacją Medweckiego na terenie Radości miał zająć się pryszczaty referent, sierżant Zając, Brun objaśnił go szczegółowo, jak ma wykonywać swoje zadanie.

Narada przeciągnęła się do dwudziestej trzeciej. Pokój spowił siny śmierdzący dym. Popielniczki i podłoga pełne były niedopałków.

Ostatni pociąg odchodzący do Warszawy już uciekł. Kapitan Brun zeszedł do wartowni, pożyczył kożuch i położył się spać na ławce. Było trochę niewygodnie, ale jakoś przedrzemał do świtu.

Wczesnym rankiem uwiesił się przy telefonie. Rozmawiał z Wojewódzkim Urzędem w Warszawie. Tłumaczył, przekonywał. Wreszcie obiecano mu zdolnego, odpowiedzialnego wywiadowcę z wydziału „C". Spotkać się mieli na drodze wiodącej do mieszkania Medweckiego o godzinie 10.30. Znak rozpoznawczy — „Odrodzenie" z wkomponowanym zielonym trójkątem na pierwszej stronie. Tygodnik ten miał kapitan Brun zresztą przy sobie.

Wywiadowca otrzymał polecenie niedekonspirowania się przed nikim oprócz kapitana Bruna, z którym miał się co kilka dni spotykać.

Tadek był zziębnięty i głodny. Otwock ział nań przez mocno przybrudzone szyby okien Powiatowego Urzędu szarością i nudą.

Ulica była prawie pusta, pokryta gołoledzią z rzadka posypaną popiołem. W barze mlecznym nie opodal zjadł łapczywie kilka czerstwych i nie dopieczonych bułek, popił przypalonym, ale gorącym mlekiem. Zatłoczonym pociągiem dojechał do Radości. Dom, w którym mieszkał Mieczysław Medwecki, okazał się niczym nie wyróżniającym się drewniakiem na podmurówce. Stał niemal na skraju lasu. Brun przyjrzał mu się beznamiętnie. Jakoś nie czuł zapału do sprawy, którą miał prowadzić. Przypomniał sobie tęsknie gorące dni walk z bandą „Kreta". „To była robota!" — pomyślał niemalże z rozczuleniem.

Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po dziesiątej.

W drodze powrotnej spotkał starszego pana, ubranego w elegancką jesionkę i ciemnoszary kapelusz „Eden". Jegomość utykał lekko na lewą nogę. Szedł powoli po pokrytym gołoledzią chodniku, ciężko opierając się na grubej lasce. Brun w ostatniej chwili podtrzymał go przed niechybnym upadkiem.

— Niech pan idzie ostrożnie, chwila nieuwagi i można sobie złamać nogę — powiedział. Postanowił nawiązać rozmowę, ponieważ zauważył, że z kieszeni jegomościa wystaje jakaś gazeta.

— Cholerna ślizgawica! Że też to ludzie nie posypią popiołem — denerwował się nieznajomy. Zatrzymał się, wyciągnął z kieszeni paczkę „Morrisów". — Może pan zapali?

— Dziękuję — Tadek przyjął papierosa. Przez cały

czas zastanawiał się, czy spotkanie to jest przypadkowe, czy też rozmawia z wysłanym do Radości wywiadowcą. Wyjmując z kieszeni zapałki, jakby niechcący zgubił znajdujące się tam „Odrodzenie". Schylił się po nie szybko i spytał:

— Czy pan czasem nie zgubił gazety?

Starszy pan przyglądał mu się milcząco przez chwilę.

— Pan się myli — rzekł wreszcie. — Moja gazeta jest w kieszeni.

Wyjął ją i pokazał Tadkowi. Obie gazety miały identyczny trójkąt w rogu.

— Kapitan Brun, tak?

— Tak.

— Chorąży Krupiński — przedstawił się.

— Uważajcie, Krupiński, teren tu śliski. Za godzinę spotykamy się w miejscowej gospodzie.

— Tak jest. A co do śliskości, to... jest przecież laska...

Koło stacji Brun wszedł do knajpy, poprosił o duże jasne. Przez pół godziny czekał, aż kelner raczy przynieść zamówione piwo.

Po jakimś czasie w drzwiach ukazał się starszy pan. Rozejrzał się po pełnej sali, jak gdyby szukając wolnego miejsca, a następnie wolnym krokiem podszedł do stolika Tadka.

— Czy można się dosiąść?

— Proszę bardzo.

Krupiński usiadł obok Tadka. Rozejrzał się niemal niedostrzegalnie, lecz uważnie po sali, czy ktoś ich nie obserwuje.

— Byłem tam, kolego Brun. Mieszkanie jest wolne, więc wynająłem je i już jutro się wprowadzam.

4. Brun, spokojny o zabezpieczenie terenu, wyjechał do Otwocka. Teraz oczekiwał meldunku w Powiatowym Urzędzie. Dochodziła osiemnasta. Przybył szef. Był zdenerwowany. Okazało się, że nie skontaktował się z Ryszardem Zygmuntowiczem.

Następnego dnia chłopak zjawił się w Urzędzie.

— Dlaczego nie byłeś wczoraj na umówionym miejscu? — zapytał szef.

— Nie spotkałem się z Mieczysławem Medweckim i nie otrzymałem pudełka do przerzucenia.

Zdenerwowany, wściekły wracał Tadek do Warszawy. Pociąg stukał miarowo na spojeniach szyn. Brun od dłuższego czasu przyglądał się ukradkiem mężczyźnie w okularach, jedynym poza nim pasażerem w przedziale.

„Skąd go znam?" — kołatało w jego zmęczonej głowie. Jeszcze raz spojrzał w tym kierunku. Nieznajomy uniósł głowę znad gazety. Spojrzenia ich skrzyżowały się. Mężczyzna przez chwilę przyglądał się badawczo Brunowi. Jego oczy zamigotały gwałtownie pod szkłami i ożywiły się, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał.

— Cześć, kapitanie — powiedział do Bruna. — Nie poznajecie mnie? — Twarz jego okrasił uśmiech.

— Właśnie się zastanawiam, skąd pana znam.

— No, przypomnijcie sobie?

— Nie, doprawdy...

— A kto na mnie wpadł w zeszłym roku koło kwiaciarni na Marszałkowskiej?

— Rzeczywiście, przypominam was sobie, naczelniku.

— Tss! Cicho... — powiedział to znaczącym szeptem i dodał głośniej: — Skąd to tak rano? Rybki w Świdrze?

— Nie.

— Widzicie, byłem służbowo w Otwocku.

— Ja też.

— Powiedzcie mi, kolego — kapitan Masnowski przeszedł na ton poufały — co sądzicie o tej sprawie?

— Jakiej?

— No, tego andersiaka Medweckiego.

— Trudno mi cokolwiek na ten temat powiedzieć, jeszcze nie mam wyrobionego zdania.

— Jak sądzicie, czy on jest szpiegiem?

— Już mówiłem, że nie mam wyrobionego zdania, otrzymałem tę sprawę dopiero niedawno. Gdy będę mógł coś konkretnego na ten temat powiedzieć, chętnie was powiadomię.

— A co sądzicie o osobach kontaktujących się z nim, na przykład o Sokolnikowskim?

Wjeżdżali na peron Dworca Wschodniego.

— Przepraszam, kapitanie, że nie odpowiem, ale już wysiadam. Do widzenia.

Brun wyszedł zły, że dał się wciągnąć w rozmowę.

„Ile razy z nim rozmawiam, zawsze mi coś potem nie wychodzi — żachnął się. — Jestem jak przewrażliwiona stara baba, która odpukuje w niemalowane drzewo. Trzeba wziąć się w karby. Jeżeli tak dalej pójdzie, stanę się rozhisteryzowanym dziadem, zdatnym tylko na emeryturę". Szybkim krokiem poszedł do przystanku. W ostatniej chwili wskoczył do ruszającego tramwaju.

„Czy Krupiński da sobie radę z tym orzechem trudnym do zgryzienia?"

Tadek pochylił się nad stolikiem. Kilka kropel wina upadło obok kieliszka. Ręce Bruna drżały nerwowo. „Ale się chłopak wykończył" — pomyślał z troską Gren. Pili. Jakiś czas trwało milczenie. W pewnym momencie Tadek przesunął ręką po twarzy, jak gdyby chciał z niej ściągnąć jakąś niewidzialną pajęczynę.

— Więc rozumiesz, nie gniewaj się, stary — ciągnął dalej — ale wykorzystałem twoje dawne kontakty. Pamiętasz tego kapitana Brodowicza z Polskiego Radia? No, gdy prowadziliśmy sprawę „Rudego"?

— Tak. Pamiętam dobrze. Przez dość długi czas byłem z nim nawet zaprzyjaźniony. Odwiedzał mnie często po powrocie ze szpitala. Potem widywaliśmy się rzadziej. Wiesz, nikt nie ma zbyt wiele czasu...

— Otóż, kiedy przejrzałem akta Medweckiego, przypomniało mi się, że Brodowicz był kierownikiem konserwacji aparatury radiowej. Postanowiłem przypomnieć mu się i wyciągnąć od niego trochę wiadomości o podejrzanym. Przynajmniej byłem pewny, że to, co powie, będzie miało charakter obiektywny.

Zapadła cisza. Gren zastanawiał się, dlaczego Tadek przerwał. Przypomniała mu się jego ostatnia sprawa „Trzy białe goździki"... Sprawa, która wytrąciła go z kontrwywiadu...

— Słuchaj, Tadek... Nie wiem, może to jakaś moja obsesja, ale... Jednym słowem, czy przypadkowo obecna historia nie wiąże się z „Trzema goździkami"?

— Trudno mi w tej chwili powiedzieć... Nie mówiłem ci jeszcze, jak potoczyła się rozmowa z Brodowiczem w dniu dwudziestego siódmego stycznia. Przyjął mnie dość gościnnie. W przedpokoju okazałem legitymację.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam w odpoczynku, ale chciałem prosić pana o kilka informacji.

— Czym mogę panu służyć?

— Jestem serdecznym przyjacielem kapitana Grena.

— Proszę, niech pan wejdzie, nie będziemy przecież rozmawiać w przedpokoju.

Brodowicz był serdeczny, ożywiony. Częstował papierosami. Zapalili.

— Co pana do mnie sprowadza?

— Czy zna pan może Mieczysława Medweckiego? Pracował w latach 1946—1948 w Polskim Radio.

— Niech pan chwilę poczeka, przypomnę sobie... Tyle osób się przewinęło... Zaraz, zaraz...

Tadek wyjął z kieszeni fotografię.

— To ten.

Brodowicz przyglądał się z zastanowieniem fotografii Medweckiego, wykonanej przez funkcjonariusza z Otwocka.

— Tak, teraz go sobie dobrze przypominam. Był niezłym fachowcem i raptem go zwolniono. Chyba orientuje się pan, dlaczego... Mnie też by ten los spotkał, gdyby nie interwencja kapitana Grena.

— To Hubert panu wtedy dopomógł? — zapytał Tadek. — Nic mi nie mówił na ten temat.

— Och, on zawsze jest małomówny i dyskretny. Ale wracajmy do sedna sprawy. Tak, Mieczysław Medwecki pracował u mnie. Koleżeński, uprzejmy, znał dobrze swoją pracę. Pamiętam jedno zdarzenie, jak by to było dziś. Miało to miejsce chyba w 1948 roku. Medwecki wykrył piach dosypany do oleju transformatorowego. Gdyby w porę tego nie zauważono, radiostacja zostałaby unieruchomiona na długo.

— Rozumiem pana dobrze. Czy jeszcze ma pan coś do dodania?

— Nie, to byłoby wszystko.

— Dziękuję, kapitanie. Proszę o dyskrecję.

— O, to całkiem zrozumiałe.

— Dziękuję. Do widzenia.

— Do widzenia. Proszę przy sposobności pozdrowić kapitana Grena.

5. Od podjęcia sprawy Mieczysława Medweckiego minęło kilka dni. Trzydziestego pierwszego stycznia kapitan Brun otrzymał meldunek z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Otwocku, że do wolnego mieszkania przy ulicy Kwiatowej w Radości wprowadził się przedwojenny major lotnictwa. Szef z Otwocka, porucznik Zabiełło, denerwował się nawet, że nie zdążono przedtem zainstalować tam pracownika z bezpieczeństwa. Tadek wolał nie wspominać, że owszem, zdążono, że rzekomy major — to wywiadowca z wydziału „C". Pamiętał wciąż jeszcze ostatnie wskazówki Grena, żeby przy tego rodzaju kamuflażu było możliwie jak najmniej wtajemniczonych osób.

Kapitan Brun wszedł do swojego gabinetu. Gdzieś na dnie jego świadomości zapalało się czerwone światło ostrzegające przed fałszywym krokiem. Tępy ból rozsadzał czaszkę. Zbyt wiele ostatnio ślęczał nad papierami. I wciąż nie mógł się zdecydować na aresztowanie Medweckiego. Coś go powstrzymywało. I nie były to chyba tylko oczy dziewczyny z fotografii.

Podszedł do telefonu.

— Poproszę z kapitanem Radoniem.

— Słucham, Radoń.

— Kapitanie, mówi Brun, mam do was małą prośbę.

— Dla was wszystko...

— Ile czasu zajmie wam odnalezienie w archiwum sprawy z 1948 roku, dotyczącej dosypania piachu do oleju transformatorowego w radiostacji w Raszynie?

— Mniej więcej piętnaście minut.

— Dobrze. Będę czekał u siebie. Dziękuję.

Zaczął chodzić po pokoju. Okno, metalowa szafa, drzwi i znów okno, i tak w kółko, byle nie myśleć, byle przezwyciężyć uparty szum w głowie. Sterta niedopałków rosła niepostrzeżenie. Popiół zaścielał biurko wokół popielniczki i znaczył na podłodze marszrutę Bruna.

Skrzypnęły drzwi. Do pokoju wszedł podoficer z zalakowaną kopertą.

— Towarzyszu kapitanie, przyniosłem akta z archiwum od kapitana Radonia.

— Połóżcie na biurku. Dziękuję.

Brun podszedł do okna, otworzył. Do pokoju wtargnęło mroźne powietrze. Wciągnął je głębokim haustem w płuca, niczym topielec wydobywający się z odmętu na powierzchnię. Poczuł się lepiej. Wyrzucił niedopałki do kosza. Starą gazetą oczyścił z popiołu biurko. Rozerwał z determinacją kopertę. Wypadła z niej wypłowiała tekturowa teczka. Otwierał ją z wahaniem. Przecież tu, w tych milczących papierkach, jest człowiek, człowiek, który, być może, zasiądzie na ławie oskarżonych.

„Czy mam prawo rozstrzygać o czyimś losie jedynie na podstawie donosu?... Co za bezsensowne myśli snują mi się po głowie?... Czy jestem chory? Trzeba się skupić". Odruchowo sięgnął do pudełka z papierosami. Było puste. Nie chciało mu się wstać, by zejść do kantyny i kupić nową paczkę. Szybkim ruchem otworzył teczkę. Obejrzał plan sytuacyjny z zaznaczonym magazynem i beczkami z olejem transformatorowym. Z akt wynikało, że kiedy monter miał lać olej do transformatorów, Mieczysław Medwecki zauważył jakieś paprochy. Zatrzymał montera. Zakwestionowany olej zamknął w swoim pokoju, a następnie zaalarmował kierownika technicznego radiostacji.

Brun przeczytał dokładnie protokół przesłuchania.

— Opowiedzcie mi, Medwecki, jak to było z tym olejem transformatorowym.

— Otóż kiedy technik chciał go wlać do transformatorów, zauważyłem paprochy pływające na wierzchu. Zatrzymałem olej i zamknąłem w szafce w pokoju.

— I co dalej?

— Zadzwoniłem do kierownika technicznego, inżyniera Brodowicza.

— Czy to ten andersiak?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi, panie śledczy. Dla mnie jest inżynierem fachowcem, a to, czy był po lewej, czy po prawej stronie, nie ma nic do rzeczy i mam nadzieję, nie dyskwalifikuje go jako fachowca.

— Odpowiadajcie na pytania. Więc zadzwoniliście do tego inżyniera.

— Tak, zatelefonowałem do inżyniera Brodowicza.

— Co on zrobił?

— Zadzwonił na wartownię. Kiedy przybył war-

townik, razem z nim zanieśliśmy olej do zbrojowni i tam go zamknięto. Klucz jest u dowódcy ochrony radiostacji.

— Co potem?

— Inżynier Brodowicz zawiadomił Urząd Bezpieczeństwa. Potem przyjechali panowie i to wszystko.

— Nie wiecie, kto wsypał piach do oleju?

— Nie, nie wiem.

— A kogo podejrzewacie?

— Nie mam konkretnych podejrzeń. Może to było w magazynie, a może po drodze wiatr naniósł, bo widzi pan, tu tumany kurzu i piachu fruwają w powietrzu.

— To dlaczego nie zabezpieczono kubła pokrywą?

— Proszę o to zapytać magazyniera. Ja za magazyn nie odpowiadam, tylko za stan techniczny radiostacji.

— Możecie odejść, tylko tu proszę podpisać.

Brun przerzucił jeszcze kilka kartek. Z dalszych akt wynikało, że ostatecznie dochodzenie w tej sprawie umorzono, tylko magazynier został zwolniony dyscyplinarnie z pracy za niedopełnienie obowiązków służbowych. Więcej nic interesującego w papierach nie znalazł. Musiał teraz czekać na wyniki inwigilacji, prowadzonej z jednej strony przez chorążego Krupińskiego, z drugiej — przez wywiadowcę Kuśmirka

Znowu zaczął krążyć po pokoju. Przyzwyczajony raczej do akcji, do działania — źle się czuł już od dłuższego czasu przy ciągłym grzebaniu się w papierach i aktach, przy biurku w zacisznym gabinecie. Dziś także nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu. Doszedł do wniosku, że mała przechadzka dobrze mu zrobi. Szybko ubrał się i wybiegł z gmachu Wojewódzkiego Urzędu.

Przemaszerował przez most, nastawiając kołnierz i głęboko wsuwając ręce w kieszenie jesionki. Od Wisły dął przejmujący, mroźny wiatr. Szedł ulicami właściwie bez określonego celu, pogrążony w myślach. Ocknął się z zadumy dopiero na Dworcu Śródmieście.

„Kie licho tu mnie przyniosło?" — mruknął do siebie. W tym momencie mignęła mu w tłumie znajoma twarz. Zaczął przeciskać się między ludźmi spieszącymi na peron, starając się nie stracić z oczu drobnej sylwetki dziewczy-

ny. Dziewczyny z fotografii — Moniki Medweckiej. Czy był w tej chwili oficerem dochodzeniowym, wykorzystującym przypadek, czy też po prostu młodym mężczyzną, któremu za bardzo spodobały się czyjeś duże, wyraziste oczy? Trudno powiedzieć. W każdym razie zapał, z jakim podążał za Moniką, pozwolił mu wkrótce znaleźć się w zatłoczonym korytarzu elektrycznego pociągu Warszawa—Otwock.

Zerknął na zegarek. No tak, to była pora, w której tłumy warszawiaków mieszkających na tej linii powracały z pracy.

Przyglądał się dyskretnie zwróconej do niego profilem dziewczynie. Była jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu, choć wydawała się jakaś zmęczona i smutna. Usiłowała właśnie oprzeć ciężką, widać, siatkę ze sprawunkami o ramę okna. Ryzykując umieszczenie swego łokcia na czyimś podbródku, wyciągnął rękę.

— Pani pozwoli, pomogę.

Zwróciła się doń całą twarzą i uśmiechnęła się blado.

— Dziękuję...

Brun mocował się z siatką. Zadanie okazało się niewykonalne. Zatrzymał więc ciężar w swoich dłoniach.

— Nie da rady. Ale proszę się nie martwić i zostawić mi siatkę. Zapewniam, że nic nie zginie. Daleko pani jedzie?

— Do Radości. Dziękuję panu.

Rozmowa urwała się. Tadek odczuwał jakieś dziwne, obce mu dotąd zakłopotanie. Wolną ręką zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Wtedy Monika spojrzała domyślnie i wyciągnęła z torebki paczkę „Poznańskich". Ten gest przełamał milczenie. Do samej Radości rozmawiali już z ożywieniem. Nawet nie mógł sobie później przypomnieć dokładnie, o czym właściwie mówili. Ot tak, o wszystkim i o niczym.

Nie odprowadzał jej do samego domu. W porę uświadomił sobie konieczność pożegnania dziewczyny, zanim spotkają kogoś niepowołanego. Kogoś, kto mógłby uświadomić ją, w czyim towarzystwie się znajduje. A to groziłoby zarówno przedwczesnym zorientowaniem rodziny Medweckich, że Urząd Bezpieczeństwa interesuje się nimi, jak również mogłoby zniweczyć zupełnie inną, całkiem osobistą sprawę Bruna... Na szczęście, w Radości nikt go

nie znał poza kręcącym się tu ostatnio „pryszczatym".

Pożegnali się na pustej, zawianej śniegiem uliczce. Tadek jedno tylko dobrze zapamiętał z owej chwili: że umówili się na dziesiątego w kawiarni-sklepie, popularnym wśród studentów „Hadesie" na Krakowskim Przedmieściu, i że ta randka nie wiązała się wcale ze śledztwem prowadzonym wokół Mieczysława Medweckiego...

6. Dworzec Śródmieście rankiem pierwszego lutego był równie zatłoczony, jak i w dniach poprzednich. Wywiadowcy z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, Kuśmirek i Buczyński, obserwowali w przejściu ludzi wychodzących z pociągu otwockiego.

— Słuchaj, ja idę za gościem, a ty za tą dzierlatką. Tylko uważaj, nie spal się ani nie umawiaj z nią na randkę, bo kapitan Brun by ci nogi z... pleców powyrywał. Pamiętaj, babka nie ma rudego prawa nawet domyślać się, że masz ją na cynku. Po drodze otrzymasz wymianę. Znak rozpoznawczy: teczka z monogramem przełożona z ręki lewej do prawej. Monogram „MK" w lewym rogu. Spotykamy się o dziesiątej trzydzieści w pokoju Bruna.

— Uwaga, Kuśmirek, idą!

Pochylnią wśród masy przepychających się ku górze ludzi szedł Mieczysław Medwecki z córką. Dochodzili do bileterów. Minąwszy ich, Medwecki pocałował córkę w policzek.

— Uważaj, maleńka, na tego gbura. Jak będzie cię zaczepiał, powiedz mi, a ja już go odpowiednio odprawię — dobiegło do nadsłuchujących w pobliżu wywiadowców.

— Widzisz, Buczyński, jak cię urządził: „Uważaj na tego gbura!" No, cześć, stary! Lecę do roboty...

Po chwili z daleka mignął mu Buczyński idący w pewnym oddaleniu za Moniką Medwecką.

Kuśmirek musiał dobrze wyciągać nogi, by nadążyć za Medweckim. Doszli do Poznańskiej. Medwecki zniknął w drzwiach Poczty Głównej.

— Cholera, gotów mi wyparować.

Przyspieszył kroku. Zobaczył Medweckiego w dziale przesyłek zagranicznych. Zatrzymał się w przejściu, nie-

znacznie obserwując inwigilowanego. Medwecki po nadaniu listu ruszył w kierunku wyjścia. Podszedł do skrzynki stojącej w korytarzu. Wrzucił drugi list. Przewinął się przez drzwi obrotowe. Znów byli na ulicy. Szli szybko Poznańską. Kiedy dochodzili do Żurawiej, rozdzielił ich traktor z trzema przyczepami wyładowanymi cegłą. Śledzony oddalał się szybko. Kuśmirek usiłował, nie spuszczając go z oczu, obejść traktor, który się raptem zatrzymał.

— Co, do cholery, kot panu drogę przeleciał czy co? — zawołał Kuśmirek do traktorzysty. — Bujaj się pan, jak pragnę szczęścia.

Od strony Hożej nadjeżdżała karetka pogotowia.

— Zaraz, zaraz, tylko pogotowie przejedzie — odparł flegmatycznie szofer. — Co, kicia panu ucieknie, że się pan tak spieszysz?

Traktor zapykał, drgnął i powoli ruszył. Wywiadowca przyspieszył kroku. Zdążył zauważyć skręcającego w Hożą Medweckiego. Ruszył za nim. Kilkanaście metrów za Poznańską spostrzegł czerwoną tabliczkę: „VARIMEX".

— Tak, to tu. No, co zrobić, zasuwa prosto do roboty.

Kuśmirek wszedł do środka. W korytarzu na biurku leżała lista obecności. Przejrzał ją pobieżnie. Wśród innych podpisów widniała parafa stwierdzająca przybycie Mieczysława Medweckiego do pracy.

— Obywatel do kogo? — zapytał portier.

— Do kadr, w sprawie pracy.

— Pierwsze piętro, pokój 117. Proszę przedstawić kartę meldunkową, wypiszę przepustkę.

Personalny długo oglądał służbową legitymację.

— Czy możecie powiedzieć, co was sprowadza, towarzyszu?

— Chodzi mi o jednego waszego pracownika.

Chytre oczka personalnika zwęziły się w wyczekiwaniu.

— Którego? — padło krótkie pytanie.

— Mieczysława Medweckiego.

— Czy mam go zwolnić?

— Nie. Po co od razu zwalniać?

— No to o co wam chodzi? O co go podejrzewacie?

— To już nasza sprawa.

Personalnik, obrażony, rozsiadł się wygodniej za olbrzymim biurkiem.

— Słucham — palce jego wybijały niczym werble rytm marsza.

— Czy Mieczysław Medwecki pracuje dobrze?

— Tak.

— Czy kontaktuje się z kimś podejrzanym?

— Nie, nie wiem. U nas nie ma osób podejrzanych. Nie mam czasu chodzić za każdym. A zresztą nie wiem, o jakiego rodzaju podejrzenia wam chodzi...

— A jaki jest w trakcie rozmów z przedstawicielami firm obcych?

— Nie wiem.

— Dziękuję.

— Proszę.

Odczekał chwilę. Pohamował z trudem zdenerwowanie.

— Słuchajcie, towarzyszu, nie przyszedłem tu na prawienie grzeczności, tylko po konkretne informacje. Kto mógłby ich udzielić?

— Kierownik działu.

— Czy też tak obficie, jak wy?... — zamilkł na moment. — Czy to ktoś zaufany?

— Tak, wiceprzewodniczący związku zawodowego.

— Wezwijcie go, a teraz, jeśli łaska, podajcie szybko jeszcze kilka nazwisk, no, ze dwa, trzy z tego działu.

— Po co?

— Nie wasza sprawa. Nie utrudniajcie mi pracy.

— Żabolicki, starszy inspektor, i Mikulak, zastępca kierownika.

— Dziękuję.

Personalny podniósł słuchawkę.

— Poproszę z wiceprzewodniczącym... Cześć. Słuchajcie, towarzyszu, zejdźcie na parę minut do kadr. Co?... Nie, nie... Ktoś czeka na was... No, nie wiem, ale coś ważnego... Tak... No, to czekamy.

Po minucie wszedł wiceprzewodniczący.

— To jest towarzysz z Urzędu Bezpieczeństwa, chciałby się dowiedzieć...

— Pozwólcie, towarzyszu personalny, że się sam przedstawię — przerwał mu w połowie zdania Kuśmirek. Wymienił swoje nazwisko i funkcję.

— Jestem Walczak, wiceprzewodniczący związku zawo-

dowego — odparł na to przygarbiony mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu. — W czym mogę wam dopomóc, towarzyszu?

— Chodzi o drobiazg. Czy moglibyście powiedzieć kilka słów, na przykład, o obywatelu Żabolickim?

— Czy jest o coś podejrzany?

— Nie.

Walczak odetchnął głęboko, jak gdyby z ulgą.

— Starszy inspektor Żabolicki... no... cóż mogę o nim powiedzieć?... Pracuje dobrze. Jest koleżeński. Politycznie, sądzę, zupełnie pewny. Ostatnio miał pewne kłopoty, będąc razem z Mieczysławem Medweckim we Francji, o czym mi wspominał. Proponowano im udzielenie azylu politycznego. Odmówili. Myślałem, że towarzysz w tej sprawie do nas...

— Być może.

— To już do was dotarło? — Walczak spojrzał z wyrzutem w kierunku personalnego.

— Tak... Przecież Żabolicki i Medwecki meldowali o tym w ambasadzie *attaché* handlowemu, a dalej... to już zrozumiałe... — bluffował na całego wywiadowca Kuśmirek.

Znów spojrzenie Walczaka powędrowało w stronę personalnego, jak gdyby wyrażając przeproszenie.

— Czy to już wszystko, o co chcieliście mnie pytać?

— Nie, przecież nie scharakteryzowaliście mi sylwetki, Me... no, jak mu tam, no tego Medwińskiego — celowo przekręcił nazwisko.

— Medweckiego — poprawił Walczak.

— Tak, tak, przepraszam, jego właśnie miałem na myśli.

— Mieczysław Medwecki — to inna historia. On jest byłym andersowcem. Nie wiem, za co, ale zwolniono go z radia...

— A czy andersowiec to nie człowiek? — przerwał Kuśmirek. — Czy macie mu coś do zarzucenia? Czy od razu musi być wrogiem i źle pracować?

— Nie, pracuje dobrze, nawet, mówiąc szczerze, najlepiej z całego wydziału, ale teraz, po powrocie, jest... jakiś taki dziwny. Z nikim nie rozmawia. Jak gdyby odseparował się od wszystkich. Coś go gryzie...

— Dziękuję, to byłoby już mniej więcej wszystko. Nie muszę chyba dodawać, że rozmowa jest poufna. Do widzenia, towarzysze.

— Do widzenia — odpowiedzieli obaj z ulgą.

— Jeszcze jedno — zatrzymał się w drzwiach. — Podajcie mi dokładną datę powrotu Mieczysława Medweckiego i Żabolickiego do kraju.

— Dwudziesty stycznia 1949 roku.

Wywiadowca Buczyński szedł w stronę Marszałkowskiej. Koło hotelu „Polonia" Medwecka wsiadła do ciężarówki służbowej i odjechała. Inwigilacja skończyła się. Z nosem opuszczonym na kwintę Buczyński ruszył na spotkanie zmiennika. Spotkał go w pobliżu Świętokrzyskiej i przywołał ruchem ręki.

— Klops. Zwijamy interes.

Wrócili do Urzędu Wojewódzkiego.

Wywiadowca Kuśmirek zatrzymał się przy okienku. Tak, to tu Mieczysław Medwecki nadawał list. Poszedł do kierownika działu. Ze sterty listów wyjęto dwa nadane przez Medweckiego. Jeden adresowany był do Anglii, do Birmingham, drugi do Krakowa. Polecił nie wysyłać ich aż do odwołania.

— Jak ci poszło?

— E, do bani! Dzierlatka wsiadła do służbowego wozu i odfrunęła. A tobie?

— Trochę lepiej.

— Opowiedz.

— Zaczekaj. Powiedz mi jeszcze jedno. Do jakiej instytucji należała ciężarówka?

— Do Instytutu Łączności.

Do pokoju wszedł kapitan Brun. Zdali sprawozdanie z dokonanej inwigilacji.

— Więc mówicie, Kuśmirek, że Mieczysław Medwecki był we Francji?

— Tak jest.

— Ciekawe... mhmmm... Sprawdźcie, kto to jest ten inspektor Żabolicki. Listami zajmę się sam. Jesteście wolni. Cześć.

7. — Towarzyszu pułkowniku... — zaczął Brun.

— Co was sprowadza?

— Potrzebuję zezwolenia na przejrzenie korespondencji prywatnej.

— Czy to konieczne?

— Tak. Gość jest podejrzany o szpiegostwo.

— No, to trudno. Dawajcie to pisemko, podpiszę.

Zrobiono odpisy i fotokopie z obydwóch listów. Oryginały wysłano pod wskazanymi adresami. Nadano telefonogram do Krakowa z prośbą o przeprowadzenie szczegółowego wywiadu o Kazimierzu Medweckim zamieszkałym w Krakowie przy ulicy Pawiej 11, mieszkania 8. Sprawę określono jako bardzo pilną.

Listy brzmiały następująco:

Warszawa, 31 stycznia 1949 r.

Kochany Bracie!

Tak jak prosiłeś, przywiozłem Ci te lekarstwa. Bardzo się martwię stanem Twego zdrowia. Chciałbym spędzić z Tobą święta Wielkanocne. Gdybyś poczuł się gorzej, napisz, przyjedziemy do Ciebie. Pobyt we Francji wzbudził we mnie uczucie niesmaku. Nie wiem, komu na tym zależało, ale odgrzebano stare historie i w ten sposób chcieli, bym zerwał z krajem i pozostał u nich. Usiłowali szantażować. Powiedziałem im parę słów do słuchu. Nie mogli pojąć, że dla mnie ważniejsze są inne sprawy, niż najlepiej nawet płatne interesy podejrzanego rodzaju. Dom, dzieci — oto co mi pozostało. Nie chcę nigdy więcej wojny i rozłąki z najbliższymi. Pozdrów znajomych.

Ściskam Cię mocno.

Mietek.

PS. Lekarstwa wysłałem wczoraj ekspresem poleconym.

Mietek.

I drugi:

Warszawa, dnia 31 stycznia 1949 r.

Drogi Ryszardzie!

Pytałeś w poprzednim liście, czy warto wracać do kraju? Odpowiem Ci szczerze: wracaj. U nas jest ciężko, bardzo ciężko, ale nie zapominaj, że jesteśmy przynajmniej u siebie, a w Anglii — nie muszę Cię przekonywać, wiesz, że nie jestem komunistą i że nie mam zamiaru siać propagandy — ale w Anglii jesteś tylko uciążliwym cudzoziemcem, którego chętnie by się pozbyto. No i ten język pełen pułapek, język, o którym Anglicy myślą, że jest jedynym na świecie zrozumiałym językiem, a pozostałe to niewydarzony bełkot. I ta chłodna atmosfera obojętności!

Byłem teraz we Francji. Wróciłem do kraju, mimo że usiłowali mnie zwerbować. Nie, nie potrafię być dwulicowcem. Jedno Ci napiszę: przyjeżdżaj.

Ściskam Cię
Twój przyjaciel Mietek.

PS. „Na białe niedźwiedzie", jak generał Anders mówił, nie wysyłają. Słowo honoru!

Mietek.

Obydwa listy zostały przesłane do działu szyfrów.

Poza tym kapitan Brun wysłał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych pismo w sprawie Mieczysława Medweckiego. Po dwóch dniach nadeszła odpowiedź tej treści:

Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
w Warszawie

dot.: pobytu M. Medweckiego w Paryżu

W odpowiedzi na wasze pismo z dnia 1.2.1949 roku, znak AZ/H/439/49, komunikujemy:

W miesiącu styczniu 1949 roku zgłosił się do attaché handlowego ambasady PRL w Paryżu pracownik „Varimexu" obywatel Mieczysław Medwecki. W czasie rozmowy wspomniał o zaczepieniu go przez współpracowników radia „Głosu Ameryki" i propo-

nowaniu mu współpracy na rzecz obcego wywiadu. Bojąc się prowokacji, prosił o udzielenie mu pomocy w formie zezwolenia na zamieszkanie w gmachu ambasady Po porozumieniu się *attaché* handlowego z ambasadorem wyrażono zgodę na zamieszkanie.

Poza koniecznymi kontaktami z firmami francuskimi innych nie utrzymywał. W czasie miesięcznego pobytu Mieczysław Medwecki dał się poznać jako wartościowy pracownik i dobry obywatel.

Podsekretarz stanu MSZ
(—) dr praw Z. Fijałkowski

— No, i co o tym powiesz, Hubert?

— Lepszego listu pochwalnego nawet kochająca ciotka nie napisałaby o swoim siostrzeńcu A może on jest taki przebiegły i robi z nas wariata na potęgę?

— Nie, na pewno nie. Przecież nie grałby i wobec Brodowicza. Przez tyle lat zdradziłby się czymś chociażby raz.

— Raczej tak... A co było dalej?

8. Piątego lutego w „bunkrze" u Gajewskiego nastąpiło spotkanie Bruna z chorążym Krupińskim

— Opowiadajcie, Krupiński. Jest coś ciekawego?

— Raczej tak... Zresztą posłuchajcie, kapitanie.

Krupiński zapalił papierosa i zaczął opowiadanie:

— Po wprowadzeniu się i rozlokowaniu mebli zapukałem do Medweckich z prośbą o ciepłą wodę, ponieważ maszynka elektryczna nawaliła, a chciałbym się czegoś ciepłego napić. W kilka godzin później znów zapukałem. Bardzo przepraszając, że przeszkadzam, poprosiłem o pożyczenie „Expressu", no bo na taką ślizgawicę do stacji wieczorem boję się iść, by gdzieś po drodze się nie przewrócić. Zostałem mile przyjęty. Gospodyni stwierdziła nawet, że jako samotnemu musi mi się nudzić, więc mogę u nich spędzać wieczory Podziękowałem za gościnność. Od dziewiętnastej obserwowałem wejście na ganek, lecz nikt obcy nie przyszedł. Następnego dnia zająłem punkt

obserwacyjny przy oknie. Widziałem, jak Mieczysław Medwecki z córką spieszyli do pracy. Około jedenastej przyszedł listonosz. Wieczorem Medwecki przyniósł mi gazetę. Zatrzymałem go u siebie. Z rozrzewnieniem wspominałem front zachodni i moje loty na myśliwcu. Następnie przeszliśmy na temat wybryków chuligańskich, które rozpowszechniają się w całej Polsce. W końcu powiedziałem: „Jaka szkoda, że człowiek sam mieszka i nikogo nie zna. Tak by się pograło w brydża, a tu nie ma z kim". Rybka chwyciła — Medwecki zaprosił mnie na trzydziestego pierwszego stycznia na brydża do adwokata Sokolnikowskiego, zaznaczając przy tym, że wysoko nie grają. Miałem zastąpić żonę Medweckiego, która po urodzeniu dziecka nie zawsze mogła dotrzymać towarzystwa brydżystom. Oczywiście przyjąłem propozycję. Medwecki dopytywał się, odkąd kuleję. Opowiedziałem wzruszającą bajeczkę (według instrukcji) o postrzale w nogę podczas nocnego nalotu na Hamburg.

Wieczorem, troskliwie podtrzymywany pod ramię przez Mieczysława Medweckiego, udałem się na brydża do mecenasą Sokolnikowskiego. Co prawda, karta mi wcale nie szła, ale przecież nie o brydż mi chodziło.

Teraz scharakteryzuję sylwetkę mecenasa Kazimierza Sokolnikowskiego. Jest opanowany, zdecydowany na wszystko, nie idący na kompromis. Wnioski, oczywiście, na razie tylko na podstawie rozgrywek brydżowych. Ale wiecie, kapitanie, studiowałem psychologię, nie, nie na uniwerku, ot, tak sobie, w domu, no i — w życiu. Możecie być pewni, że znam się coś niecoś na ludziach. A przy brydżu szczególnie zapamiętali gracze często zdradzają nieświadomie właściwe cechy swego charakteru. No, wróćmy jednak do mecenasa. Jako przykład podam drobiazg: w pewnym momencie jego żona źle wyszła, mówiąc szczerze — było to trudne wyjście, nawet niezły gracz by ten błąd zrobił. Zwrócił jej ostro uwagę. Głos miał szorstki, nieprzyjemny, jak gdyby wydawał rozkaz. To było niemal chamstwo, lecz za chwilę był znowu słodki i uprzejmy. Przez moment ujawnił się w nim rozwrzeszczany oficer. Tak, tak, nie przesadzam. Wkrótce po tym incydencie skończył się któryś tam z rzędu rober, bodaj siódmy. Godzina była późna, więc zaczęliśmy się zbierać do odejścia. Sokolnikowski zaprosił nas na drugiego lute-

go. Rankiem pierwszego lutego wyszedłem z Medweckim i jego córką w kierunku stacji. Byli zdziwieni, że zrywam się tak wcześnie. „Ładna pogoda, to i przyjemnie się przejść, a zresztą jakbym wyszedł później, to nie dostałbym «Przekroju»" — odparłem. Przyznali rację. A że mieli jeszcze dziesięć minut do odjazdu pociągu, więc szliśmy powoli. Rozmawialiśmy o tym, jak to Warszawa się odbudowuje. Bardzo ostrożnie zapytałem: „A gdzie pani pracuje?" Spojrzała na mnie ślicznymi, ciemnymi oczami: „W Instytucie Łączności jako maszynistka, a ponadto uczę się stenografii, może się przyda". Pochwaliłem jej chęć do nauki i powiedziałem: „Z pani to jeszcze ludzie wyrosną", mrugając jednocześnie do Medweckiego. Ten zachmurzył się wyraźnie. „Przepraszam pana, jeżeli czymś obraziłem, ale proszę zrozumieć, mam już taki sposób mówienia" — dodałem.

Doszliśmy do kiosku, przy którym się zatrzymałem. Obserwowałem otoczenie spod oka. Koło stacji Medweckich zaczepił młody chłopak, który szedł przed nami od dłuższego czasu. Mógł mieć około dwudziestu paru lat. Była zbyt duża odległość, bym mógł cokolwiek usłyszeć, a podejść nie mogłem. Po co budzić niepotrzebne podejrzenia? Widziałem tylko oburzoną, czerwoną ze zdenerwowania twarz Medweckiego. W tym momencie wjechał na stację pociąg z Otwocka. Wsiedli we trójkę. Wróciłem do domu. Około dwunastej wyruszyłem na spacer. Po drodze zawadziłem o willę mecenasa Sokolnikowskiego. Coś mnie ciągnęło do niej. W połowie drogi wyminął mnie błękitny chrysler, znak rejestracyjny Z 75-341. Zatrzymał się przed willą.

Z samochodu wysiadł mężczyzna może pięćdziesięcioletni, bardzo wytworny. Sprężystym krokiem przeszedł dzielącą go odległość od willi. Gdy zniknął za drzwiami, podszedłem do samochodu. Na tylnym siedzeniu leżała porzucona fajka „Breyer" z mocno nadpalonym z lewej strony cybuchem. Kiedy odszedłem parę kroków, nagle zastąpił mi drogę jakiś pryszczaty młodzian.

— Nie wie obywatel, że nie wolno rozmawiać z przedstawicielami obcych mocarstw? — powiedział.

— Przecież nie rozmawiałem — odparłem.

To go doprowadziło do pasji i zaczęły się długie koro-

wody. Koniec końców przedstawił mi legitymację służbową i zaprowadził na komisariat.

Udało mi się w końcu od niego uwolnić, kiedy zagroziłem, że zadzwonię do Ministerstwa.

Krupiński zaciągnął się papierosem. Przez kilka minut milczeli. Potem chorąży podjął dalszy ciąg sprawozdania.

— Wieczorem zostałem zaproszony do mieszkania Medweckich. Przyniosłem paczkę angielskiej herbaty, prosząc gospodynię, by raczyła przyjąć ten skromny prezent. Rozmowa przeciągnęła się do późna wieczór. Drugiego lutego stwierdziłem, że ktoś dobierał się do mego mieszkania. Na szczęście, wprowadzając się, zmieniłem zamki na dość solidne, własnego zresztą pomysłu, tak że nikt nie mógł zbyt łatwo dostać się do środka. Zastanawiałem się, czyja to mogła być sprawka: Medweckiego czy też pryszczatego. To, zdaje się, referent Zając z Otwocka, jakby wynikało z jego legitymacji służbowej. Wieczorem zgodnie z umową poszedłem z Medweckim na brydża. Znów mi karta nie szła. W ostatnim robrze miałem grać z gospodarzem przeciwko Medweckiemu i mecenasowej. Partię zrobiliśmy z dużymi oporami, a to dzięki memu „roztargnieniu". Opowiadałem zebranym o dzisiejszym usiłowaniu włamania, obserwując Medweckiego. Oburzył się. To oburzenie wyglądało zdecydowanie na szczere. Rozmawialiśmy parę minut na temat szerzących się przestępstw, chuligaństwa, bandytyzmu, złodziejstwa itp. Celowo podkreślałem, że wszystko to na ogół spowodowane jest ciężkimi warunkami ekonomicznymi. Mieczysław Medwecki zaprzeczał z pewnym nawet zapałem, powiedziałbym z entuzjazmem. Główny nacisk kładł na tak zwane „pokłosie wojenne", na niewłaściwe wychowanie młodzieży przez lata wojny — i w pierwszych latach wolności. Po partii, dzięki mojej nieuwadze (rozumiecie, myślałem o czymś innym), musieliśmy rozgrywać proste karo, robiąc pięć nadróbek. Mecenas mało co nie zabił mnie wzrokiem. Cóż, nie miał takich zdolności. Westchnął tylko: „Taka karta, cholera!"

Następne rozdanie: fantastyczna karta. Rozpocząłem od dwóch kier. Nieuważnie śledziłem licytację. Przez cały czas zastanawiałem się, gdzie ja już widziałem tę fajkę leżącą bezużytecznie na biurku. Niedawno przecież... Sta-

rałem się skupić na licytacji. Niby w natchnieniu powiedziałem: „Szlemik w kiery". Jak przez mgłę usłyszałem „contra". Już wiem! Skojarzenie przyszło błyskawicznie.

„Re!" — odpowiedziałem uśmiechając się do swoich myśli.

Zaatakował Medwecki. Po mojej recontrze mecenas mało nie zemdlał, ale cóż, słowo się rzekło. Rozgrywałem jak w transie.

„No, to było pięknie rozegrane. Muszę panu pogratulować, majorze, myślałem, że się pan położy co najmniej bez jednej. Ja sam bym za nic w świecie tego nie rozegrał. Fantastyczne!" — Sokolnikowski był zdumiony, ale promieniał zadowoleniem.

Rozegraliśmy jeszcze „kozaczka". Znów wygrałem. Umówiliśmy się na szóstego lutego, to jest na jutro. Medwecki odprowadził mnie do domu.

Trzeciego i czwartego przez cały czas jak cień włóczył się za mną pryszczaty referent. Dziś, kiedy jechałem na spotkanie z wami, kapitanie, ciągnął się za mną aż do Warszawy. Na Dworcu Wschodnim próbowałem go zgubić, więc przeskoczyłem do elektrycznego, który nadjechał z Wołomina i leciał do Pruszkowa. W ostatniej chwili Zając wskoczył do ruszającego pociągu. Na Dworcu Śródmieście myślałem już, że go posieję w tłoku. Kiedy wyszedłem na górę, stał przy wejściu. Szczerze mówiąc, nie sprawiał wrażenia, że potrafi być taki szybki. Złapałem taksówkę. Obejrzałem się. Mój prześladowca jechał w odległości stu metrów drugą taksówką. Rzuciłem szoferowi dwieście złotych. Kiedy wchodziłem do bramy, pryszczaty odbierał resztę. Przeszedłem przez przechodniak i bramę koło ambasady włoskiej na Jasnej. Złapałem drugą taksówkę i w ten sposób jestem z wami. Na pewno biedak jeszcze sterczy i czeka, aż wyjdę.

Brunowi spodobało się żywe, dokładne sprawozdanie chorążego. Mimo „dygresji brydżowych" — było ciekawe i pełne. W rzeczywistości jednak nie wnosiło wiele do sprawy. No, tak, fajka Sokolnikowskiego w tym wozie... I nazwisko „Sokolnikowski". Zetknął się już z nim kiedyś... Nie, tamten był Sokalski *vel* Szokalnicki... Cóż jednak poza tym?... Ważne było tu przede wszystkim wrośnięcie Krupińskiego w środowisko. Ale czy to rzeczywiście przyniesie z czasem wyniki?

Brun wspominał ostatnio coraz częściej nie rozwiązaną właściwie dotąd sprawę zakończoną postrzeleniem Grena, sprawę „Trzech białych goździków". Kto dzwonił wtedy do Teresy Gren, podając się za pułkownika Kowalskiego?... Kto wykończył zbytecznego już widać szpiega, udającego cmentarnego dziadka?... Kto zamordował pielęgniarkę Barbarę Nowakowską?... Komu zależało, by Gren poszedł na emeryturę lub co najmniej wypadł na rok z obiegu?... Jak daleko sięgały macki siatki, której jednym z ogniw był niegdyś „Rudy"?... Myślał o tym, ponieważ od tamtych dni sprawy nie rozwiązane lub rozwiązane tylko połowicznie mnożyły się zastraszająco.

Stąd płynęło i jego zniechęcenie, i radość, że ma tym razem zdolnego, zręcznego współpracownika.

Dopili wystygłą kawę. Kapitan Brun nakreślił dalsze wytyczne.

— Postarajcie się, kolego Krupiński, pobrać od mecenasa Sokolnikowskiego odciski palców i przynieście je przy następnym spotkaniu. Widzicie, jego nazwisko kojarzy mi się z innym, bardzo podobnym. To stara sprawa, sprzed roku...

Rozstali się, wyznaczając następne spotkanie na dziewiątego lutego.

Później Brun, ot tak, przez ciekawość, udał się na Mazowiecką. Z pobliskiej księgarni zauważył przez szybę kręcącego się z niecierpliwością pryszczatego referenta. Wyszedł. Niby przypadkiem zawadził go łokciem.

— Przepraszam — powiedział uchylając kapelusza.

Pryszczaty, uradowany, złapał go za rękaw jesionki. Był zmarznięty, aż siny.

Brunowi żal się zrobiło chłopaka. Na taki mróz stał trzy godziny. Miał przecież jak najlepsze chęci.

— Chodźcie do bramy, to się zastanowimy, co dalej robić. Brun przeprowadził pryszczatego na Jasną. Ten osłupiał.

— No, ja mu pokażę, łobuzowi! Ale ze mnie dureń!

— Spokojnie, przyjacielu, tylko bez samokrytyki, tu nie zebranie. Przepraszam was za pytanie trochę niedyskretne. Jak długo pracujecie w aparacie bezpieczeństwa?

— Pół roku.
— No tak, jak popracujecie jeszcze trzy i pół, to nie dacie się tak łatwo wykiwać.

9. Pułkownik Kowalski wezwał Bruna do gabinetu.
— Tu jest odpowiedź z Krakowa — podał telefonogram.

Ściśle tajne

Kraków, 5.2 1949 r.

Do
Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego
w Warszawie

dot.: Kazimierza Medweckiego

W odpowiedzi na wasz telefonogram z dnia 1.2 br. komunikuję:

Kazimierz Medwecki, syn Teodora i Wiktorii z domu Żarneckiej, urodzony 11 lipca 1878 roku w Warszawie, wykształcenie wyższe, zamieszkuje od 1944 roku w Krakowie przy ulicy Pawiej 11, mieszkania 8. Wyżej wymieniony otrzymuje rentę starczą, z której się utrzymuje. Poza tym pomaga mu rodzina, przysyłając pieniądze i żywność. Medwecki przed 1939 rokiem był w wojsku w stopniu pułkownika. Pomimo podeszłego wieku, w czasie okupacji brał czynny udział w organizacjach podziemnych. Współpracował z AL. Na terenie Krakowa nie kontaktuje się z nikim podejrzanym. Wśród sąsiadów cieszy się opinią mądrego, szlachetnego, uczynnego. Uchodzi za człowieka głęboko ideowego, o nastawieniu komunistycznym, chociaż jest bezpartyjny. Ostatnio często przebywa w domu ze względu na zły stan zdrowia (chore serce po zawale i przewlekły reumatyzm). Przed chorobą pracował społecznie w komitecie blokowym. Był kuratorem w sądzie dla nieletnich.

Szef WUBP w Krakowie
(—) Z. Kostrzewski, płk

— Dziękuję, towarzyszu szefie, lepiej podmuchać na zimne niż się sparzyć na gorącym.

— Macie rację.

Pułkownik Kowalski uniósł się z krzesła, ale kapitana Bruna nie było już w pokoju.

Tadek biegł po schodach i myślał:

„Ten trop prowadzi do nikąd, trzeba jednak zobaczyć w dziale szyfrów. Może mają coś interesującego?..."

— Czy już wam coś wyszło?

— Nie, nic nie wychodzi. Jakaś cholerna plątanina. A może to wcale nie jest szyfr?... Wpadnij siódmego.

Brun już chciał wyjść, ale zatrzymał się w drzwiach.

— Słuchajcie! Mam myśl.

— Jaką?

— Zostawcie te listy. Nie ma tam żadnego szyfru.

Gren ruchem ręki przywołał kelnerkę.

— Powtórka, królowo.

— Co proszę?

— Jeszcze raz „Rizling", tylko piorunem, bo się pali.

Z obrażoną miną podała butelkę.

— Co dalej? — Gren pochylił się nad stolikiem, wpatrując się w pobladłą, wymizerowaną twarz przyjaciela.

— Poczekaj.

Tadek nalał wino do kieliszków. Przez chwilę delektował się jego smakiem. Wreszcie zapalił papierosa i dalej ciągnął opowiadanie.

## 10.

Gdy szóstego lutego o dziewiątej rano Tadek Brun wszedł do pokoju szefa Powiatowego Urzędu w Otwocku, pryszczaty referował właśnie swoje „osiągnięcia".

Stwierdził, że na teren powiatu przedarł się szpieg pod postacią majora lotnictwa w stanie spoczynku, Krupińskiego. Następnie oznajmił, że próbował dokonać tajnej rewizji, lecz nie udało mu się, bo żaden wytrych nie pasował do zamka.

Brun zganił go, tłumiąc śmiech, i wytłumaczył cierpliwie, że jest to niedozwolone.

— Przypuśćmy, że nawet udałoby się wam dostać do środka, a w pewnym momencie wszedłby major i zrobił alarm, że złodzieje lub bandyci zrobili napad na mieszkanie?... Sprowadzono by milicję, wylegitymowano was — i co się okazuje? Funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa chciał popełnić kradzież... Jak byście udowodnili, że przyszliście tylko w celu złożenia kurtuazyjnej wizyty? A jeszcze mielibyście przy sobie komplet wytrychów. Major mógłby was zaskarżyć do sądu, ale to jeszcze nic. Wyobraźcie sobie, jak by wyżywał się „Głos Ameryki" i inne szczekaczki! A prasa zachodnia? Zapamiętajcie sobie, że jak idziecie robić rewizję, to trzeba mieć zezwolenie od prokuratora lub kierownika placówki, w której pracujecie, i w razie nieobecności właściciela mieszkania co najmniej dwóch świadków.

Pryszczaty zaczerwienił się jak piwonia. Zaczął opowiadać po cichu, jak zgubił w Warszawie majora Krupińskiego i jak mu Brun dopomógł.

— Sądzę, że należałoby „zaopiekować się" mecenasem Sokolnikowskim — zabrał głos Brun, gdy Zając skończył swoją relację. — Chodzi mi o obserwację jak najbardziej dyskretną...

Jeszcze jedno... Czy karty, wysłane do sprawdzenia w rejestrze, nadeszły już z Ministerstwa, a jeżeli nie, to czy wysłany został monit?

— Nie.. I monitu też nie wysyłaliśmy.

— Dobra, wyślę monit do Ministerstwa, by szybciej sprawdzili nasze karty. Kartoteka otwocka nie ma przecież pełnych danych — a Kazimierz Sokolnikowski jest tu czysty jak łza.

Porucznik Zabiełło zagłębił się w papierach, a Brun zadzwonił do komendanta Powiatowego MO z prośbą, by przybył do Powiatowego Urzędu.

Zapoznał go częściowo z posiadanym materiałem. Poprosił o pomoc, o paru ludzi do akcji. Po długich targach wywalczył dwóch milicjantów. Umowa przewidywała, że gdy będą potrzebni, komendant posterunku w Radości zostanie bezpośrednio powiadomiony.

Siódmego lutego przyszła odpowiedź z Ministerstwa.

Ściśle tajne

Warszawa, 6.2.1949 r.

Do
Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego
w Warszawie
Wydział „H"

dot.:

Kazimierza Sokolnikowskiego
*vel* Kazimierza Szokalnickiego
*vel* Włodzimierza Sokalskiego

W odpowiedzi na Wasze pismo z dnia 29.1.1949 roku, znak AZ/H/423/4a, komunikuję:

Kazimierz Sokolnikowski *vel* Kazimierz Szokalnicki, *vel* Włodzimierz Sokalski urodzony 24.4.1897 roku we Lwowie, syn Wojciecha i Katarzyny z domu Szokalnickiej, zamieszkały w Radości koło Warszawy przy ulicy Źródlanej 6, doktor praw, kapitan rezerwy, odznaczony został: Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, medalem za obronę Lwowa, za obronę Warszawy, za wyprawę kijowską i wieloma innymi drobniejszymi odznaczeniami. Od 1924 do 1929 roku był kierownikiem Oddziału II przy Dowództwie Okręgu Pomorskiego, w czasie okupacji — szefem kontrwywiadu ZWZ, następnie AK, a później NSZ. Zwalczał zawzięcie komunistów z terenu Poznania i województwa bydgoskiego. Aresztowany przez Gestapo w lutym 1943 roku, wydostał się na wolność w czerwcu 1943. Dowiódł w podziemiu, że uciekł z transportu idącego do obozu. Otrzymał stanowisko kierownika komórki wywiadowczej NSZ na terenie Krakowa. W 1944 roku został mianowany szefem wywiadu przy Brygadzie Świętokrzyskiej, tzw. „Brygadzie Bohuna". Tam też skontaktował się z oficerem wywiadu CIC. Po wyzwoleniu Kielecczyzny w 1945 roku w styczniu zorganizował grupy dywersyjne na tyłach armii, a sam zgłosił się do tworzącej się II Armii Wojska Polskiego i walczył w stopniu kapitana. Zaocznie skazany wyrokiem Sądu Wojskowego na karę śmierci. Poszu-

kiwany jako Kazimierz Szokalnicki „Gazetką Poszukiwań" z dnia 4 sierpnia 1945 roku, nr 46.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
Centralna Kartoteka Przestępczości
(—) H. Domański, ppłk
w/z Z. Wisławski, mjr

„Tak, to ciekawy gość — pomyślał Brun — ale że nikt od nas dotąd się nim nie zainteresował? Czy to możliwe, że siedział sobie spokojnie w Radości?" Zastanawiał się nad dawnymi podejrzeniami Grena. Zaczął przypominać sobie, kto w aparacie bezpieczeństwa miałby możność tuszować dotąd sprawki Sokolnikowskiego i — prawdopodobnie — innych... Kto „wypłynął" po sprawie „Trzech białych goździków"?... Bo przecież od tamtej właśnie pory rośnie liczba spraw rozwiązywanych połowicznie... Czy i mecenas Sokolnikowski nie był powiązany z „Trzema białymi goździkami"?... Czy chorąży da sobie radę z takim pasztetem? Nie spodziewał się przecież, by aż taka ryba wpadła w sieci. Teraz należało czekać i zbierać tę sieć tak, by się z niej nikt nie wymknął.

Tadek pojechał do Warszawy. Zameldował się u naczelnika wydziału „H". Przedstawił sytuację.

## 11.

W mieszkaniu agenta WIS-37 odezwał się telefon. WIS-37 spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina trzynasta. Co to jest?... Przecież nikt z interesantów nie miał zwyczaju dzwonić o tej porze. Z zaciekawieniem i pewnym niepokojem podniósł słuchawkę.

— Słucham.

— Dzień dobry — usłyszał głos pułkownika. — Przypominam panu o dzisiejszym spotkaniu. Dziś jest szósty lutego. Proszę być tam, gdzie zawsze, godzina osiemnasta.

— Tak jest, będę, oczywiście.

— Dziękuję. Do zobaczenia.

Kapitan odłożył słuchawkę.

„Bodajby cię jasna cholera wzięła, ty draniu! Nie miałbym nic przeciwko temu, byś wykitował przed osiemnastą!"

Na pozostałą część dnia popsuł się kapitanowi humor. W czasie obiadu pokłócił się z żoną, nawymyślał pokojówce, że źle podała do stołu. Dostało się i kucharce za przesolony sos pieczarkowy. Przed czwartą kapitan wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

Brakowało jeszcze dwie minuty do godziny osiemnastej, gdy agent WIS-37 stał już przed willą, gdzie rezydował pułkownik. Spojrzał w okno. Story były zasunięte i nie przepuszczały światła. Nagle uchyliły się trochę, zarys czyjejś głowy ukazał się na tle szyb. Więc jednak ktoś był w pokoju, czekał. Wbiegł po schodkach. Nacisnął dzwonek. Zawsze zastanawiał się, jak to się dzieje, że nigdy nie słychać jego dźwięku, a jednak zawsze drzwi otwierają się prawie od razu i staje w nich pułkownik we własnej osobie.

— Dzień dobry, kapitanie. Bardzo się cieszę, że znów pana widzę w pełni zdrowia. Doprawdy, jestem bardzo wzruszony pańską punktualnością. Można śmiało według pana przyjścia regulować zegarek. Proszę, niech pan wejdzie i rozbierze się. Czy na dworze jest zimno?

Kapitan WIS-37 z trudem oparł się chęci skręcenia pułkownikowi karku. Niezwykła uprzejmość szefa była co najmniej niepokojąca.

— Prawdopodobnie pukaweczki pan z sobą nie zabrał?

— Nie. I bardzo żałuję!

— Nie ma pan czego żałować. Nie znoszę organicznie zapachu palonego prochu.

W pokoju panował półmrok rozświetlony blado lampą stojącą na biurku. Półcienie rozpościerające się w kątach wyprowadzały zawsze kapitana z równowagi. Drażniły go.

— Przepraszam, pułkowniku, zanim przystąpię do rozmowy, czy może pan zmienić oświetlenie?

— Nie, górne razi mnie w oczy.

— Przepraszam.

— Proszę.

Przez chwilę panowała cisza.

— Może przystąpimy do *meritum* sprawy. Co pan przyniósł? Proszę podać sprawozdanie.

— Panie pułkowniku — kapitan WIS-37 zaczął trochę

niepewnie. — Na moim terenie pojawił się były major lotnictwa brytyjskiego RAF. Czy mam go zwerbować do pracy?

— Proszę o dane.

— Leonard Krupiński, lat 54, zamieszkuje w Radości, ulica Kwiatowa 6, mieszkania 4.

— Z werbunkiem trzeba zaczekać, musimy sprawdzić. Czternastego dam wam odpowiedź. Rozumie pan, kapitanie, że to trochę potrwa.

— Tak jest, rozumiem.

— A co z tym sprawozdaniem?

Agent WIS-37 wyjął z kieszeni nie napoczętą paczkę „Poznańskich". Rozdzierał systematycznie papieros po papierosie. Razem z tytoniem wysypywały się zwitki zapisanej bibuły.

Widzę, że nawet ciekawie przechowuje pan materiały; oby tylko one same były równie ciekawe.

WIS-37 podał pułkownikowi pięć zwitków bibułki, zapisanej gęstym pismem maszynowym. Pułkownik przejrzał pobieżnie otrzymany materiał.

— Kapitanie, to są kpiny, a nie materiał wywiadowczy! To, co pan mi daje, pół roku temu ogłoszone zostało w „Głosie Ameryki", a mniej więcej rok temu w naszej prasie. Kapitanie, to nie licuje z powagą zajmowanego przez pana stanowiska. Będę zmuszony powiadomić centralę o pańskiej niesubordynacji i wystąpić z wnioskiem degradacji do stopnia szeregowego. Już ja się postaram, by pan zakończył karierę wywiadowczą!

Twarz pułkownika w miarę mówienia purpurowiała, oczy ciemniały, rzucając niebezpieczne błyski.

— Proszę wstać! Kto pana nauczył siedzieć, kiedy mówi przełożony!

Kapitan WIS-37 poderwał się na baczność.

— Rozkazuję panu zastosować tygodniowy areszt domowy jako karę za niesubordynację. Radzę nie wyłamywać się spod tego rozkazu i nie wychodzić z domu. O każdym pana posunięciu będę wiedział. To wszystko. Może pan już odejść.

— Tak jest.

— Zaraz — chwila milczenia. — Niech pan jeszcze trochę poczeka.

— Słucham.

— Na dowód, że wiem o panu wszystko, wspomnę o jednym drobiazgu.

— Słucham...

— W dniu pierwszego lutego o godzinie dwunastej był u pana oficer z CIC. Wiem, że dużo wcześniej nawiązał pan kontakt poza moimi plecami. Igra pan z niebezpieczeństwem. Tak... A teraz niech pan już idzie.

Za kapitanem WIS-37 zamknęły się drzwi. Szedł powoli ulicą, postarzały raptem, zgarbiony, jak gdyby rzucono mu na barki jeszcze z dziesięć lat.

„A to szuja, wszystko wie. Wszystko!..."

„Tak, agent WIS-37 jest skończony. Trzeba będzie zrobić z niego prezent bezpiece..."

Podszedł do biurka. Przez chwilę stał nad nim, jak gdyby się nad czymś jeszcze zastanawiał.

„Ten major lotnictwa RAF z Radości, Krupiński... Zaraz, zaraz... Ależ tak, czy to nie chorąży Krupiński z wydziału «C», jeden ze zdolniejszych wywiadowców?..."

Sięgnął po słuchawkę.

„Cholera jasna, czyżbym przez tego durnia kapitana musiał zmienić lokal? Nie, nie widziałem nikogo, kto by się za nim ciągnął... A on nawet nie wie, że miecz wisi nad jego głową... że to koniec jego kariery. Półgłówek z wyższym wykształceniem... A to byłoby nawet zabawne: werbować pracownika kontrwywiadu, zajmującego się rozpracowywaniem kapitana WIS-37, do pracy szpiegowskiej! Nie, to nie do pomyślenia, by taki stary wyga dał się nabrać niczym początkujący szczeniak. Krupiński — majorem RAF! Też dobry kawał! A może się mylę? Nazwisko dość rozpowszechnione... Może ostrzec kapitana? Ale po co?... Wyciągać tego mądralę, który myśli, że uda mu się pracować za moimi plecami na dwa fronty!"

Spojrzał na zegarek. Minęło już trochę czasu od wyjścia kapitana. Nakręcił numer.

„Dam mu szansę, niech wieje".

Ktoś podniósł słuchawkę.

— Halo, halo...

Pułkownik WIS-01 nie odpowiedział. Czekał, co jeszcze powie druga strona.

— Co to za głupie żarty? Ja sobie wypraszam, żeby jakiś dureń się wygłupiał i zabierał mój drogocenny czas!

WIS-01 położył słuchawkę i zapalił papierosa.

„A jednak z przewożeniem bibuły w papierosach to dobry pomysł..."

Ranek siódmego lutego jakoś nie wpłynął na poprawę humoru kapitana. Sam widok zajętej łazienki wprowadził go we wściekłość. Szarpnął za klamkę.

— Czy długo masz zamiar tam sterczeć?

Przez drzwi dochodziło go nucenie żony i szum prysznicu.

— Cóż to pieseczek taki niecierpliwy? Poczekaj, jeszcze tylko zimny prysznic i zaraz wychodzę.

— Chyba nie spałaś z kominiarzem, że się tak szorujesz?

— O, pieseczek zły! Czy wątróbeczka dolega pieseczkowi, co?...

— Bodajby cię cholera! — warknął pod nosem.

— Co mówisz, nic nie słyszę?! — dobiegło do kapitana poprzez szum wody. — Już wychodzę.

Po chwili wyjrzała przez drzwi, odziana w powiewny szlafroczek.

— Pocałuj swoją kulkę na dzień dobry...

Musnął ją przelotnie ustami.

— O, paskudny! To tak się wita żonusię?

Z dużym wysiłkiem powstrzymał się, by nie zakląć.

Przy śniadaniu wylał na czysty obrus śmietankę.

— Co ci, pieseczku?

— Nic i daj mi nareszcie spokój. „Pieseczku" i „pieseczku", jak byś już innych słów nie znała.

Kapitanowa milczała już do końca śniadania.

— Co to? Mowę ci odjęło?

— Jesteś dziś nieznośny.

— Tylko nie wychodź. Po śniadaniu przyjdź do gabinetu, mam ci coś do zakomunikowania.

— Dobrze.

— Nareszcie się najadłaś!

— Co się stało, że od rana jesteś nie do wytrzymania?

— Źródło wyschło.

— Które?...
— Pułkownik.
— Wyrażaj się jaśniej.
— Wczoraj zmieszał mnie z błotem jak uczniaka za to, że nie dostarczam materiału.
— To nie mogłeś mu dać tego, co masz przygotowane dla George'a?
— Nie, nie mogę, bo obydwa źródła by wyschły. Przecież oni w centrali sprawdzają. Czy ty rozumiesz, co to by było, gdyby zdublowane materiały tam dotarły?...
— Nie moja rzecz.
— „Nie moja rzecz" — to tylko potrafisz powiedzieć. Zobaczymy, co powiesz, jak nie dam na fatałaszki?
— To nic nie dostaniesz ode mnie...
— No dobrze, dobrze. Jakoś człowiek zarobi, żeby starczyło na życie. Czy masz coś nowego?
— Tak, poznałam majora z lotnictwa.
— Co on może dać?
— Na razie ja mu mam zamiar dać.
— A jakie ma dotarcie? — WIS-37 nie zwrócił uwagi na odpowiedź żony.
— Jakoś udało mi się z niego wyciągnąć, że jest fiszą w sztabie, w Dowództwie Wojsk Lotniczych.
— Ty to zawsze masz szczęście!
— No cóż, ma się tę urodę.
— Spróbuj wydusić od niego jak najwięcej.
— Postaram się. Nie będziesz zazdrosny, gdy dziś nie wrócę na noc?
— Nie zawracaj głowy drobiazgami! Mam większe kłopoty. Przynieś tylko materiał. Jeszcze jeden skok i zmieniamy teren. Tu zaczyna cuchnąć.
— Dobrze! Pa, kochanie! — Przybliżyła usta, by ją pocałował.
— Idź już. Jestem zmęczony — musnął ją lekko wargami. — Idź.

## 12.

Major Zbigniew Sosnowski spieszył do Dowództwa Wojsk Lotniczych. Od kilku dni czuł, że zaczyna się wokół niego dziać coś niejasnego. Kobieta poznana w „Kopciuszku" mimo swej trzpiotowatości była zbyt wścibska. Nawet

żałował, że tego dnia przyszedł w mundurze do kawiarni, ale kto by przypuszczał, że zawrze znajomość z kobietą. Być może, gdyby przyszedł po cywilnemu, nie zwróciłaby nań uwagi. Zbyt mocno jej zależało na następnym spotkaniu. Tak prowadziła rozmowę, że umówił się z nią niemal machinalnie. Spotkania ponawiały się potem w krótkich odstępach czasu. Kiedyś w trakcie rozmowy rzuciła pytanie, gdzie pracuje... Sposób jej dopytywania się o różne sprawy osobiste był niemal natrętny, drobiazgowy, jakoś niezupełnie wynikający ze zwykłego zainteresowania kobiety mężczyzną. A może on sam jest po prostu przewrażliwiony; niepotrzebnie doszukuje się czegoś tajemniczego. Może to tylko przypadek, że gdy na parę minut zostawił ją samą przy stoliku, po powrocie spostrzegł, że teczka jego zmieniła położenie? Nic w niej zresztą ważnego nie było, ale jako oficer kontrwywiadu wojskowego wiedział dobrze, że trzeba zwracać uwagę na takie drobiazgi. Teraz więc postanowił zastawić coś w rodzaju pułapki. Albo przygodna znajoma jest po prostu wścibska, albo...

Z energią zabrał się do przygotowywania fikcyjnego planu zabezpieczenia lotnisk. Sporządzone papiery nieznacznie posklejał rożkami. Ułożył je pieczołowicie na biurku.

Kawiarnia „Kopciuszek" siódmego lutego, jak zwykle o tej porze, była przepełniona. Dochodziła godzina osiemnasta. Kapitanowa nerwowo zerkała na złotą „Doxę". Major miał być o siedemnastej. Co się stało? Spojrzała w stronę drzwi. Koło szatni kręciło się kilka osób czekających na wolne stoliki. Nie, majora tam nie było. Łysiejący pianista w okularach męczył na fortepianie „Herbatkę we dwoje". W pewnym momencie fortepian wydał kilka fałszywych dźwięków i popłynęła nad zgiełkiem melodia „Błękitnej rapsodii".

— Przepraszam, czy mogę się przysiąść? — zapytał elegancko ubrany mężczyzna.

— Zajęte — odburknęła opryskliwie kapitanowa, nie podnosząc głowy znad filiżanki.

— Dobry wieczór, pani Mariolo, już pani nie poznaje znajomych?

— O, to pan Zbyszek. Nie poznałam pana po cywilnemu.

Uśmiechnęła się promiennie.

— Niech pan siada.

— Przepraszam bardzo, że się spóźniłem, ale pani rozumie — p r a c a.

— No, już wybaczam. Rozumiem. A jaka będzie rekompensata za opóźnienie?

— Jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, to może pójdziemy do „Bristolu"? Zgoda?

— Akceptuję.

— Wiesz, Zbyszek, jestem bardzo śpiąca.

Rzuciła wzrokiem na przegub ręki.

— Ojej, to już wpół do dwunastej! Co ja teraz zrobię?

— Co się stało?

— Ostatni pociąg do Otwocka uciekł. Gdzie będę spała?

— Nie przejmuj się, moja droga. Jeżeli... hm... jeżeli nie sprawi ci przykrości, to... — zawiesił na chwilę głos — zapraszam cię do siebie.

— Jesteś cudowny, kochany.

„Ojej, to już niedobrze" — pomyślał.

— Dam ci swoją piżamę.

— A ty, biedaku, gdzie będziesz spał?

— Mam wygodną wannę.

— Nie, Mariola nie pozwoli, tam będzie ci niewygodnie. Chyba mi krzywdy nie zrobisz?

— Nie, będę spał spokojnie.

— To chodźmy. Zasypiam na stojąco.

— Posiedź tu trochę, idę do łazienki.

Wrócił jeszcze od progu, „dyskretnie" rzucił gazetę na biurko.

Kapitanowa została sama. Szybko podeszła do biurka. Spod gazety wystawała tekturowa niebieska teczka. Wyciągnęła ją. Na okładce widniał stempel: „Ściśle tajne", pod spodem napis: „Plan zabezpieczenia lotnisk". Pośpiesznie wyjęła z torebki aparat fotograficzny, wyglądem zbliżony zupełnie do miniaturowej zapalniczki. Robiła zdjęcia strona po stronie. W pewnym momencie usłyszała,

że woda przestała ciec, a drzwi od łazienki skrzypnęły. Prędko położyła się na tapczanie.

— Ależ się długo myłeś! O, jak mi się spać chce...

Przeciągnęła się.

— Tu jest piżama, przebierz się, a ja tymczasem pościelę.

Spojrzał na biurko. Gazeta była zsunięta na brzeg, niebieska teczka zawiązana nieporządnie. Uśmiechnął się. Więc jednak... Rybka chwyciła haczyk.

— Mariola!

Podniosła znad poduszki głowę.

— Słucham. Co chcesz?

— Przepraszam cię. Zaraz wrócę, tylko na sekundę wpadnę do kolegi.

— A nie możesz rano? — spojrzała spod przymrużonych powiek.

— Oczywiście. Och, oczywiście, dobrze...

Mimo ciągłych zapewnień o senności Marioli zasnęli dopiero nad ranem.

Zbigniewa Sosnowskiego obudził natarczywy terkot budzika. Odruchowo nacisnął wyłącznik. Przetarł ręką oczy. Była za dziesięć siódma. Jeden rzut oka na kobietę śpiącą obok przypomniał mu wczorajszy wieczór.

„Trzeba w jakiś sposób wyciągnąć od niej personalia. Może napuścić Jurka? Tak, to dobry pomysł".

Pocałował Mariolę za uchem. Otworzyła oczy.

— Dzień dobry, śpioszku.

— Która godzina?

— Dochodzi siódma rano.

— Ojej!

— Poczekaj chwilę, maleńka. Nie chciałaś, bym po nocy pożyczał dodatkowe naczynia do śniadania, muszę teraz. W szafce znajdziesz pieczywo, masło, szynkę, jeden talerz i szklankę. Już pędzę.

— Przecież możemy pić z jednej szklanki.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby to dziś była niedziela.

— Pocałuj, bo nie puszczę.

Po chwili pukał do sąsiednich drzwi.

— Cześć, Zbyszek. Co cię przygnało?

— Słuchaj, Jerzy, zadzwoń do biura przepustek, by wylegitymowano taką jedną przystojną blondynkę. Potrzebne mi są jej personalia.

— Załatwione. Czy mają legitymować przy tobie?

— Nie, jak będę w pobliżu wartowni, wrócę się pod jakimś pozorem.

— Kapuję.

— Aha! Daj mi talerzyk, szklankę, nóż i widelec. Tylko szybko...

Kiedy wrócił do mieszkania, Mariola krzątała się, już ubrana. Stół był nakryty czystą serwetką. Woda gotowała się w czajniku.

Do bramy pozostało jeszcze około stu metrów. Sosnowski, idąc, zabawiał Mariolę rozmową. W pewnym momencie stuknął się ręką w czoło.

— Na śmierć zapomniałem!

— Co? — spytała zatrzymując się wpół kroku. — Co zapomniałeś?

— Niebieskiej teczki, którą przygotowałem na dziś na biurku.

— Nie pozostaje ci nic innego, tylko się wrócić.

— Idź wolno w kierunku bramy, a ja pobiegnę i szybko będę z powrotem.

— Dobrze.

Sosnowski szybkim krokiem ruszył do domu. Tuż za zakrętem zwolnił.

„Trzeba pozostawić ją na dłużej..."

„Dobrze, że poszedł, może uda mi się coś jeszcze sfotografować?"

Z torebki wyjęła zapalniczkę. Udając, że przypala papierosa, zaczęła robić zdjęcia.

W pewnym momencie podszedł do niej żołnierz.

— Co pani tu robi?

— Czekam na jednego majora.

— Czy ma pani przepustkę?

— Nie.

— Proszę na wartownię.

— Po co?

— Tam pani poczeka na tego majora.

Przeszli do wartowni. Oficer siedzący za barierką spojrzał na nią uważnie.

— Poproszę dokumenty.

— Przecież jestem znajomą majora.
— Nazwisko jego.
— Zbyszek...
— To jest imię, a mnie chodzi o nazwisko.
— Nie znam...
— Jak to? Znajomy i n i e z n a pani nazwiska? W takim razie poproszę o dokumenty.
Z ociąganiem wyjęła legitymację.
— Proszę.
„Mariola Sokolnikowska, córka Mariana i Anastazji, z domu Malewska, urodzona 11.1.1919 roku w Warszawie" — zaczął pisać w notesie.
— Gdzie pani mieszka?
— Adres jest podany w legitymacji.
Spojrzał na ostatnią stronę.
„Radość, ulica Źródlana 6".
Sokolnikowska spojrzała przez okno. Do wartowni zbliżał się major z niebieską teczką pod pachą.
— Oto mój znajomy.
— Zaraz się przekonamy.
— Przepraszam, majorze, ta pani podaje się za waszą znajomą. Czy to prawda?
— Co tu robisz, Mariola?
— Zatrzymali mnie i legitymują!
— Poruczniku, to nieporozumienie, ta pani przyszła w moim towarzystwie. Do widzenia, idziemy!
Ujął ją pod rękę.
— Przepraszam panią za nieporozumienie — dobiegło zza przymkniętych drzwi. — Do widzenia.
Odprowadził ją do Dworca Śródmieście.
Kiedy wracał do swego pokoju w Dowództwie Wojsk Lotniczych, porucznik czekał już z personaliami.
— Dawaj szybko, zadzwonię do Urzędu. Dziękuję! Cześć.
— Ładna babka, nie ma co — rzucił tamten na pożegnanie.
Major podszedł do telefonu.
— Poproszę z pułkownikiem Kowalskim.
— Kogo mam zameldować?
— Majora Sosnowskiego z Dowództwa Wojsk Lotniczych.
— Łączę.

— Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku. Mówi major Sosnowski z kontrwywiadu wojskowego przy Dowództwie Wojsk Lotniczych. Czy mógłbym do was wpaść? Powiedzmy, około dziesiątej?

— Dobrze.

**13.** Ósmego rano kapitan Brun podszedł do biurka, by jeszcze raz zajrzeć do akt przed wyjazdem do Otwocka. Wtem zadźwięczał telefon.

— Tu pułkownik Kowalski. Przyjdźcie, kapitanie, mam coś pilnego do zakomunikowania.

Tadek wszedł do tak dobrze znanego mu gabinetu.

— Słuchaj, Brun, ponieważ naczelnik wydziału „H" przechodzi na inne stanowisko, chciałbym was widzieć na jego miejscu.

— Towarzyszu szefie, czy to nie za wysoko dla mnie?

— Nie.

— Przecież to wielka odpowiedzialność, takie stanowisko, a ja... ja jestem bardzo zmęczony.

— Nie spodziewałem się po tobie, przyjacielu, że będziesz się asekurował, że będziesz bał się odpowiedzialności. Jaka szkoda, że Grenowi jeszcze się ciągnie ten nieszczęsny roczny urlop!

— Tak, on bardziej ode mnie zasługuje na to wyróżnienie. Towarzyszu szefie, źle mnie zrozumieliście, to nie lęk przed odpowiedzialnością, tylko ta propozycja oszołomiła mnie. Nie spodziewałem się takiego awansu, a poza tym Gren wraca już w kwietniu.

— To jak z tobą, Tadek? Przyjmujesz?...

— Muszę się zastanowić. Trudno tak od razu podjąć decyzję.

— Dobrze, zaczekam do siedemnastego.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Brun spojrzał na zegarek.

— Czy macie coś pilnego, kapitanie?

— Tak. O dziewiątej mam być w Otwocku.

Na biurku zadźwięczał telefon.

— W takim razie idźcie. — Podniósł słuchawkę. — Słucham. Kto chce ze mną mówić? Major Sosnowski z Dowództwa Wojsk Lotniczych? Połączcie.

— Co sprowadza was do mnie tak z samego rana? — odezwał się pułkownik po przywitaniu z Sosnowskim.

— Chcę podzielić się informacjami.

— Słucham.

— Wczoraj natrafiłem na szpiega z terenu waszego województwa.

— Tak?

— Jest to kobieta.

— Ciekawe... Czy możecie, majorze, powiedzieć, w jaki sposób stwierdziliście, że to szpieg?

— Miałem z nią kilka spotkań. Wczoraj po kolacji zaprosiłem ją do domu. Już kilka dni wcześniej zauważyłem, że kiedy wyszedłem z kawiarni do budki po papierosy, ona przejrzała moją teczkę. Postanowiłem zrobić zasadzkę. Przygotowałem fikcyjny plan zabezpieczenia lotnisk. Brzegi kartek leciutko posklejałem. Po przyjściu do domu pozostawiłem ją na jakiś czas samą w pokoju. Gdyby nie była szpiegiem, ruszyłaby tylko jedną stronę i odłożyła na bok, a tu, proszę zobaczyć — podał niebieską teczkę — wszystkie strony do końca są porozklejane.

Kowalski pochylił się nad teczką.

— Rzeczywiście! Czy macie personalia?

— Tak. Rano pod pretekstem powrotu po tę teczkę pozostawiłem ją na terenie jednostki. Tam ściągnięto ją do wartowni i spisano personalia. Oto one.

Pułkownik Kowalski przejrzał uważnie dane.

— Tak. To by się zgadzało. Dziękuję. Czy w razie czego, znajdę was, majorze, w DWL?

— Tak.

— Dziękuję jeszcze raz i do zobaczenia. Jeszcze jedno. Jeśli można, zostawcie teczkę.

— Dobrze.

— Do widzenia.

Po chwili pułkownik Kowalski znów podjął słuchawkę.

— Czy kapitan Brun jest jeszcze?

— Nie, nie ma go. Pojechał do Otwocka.

Brun po drodze wysiadł przez ciekawość w Radości. Wstąpił na posterunek. Komendant powiedział, że dzwonił Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa, prosząc o wystawienie dwóch milicjantów celem inwigilowania willi

mecenasa Sokolnikowskiego. Tadek zaniepokoił się nie na żarty. Poszedł w kierunku willi. Zatrzymał się z daleka i obserwował. Przed willą mecenasa Kazimierza Sokolnikowskiego spacerowało dwóch mundurowych milicjantów.

„Cholera, bałwany! Spalono robotę!"

Wrócił do Warszawy, by zameldować o wszystkim naczelnikowi. Nie zastał go.

Kiedy naczelnik wrócił z odprawy od pułkownika Kowalskiego do swego pokoju, zastał Bruna duszącego się ze złości.

— Ukarzcie tych durniów! — krzyczał Tadek.

Zadzwonił telefon. Naczelnik podniósł słuchawkę. Po chwili rzekł:

— Towarzyszu Brun, już po wszystkim. Są aresztowani. Siatka wroga przestała istnieć!

— Co za bzdura! Czy nie widzicie nic poza własnym pępkiem? Przecież w ten sposób złapaliśmy tylko małe płotki, ostrzegając tych, którzy stoją nad nimi!

Dziewiątego lutego w prasie ukazała się krótka notatka: „Organa bezpieczeństwa zlikwidowały w tych dniach niebezpieczną siatkę szpiegowską. Śledztwo w toku".

W tym samym czasie Tadek otrzymał polecenie wyjazdu do Otwocka z nakazem zabrania do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa „majora Krupińskiego", Sokolnikowskiego z żoną i Medweckiego. Kiedy szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa udał się do Radości, by ściągnąć Zygmuntowicza celem konfrontacji z aresztowanym Medweckim, okazało się, że ten pojechał do więzienia w Fordonie, ponieważ skończył mu się urlop.

Krupiński za przyczynienie się do szybszego zlikwidowania siatki otrzymał pochwałę od szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, pułkownika Kowalskiego.

Szef z Otwocka wysłał szyfrogram do więzienia w Fordonie, by natychmiast po zgłoszeniu się więźnia Ryszarda Zygmuntowicza przesłać go pod eskortą do dyspozycji Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie.

Na twarzy Bruna odbijało się zmęczenie. Gren sięgnął po butelkę. Napełnił kieliszki.

— Na zdrowie, Tadek.
— Nasze kawalerskie! O, przepraszam cię! Jak synek?
— Kończy za dwa miesiące rok.
— Życie ułożyło ci się nie najgorzej... Masz wspaniałą żonę, dziecko, dom... i ciekawą pracę przed sobą. Jeszcze dwa miesiące kwarantanny — i wracasz do kieratu.
— O, tak! Ale opowiadaj dalej. Nie mówisz już nic o Monice. Przecież mieliście się spotkać.
— Spotkaliśmy się, oczywiście. Ale to trwało krótko... Nie miałem wiele czasu. To... no, wiesz, kiedy byłem z nią... No, po prostu zapomniałem o tej całej sprawie. Ale to aresztowanie ojca... Jakoś nie mam odwagi... Ona wciąż nic nie wie o mnie...
Brun przerwał, zapalił nowego papierosa i ciągnął dalej, zmieniając temat.
— Próbowano różnych kluczy, dopiero dziś odszyfrowano część tekstu tajnopisu, wiesz, tego od Zygmuntowicza.
— Czy było tam coś ciekawego?
— Zaraz ci go streszczę, to się sam przekonasz. To, co jest, wygląda trochę niewiarogodnie.

Ściśle tajne
WIS-311
Warszawa 7 luty 1949 r.

Do Szefa Wydziału VIc Oddziału II CIC
Do rąk własnych
Berlin zachodni,
sektor VIII Karlsruhestrasse 76

Dot.: rozmieszczenia lotnisk dla samolotów odrzutowych

Sprawozdanie miesięczne agenta WIS-311.

Melduję, że na terenie województwa warszawskiego są w budowie cztery lotniska, na których będą mogły lądować bombowce odrzutowe o szybkości dochodzącej do 1 700 kilometrów na godzinę.
Pasy startowe lotniska Manice mają długość pięć kilometrów, szerokość — sto dwadzieścia metrów.

Takich pasów startowych jest w kierunku N — S sześć i W — E sześć, tak że jednocześnie może wystartować dwanaście maszyn. Poza tym na wyżej wymienionym lotnisku są założone najnowsze radary talerzowe o średnicy pięć metrów. (Zasięg radarów podam w następnym raporcie). Jak mi wiadomo ze źródeł poufnych, granice powietrzne państwa kontrolowane są od niedawna radarem. Drugie lotnisko o podobnej ilości pasów startowych jest położone w okolicach Andruszewa. Trzecie mieści się na Kaczence, czwarte w Smolinie. Specjalne materiały prześle agent WIS-37. Mikrofilmy lotnisk prześlę przez pułkownika WIS-01. Na terenie powiatu Zabłock ma być budowany przemysł zbrojeniowy. Bliższe dane w następnym raporcie...

Tak brzmiał tekst rozszyfrowanej części tajnopisu. Dalsży ciąg pisany był według innego klucza, dotąd nie spotykanego. Szyfranci męczyli się nad nim długo i jak dotąd — bezskutecznie.

Tego samego dnia nadeszła również odpowiedź wysłana czternastego lutego z więzienia w Fordonie, w której donoszono, że więzień numer 43346, to znaczy Ryszard Zygmuntowicz, nie zgłosił się oraz że wysłano za nim gończe listy.

— A wszystko razem... Sknocona robota, cholera. Jeszcze nie zaczęliśmy ich przesłuchiwać. Nie wiem, na co czekają.

Hubert spojrzał ze współczuciem na Tadka. Zamówił jeszcze dwie duże kawy. Po dłuższym namyśle odezwał się cicho.

— Słuchaj, dlaczego sknocona? Macie w rękach członków szajki szpiegowskiej, którzy nie nawiali mimo obstawienia ich przez mundurowych milicjantów. Pozostaje tylko do wyśledzenia osoba pułkownika WIS-01, wspomniana w szyfrogramie...

Brun milczał przez chwilę. Najwyraźniej zastanawiał się, jakimi słowami ma wypowiedzieć to, co go gnębiło. Wreszcie zaczął z wolna, niepewnie:

— Widzisz, Hubert, to wszystko wygląda mi mocno niewyraźnie... Poza zeznaniami tego smarkacza Zygmuntowicza nic nie wskazuje na zaangażowanie się

w pracę szpiegowską Mieczysława Medweckiego. Ja sam — no, nie bardzo wierzę w jego winę. Trudno mi udowodnić, dlaczego tak jest — przecież ta jego odmowa we Francji o niczym nie świadczy, mogła być z góry ukartowana — ale.. Po prostu nie wierzę i koniec! Kazimierz Sokolnikowski — tak, z tym się zgodzę. I może to nawet nie jest zwykła płotka... Ale Mieczysław Medwecki... Nie, nie, tu gdzieś tkwi błąd!

— A ekspertyza grafologiczna?

— Z tym gorzej Tajnopis był pisany pismem technicznym. Eksperci nie decydują się na wyraźne orzeczenie.

— Ciężka sprawa... Słuchaj no, Tadek. a ten pułkownik WIS-01?... Podejrzewasz kogoś?... Nie?... Tadek, pamiętaj o mojej starej historii. Szukaj początku tego łańcuszka wewnątrz. Tam musi ktoś tkwić, i to od dawna!

— Kto wie... Dawniej nie chciałem ci wierzyć, ale teraz... W każdym razie jedno przypomina tu „Trzy białe goździki" — wyłapujemy poszczególnych agentów, a wciąż nie wiemy, kto stoi poza nimi Sokolnikowski był na Marszałkowkiej u „Rudego" Był tam na czyjeś polecenie. To wykaże dopiero dalsze śledztwo.

Wyszli na ulicę. Dmuchnęła im w twarz zadymka. Zbierało się na śnieżną burzę.

— Nie opowiesz mi już o Monice? — Gren spojrzał uważnie na Tadka

— Dziś nie... Kiedyś później.. No cześć, stary, do zobaczenia! Postaram się do was wpaść za parę dni.

Gren obserwował oddalającego się Tadka, skurczonego, jak gdyby zmalałego.

## Część IV

# ZATRZYMAĆ LO-135

1. Gdy Ryszard Zygmuntowicz nie zgłosił się do więzienia, postawiono na nogi cały aparat bezpieczeństwa i milicję. I nic. Brun postanowił zacząć łagodnie przesłuchiwanie Sokolnikowskiego.

Po ustaleniu personaliów zadał pierwsze pytanie:

— Czy ukończył pan wyższe studia i jakie?

— Prawo kończyłem na Uniwersytecie Lwowskim, tam też zrobiłem doktorat.

— Czy studiował pan za granicą?

— Tak, w latach 1921—23 w Dreźnie i Heidelbergu.

— Proszę podać przebieg służby wojskowej.

— W 1916 roku wstąpiłem do legionów. Brałem udział w obronie Lwowa. Po powrocie z Niemiec zostałem powołany do Sztabu Generalnego.

— Pracował pan w Oddziale II?

— Nie.

— Proszę nie kłamać. Zaraz odczytam pańską ewidencję z Ministerstwa Spraw Wojskowych: „Kazimierz Sokolnikowski z dniem 1.1.1924 przeniesiony do Dowództwa Okręgu Pomorskiego na stanowisko Kierownika Oddziału II, awansowany do stopnia kapitana". Czy się coś nie zgadza?

— Wszystko w porządku.

— Kto pana zwerbował do wywiadu i kiedy?

— Generał Zagórniak w 1921 roku. Byłem oficerem łącznikowym.

— Czy wtedy wyjechał pan do Niemiec z zadaniem wywiadowczym?

— Tak.

— Co pan robił w czasie okupacji?

— Handlowałem walutą.

— Czy aby na pewno?

— Tak, no... i... ukrywałem się jako oficer przed Niemcami.

— Widzę, że pan ma krótką pamięć. Jestem zmuszony znów podpowiedzieć. Od października 1939 był pan w ZWZ. W 1941 roku na terenie Poznania kierował pan wywiadem AK. Od roku 1943 pracował pan dla NSZ, jednocześnie przekazując im materiały dotyczące AK. W lutym 1943 aresztowało pana Gestapo. Proszę mi wytłumaczyć, w jaki sposób udało się panu wyrwać stamtąd?

— W czasie transportu do obozu w Oświęcimiu uciekkłem z pociągu.

— Czy znał pan kapitana Wolfsa?

— Nie.

— Nie może być — bluffował Brun — on zeznaje, że pracował z panem w II Oddziale i że ułatwił panu wyjście z więzienia w 1943 roku. Dzięki niemu został pan agentem Gestapo.

— To szuja i karierowicz! Nie wierzcie mu.

— Czy i w to mam nie wierzyć, że był pan w Brygadzie Świętokrzyskiej?

— Dostałem się tam przypadkowo.

— Na stanowisko szefa wywiadu?

— Człowiek musiał coś robić.

— Z kim z wywiadu amerykańskiego skontaktował się pan w Brygadzie Świętokrzyskiej?

— On nie był z wywiadu.

— Tylko?

— Kurier.

— Dobrze, niech będzie kurier. Kiedy pan przeszedł do II Armii Wojska Polskiego?

— Po wyzwoleniu Kielecczyzny.

— Dlaczego pan zdezerterował pod Budziszynem?

— Ponieważ mnie zdemaskowano.

— Kto dał polecenie przeprowadzenia wywiadu u „Rudego"?

— Pułkownik „Rook".

— Gdzie odbywały się z nim spotkania? — pytania padały szybko jedno za drugim. — Kto to? Nazwisko? Jak wygląda?

— W małym domku na Obrońców w pobliżu Wału Miedzeszyńskiego. Jest to mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Chodzi w ciemnych okularach.

— Jego nazwisko?
— Nie znam.
Brun sięgnął po słuchawkę.
— Proszę wywiadowcę Kuśmirka.
— Słucham, Kuśmirek.
— Mówi Brun. Przyjdźcie natychmiast do mego pokoju.
— Zaraz będę, kapitanie.
Po chwili wszedł do pokoju.
— Posiedźcie tu chwilę, muszę wyjść.
Szybkim krokiem zbiegł po schodach na drugie piętro.
— Czy jest pułkownik?
— Tak.
— Proszę mnie zameldować, mam pilną sprawę.
Za chwilę znalazł się w gabinecie Kowalskiego.
— Co tam nowego, Brun? — spytał pułkownik.
— Sokolnikowski podał adres. Ulica Obrońców, numeru nie pamięta. Twierdzi, że jest to w pobliżu Wału Miedzeszyńskiego.
— Zaczekajcie, Brun. Czy to wam nic nie mówi?...
— Rzeczywiście. Tam przejechano pielęgniarkę Nowakowską.
— Nie tylko, tam, w pobliżu, jest lokal, z którego korzystamy wespół z Ministerstwem.
— Trzeba zawieźć Sokolnikowskiego na miejsce. Niech pokaże... — i Tadek wypadł z gabinetu, pułkownik Kowalski zaś, nie zwlekając, połączył się z Ministerstwem, aby dowiedzieć się, kto najczęściej korzystał z lokalu na Obrońców.
Okazało się, że lokalu tego używa trzy razy w tygodniu kapitan Masnowski.
— Czy mógłbym z nim porozmawiać? — spytał Kowalski dyrektora departamentu „H".
— Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe, chyba Masnowski już odleciał samolotem do Berlina.
— Czy możecie go odwołać?
— Nie. Ma tam załatwić bardzo ważne sprawy.
— O której odlatuje?
— Samolot startuje o 11.15.
Kowalski spojrzał na zegarek. Była jedenasta czternaście.
— Dziękuję. Do widzenia.
„Cholera, za późno!" — pomyślał.

Kapitan Masnowski spojrzał na zegarek. Była jedenasta dwanaście. Za trzy minuty odleci do Berlina. Kurczowo zacisnął rękę na teczce. Od samolotu dzieliło go kilkanaście metrów.

— Obywatelu, proszę zgasić papierosa, zaraz będzie odlot.

Przy wejściu na pole startowe sprawdzono jeszcze raz rozkaz wyjazdu.

— W porządku, dziękuję.

Zamknięto drzwi. Huk silników — i za oknami zaczął przesuwać się coraz szybciej pas startowy. Jeszcze kilka wstrząsów maszyny i samolot uniósł się w powietrze. Nabierał wysokości.

— Proszę mi powiedzieć — zwrócił się porucznik Chmiel do Sokolnikowskiej — co to jest? — pokazał jej zapalniczkę.

— Jak to, nie widzi pan? Zapalniczka.

— Czy to pani własność?

— Tak.

Chmiel wyjął z niej aparat fotograficzny.

— A to, czy też należy do pani?

— Tak.

— Tu są odbitki z wywołanego filmu. Nawet ładne jak na fotoamatora.

Podsunął jej przed oczy fotokopie „planów zabezpieczenia lotnisk".

— Czy podejrzana wie, że plan ten był fikcyjny?

— A to oszust, łobuz! Odpowie mi za to. Składam zażalenie: ten major zaciągnął mnie przemocą do swego mieszkania i zgwałcił.

— I zmusił do robienia tych zdjęć?

Umilkła.

— Więc podejrzana przyznaje się do popełnienia przestępstwa z artykułu 1 dekretu z roku 1946?

— Nie rozumiem.

— Jako żona prawnika powinniście się orientować. Jest to artykuł traktujący o szpiegostwie.

— Odmawiam zeznań.

Samochód zajechał przed Urząd na pełnym gazie. Puł-

kownik Kowalski usiadł obok Kryspina, a na tylnym siedzeniu zajęli miejsca Brun, Sokolnikowski i Kuśmirek.

Już po kilku minutach szary citroen jechał wolno ulicą Obrońców.

— To tu — wskazał Sokolnikowski na odosobnioną willę — te dwa okna po lewej stronie.

Pułkownik wymienił z towarzyszami porozumiewawcze spojrzenie.

— My tu zostaniemy z kapitanem — a wy, Kryspin, wracajcie z Kuśmirkiem i z podejrzanym do Urzędu.

Chwilę patrzyli za znikającym na zakręcie samochodem, a potem Kowalski spytał:

— I cóż wy na to, kapitanie?

— Teoria Grena sprawdza się...

Weszli po schodkach. Kowalski otworzył drzwi posiadanymi kluczami.

— Całkiem przyjemne gniazdko.

Sięgnął po słuchawkę.

— Halo! Czy to komendant lotniska Okęcie?

— Tak.

— Dzień dobry, towarzyszu, mówi Kowalski z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

— Cześć, pułkowniku!

— Czy można zawrócić samolot z trasy?

— Który?

— Ten, co odleciał o 11.15 do Berlina.

— Czy coś poważnego?

— Tak. Usiłujcie go ściągnąć na ziemię. Jest tam jedna osoba, którą się interesujemy. Każcie pilotom rozpuścić pogłoskę, że coś nie gra, cokolwiek, byleby wylądował w Poznaniu. Teraz jest godzina 12.30. Muszą być w pobliżu Poznania.

— Zaraz. Spróbuję!

— Z góry dziękuję. Halo, jeszcze jedno: starajcie się zatrzymać pasażerów do następnego telefonu.

— To będzie trudne.

— To jest konieczne. Do usłyszenia.

— Cześć, pułkowniku.

Kowalski zwrócił się do Tadka.

— Brun, zostaniecie tu, dopóki nie wezwę kogoś do pomocy.

— Jeśli coś znajdziemy, to od razu zadzwonię, szefie.
Pułkownik znowu zdjął słuchawkę.

— Halo? Czy major Mitkowski?

— Tak.

— Tu Kowalski. Podrzućcie ekipę i wóz z Kryspinem po mnie na Obrońców.

— Będą za dziesięć minut.

— Dobrze, czekam.

— Halo, LO-135, halo LO-135, tu baza, tu baza. Jak mnie słyszycie? Jak mnie słyszycie? Odbiór.

— Halo, baza, halo, baza, tu LO-135, słyszę was dobrze.

— Halo, LO-135, tu baza, przyjmijcie radiogram:

„Natychmiast lądować na najbliższym lotnisku. Nie wypuszczać pasażerów. Jako przyczynę podać zatarcie silnika. Start dopiero po moim zezwoleniu. Podpisał

Komendant lotniska
(—) H. Mirecki, mjr"

— Halo, baza. Zrozumiałem, potwierdzam. Zbliżamy się do Poznania.

Radiotelegrafista Walendziak podszedł do pierwszego pilota.

— Patrz, co stary przysłał.

— Co się stało?

— Nie wiem.

Pilot szybko przeczytał radiogram.

— Dobrze, zaraz zacznę wyłączać i włączać dopływ paliwa.

Po chwili silnik zaczął się krztusić i przerywać.

Kapitan Masnowski spojrzał na zegarek. Była 12.33. Jeszcze półtorej godziny, a znajdzie się na berlińskim lotnisku. Pociągnął porządny łyk koniaku z płaskiej butelki. Z zainteresowaniem oglądał krajobraz przesuwający się pod samolotem.

Zdjął okulary. Miękkim fularem przetarł szkła. Z oczami krótkowidza wyglądał jak bezbronne dziecko. W pewnym momencie jego wyczulone ucho uchwyciło nienormalny stukot motoru.

— Przepraszam, obywatelu — zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny. — Zdaje mi się, że coś z silnikiem nie w porządku.

— Nie ma obawy. Douglasy są najlepszymi maszynami.

— A jednak... Posłuchajcie.

Teraz wyraźnie było słychać przerywany stuk silnika.

— Rzeczywiście.

W tym momencie zza przepierzenia wyszedł radiotelegrafista.

— Proszę się nie niepokoić. Zaraz lądujemy. Za pięć minut będziemy na lotnisku w Poznaniu.

— Czy to coś poważnego?

— Nie.

Za oknami ukazały się budynki Poznania. Samolot zaczął się obniżać. Podchodził do lądowania.

— Jak to dobrze, że już ziemia — powiedział sąsiad Masnowskiego.

— Powiedzcie, Sokolnikowski, czy to wasze „Poznańskie"?

— Tak.

Oficer śledczy zaczął systematycznie rozpruwać papierosy. Spośród tytoniu wypadały mikrofilmy i zwitki bibuły.

— Ładne miejsce na przechowywanie materiałów szpiegowskich.

— Skąd wiedzieliście?

— W podobny sposób wysyłałem grypsy na Pawiak w czasie okupacji.

— A ja myślałem, że to mój wynalazek.

— Niestety, nie wasz. Czy przyznajecie się do pracy dla obcego wywiadu?

— Tak.

— Proszę podpisać protokół.

— Jak długo będziemy stali w Poznaniu? Przecież to miało potrwać kilka minut — denerwował się rozmówca Masnowskiego. — Złożę zażalenie do ministra! — krzyczał do komendanta lotniska. — Mnie się spieszy! Proszę dać zapasową maszynę.

— Bardzo mi przykro! — Rozkładał bezradnie ręce komendant. — Zapasowego samolotu nie posiadamy. Nie spodziewaliśmy się, że tak długo potrwa naprawa. Proszę zaczekać cierpliwie. To już naprawdę niedługo. Mechanicy pracują bez chwili wytchnienia. Mieliście państwo szczęście, że samolot był blisko lotniska. Jak tylko ukończymy naprawę, będziecie państwo mogli kontynuować podróż. Jeszcze raz przepraszam.

Wyszedł do drugiego pokoju.

— Połączcie mnie z Warszawą.

— Zaraz łączę. Halo, Warszawa, tu Poznań. Będzie mówić komendant.

— Halo, Poznań, przechodzę na odbiór.

— Jak długo mam wstrzymywać lot? Ludzie chcą mnie rozszarpać. Grożą ministrem.

— Czekajcie cierpliwie. Sami czekamy na zezwolenie lotu.

Komendant lotniska Okęcie nakręcił numer Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa.

— Halo, czy pułkownik Kowalski?

— Przy aparacie.

— Tu komendant lotniska Okęcie. Towarzyszu, jak długo trzymać samolot?

— Bądźcie cierpliwi. Jeżeli będę coś wiedział, od razu dam znać.

2. Pokój pogrążony był w półmroku. Story szczelnie zasłaniały szerokie weneckie okno, nie przepuszczając promieni słonecznych. Brun nie chciał, by ktoś postronny zauważył, że coś się dzieje w tym opuszczonym, od kilkunastu godzin nie sprzątanym mieszkaniu, toteż nie rozsuwał kotar, tylko zapalił osłoniętą abażurem lampę, stojącą na biurku. W głębokiej ciszy przeszukiwano wszystkie zakamarki. Opukiwano ściany w poszukiwaniu skrytki. Ale jak dotychczas — bez rezultatu...

Za oknami zapadł zmierzch. Rewizja trwała od siedmiu godzin i nie znaleziono nic. Pułkownik Kowalski telefo-

nował kilkakrotnie, pytając o wyniki. Zaczęto już obmacywać centymetr po centymetrze całe biurko i... nic.

— A może by zająć się tym piecem? — zapytał wywiadowca Kuśmirek. — Wszystko poza nim już przeszukaliśmy: łazienkę, przedpokój, kuchnię...

— Nie, raczej nie piec. Jest chyba zbyt masywny.

— Spróbujmy.

Solidny piec zrobiony był z holenderskich kafli. Jak się tu do niego zabrać? Może ściągnąć zduna? Ech, lepiej nie!

Zaczęli opukiwać. W pewnym momencie coś drgnęło, zachrzęściło i dolna połowa pieca wysunęła się jak szuflada. Patrzyli jak urzeczeni. Nie, to był szatański pomysł z tym piecem.

Na samym dnie znaleziono pistolet kaliber 9. Przesłano go do ekspertyzy. Tymczasem gorączkowo przeglądano papiery. W ręce Bruna wpadł skorowidz nazwisk. Pod numerem WIS-37 krył się mecenas Kazimierz Sokolnikowski, a pod WIS-311... nie, to nie był Mieczysław Medwecki, lecz Ryszard Zygmuntowicz. Nazwiska Medweckiego nie było w ogóle.

Brun szukał śladu „zamiatacza". Przeglądał skorowidz, szukał daty... Znalazł. Znalazł pod dniem, w którym był ranny Gren, skreślone nazwisko. „Podporucznik Jacek Czystoń WIS-25, skreślony z ewidencji szesnastego listopada 1947 roku".

Zaraz, zaraz — szesnastego listopada 1947 roku znaleziono w Zaciszu nieboszczyka bez dowodów. Szukał dalej. Pod numerem WIS-33 było nazwisko pielęgniarki ze szpitala MBP, Barbary Nowakowskiej. Przy niej notatka: „Zlikwidowana przez WIS-22".

Brun zajrzał jeszcze pod numer WIS-22. Tak, to był pracujący niegdyś w Ministerstwie szofer kapitana Masnowskiego, który zginął na przejeździe kolejowym w kwietniu 1948 roku.

Na dnie szuflady leżało pudełko. Brun otworzył je ostrożnie. Znajdowała się w nim strzykawka i kilkanaście ampułek witaminy $B_1$.

— Trzeba je będzie przesłać do analizy w Zakładzie Medycyny Sądowej — powiedział Tadek do Kuśmirka.

Potem podniósł słuchawkę.

— Poproszę pułkownika Kowalskiego... Towarzyszu puł-

kowniku, melduje się kapitan Brun. Rewizję wykonano. Znaleziono cenne materiały. Proszę o przysłanie samochodu i kilku wywiadowców w celu zabrania akt i założenia kotła.

— Halo, Poznań, halo, Poznań. Łączę Warszawę.
— Tu oficer dyżurny WUBP Poznań.
— Mówi szef WUBP Warszawa, pułkownik Kowalski.
— Słucham, towarzyszu szefie.
— Natychmiast wysłać na lotnisko kilkunastu funkcjonariuszy.
— Tak, rozumiem.
— Proszę tę sprawę załatwić ostrożnie. Osoba, którą macie aresztować, jest uzbrojona i może się bronić. Użyjcie wybiegu.
— Kogo mamy zabrać?
— Masnowskiego.
— Kogo?
— Naczelnika wydziału „S", departamentu „H".
— Tak jest.
— Życzę powodzenia.
Odłożył słuchawkę. Odczekał kilkanaście minut.
— Połączcie z Okęciem.
— Słucham, Okęcie.
— Proszę majora Mireckiego.
— Słucham, przy aparacie.
— Tu Kowalski. Samolot można puścić dopiero po przybyciu funkcjonariuszy na lotnisko.
— Rozumiem.
— Dziękuję, majorze, za przytrzymanie.

— Przygotować dwa samochody — wydał polecenie oficer dyżurny. — Jedziemy na lotnisko. Tylko, chłopcy, ostrożnie, gość ma broń. Żeby nie było strzelaniny.
— Tak jest.
— Dwa szare citroeny ciągnęły pełnym gazem w stronę lotniska.
— Szykuje się poważna robota. Nie ma który z was pietra?
— Nie.

— Obstawiajcie wyjścia. Dwóch wejdzie ze mną do kapitanatu. Pamiętajcie. Ja wywołuję gościa do telefonu. Słuchawka na biurku Kiedy będzie miał ręce zajęte, zastawiacie go pistoletami, następnie bransoletki, do wozu i z powrotem do Urzędu. Teczkę zabrać. Nie wdawać się w pogaduszki. Uważać, by nic nie połknął. Musi być żywy. Zrozumieliście?

— Tak.

— No, uwaga, dojeżdżamy.

Bocznym wejściem podjechali pod kapitanat.

— Szybko zajmować stanowiska, tylko cicho.

Oficer dyżurny otworzył drzwi.

— Dobry wieczór.

— Nareszcie jesteście...

— Towarzyszu, poproście tu obywatela Masnowskiego. Powiedzcie, że jest do niego telefon z Warszawy.

— Już się robi. Uwaga, uwaga! Obywatel Masnowski proszony jest do kapitanatu.

— Odłóżcie słuchawkę, żeby wyglądało, że rzeczywiście jest telefon.

Po chwili do pokoju kapitanatu wszedł mężczyzna w szarym prochowcu, z teczką w ręku.

— Gdzie ten telefon?

— Tutaj.

Uważnie rozejrzał się po pokoju.

— Co wy tu robicie, towarzyszu?

— Prowadzę dochodzenie w sprawie zatarcia silników, towarzyszu kapitanie.

— Aha...

Szybkim krokiem podszedł do aparatu.

— Halo, mówi Masnowski.

— Ręce do góry, nie ruszać się.

Dwóch wywiadowców wykręciło do tyłu ręce agentowi WIS-01. Usiłował się wyrwać. Bezskutecznie. Był trzymany jak w kleszczach.

— Co to ma znaczyć Każę was jutro zwolnić dyscyplinarnie Proszę natychmiast puścić!

Kajdanki zatrzasnęły się na przegubach.

— Spokojnie, kapitanie. Mam nakaz aresztowania was.

— To bzdura. Kto go podpisał?

— Pułkownik Kowalski.

— Co on ma do gadania, jestem pracownikiem Ministerstwa.

— Nie wiem. No, już dość rozmów. Jedziemy.

Od samego rana pułkownik Kowalski był już u dyrektora departamentu „H".

— Towarzyszu dyrektorze. Przedstawiam wniosek aresztowania kapitana Masnowskiego. Jako załącznik macie tutaj wynik rewizji w używanym przez niego lokalu Ministerstwa i WUBP na Saskiej Kępie przy ulicy Obrońców.

— Przecież Masnowski jest w Berlinie.

— Nie. W związku ze sprawą „Trzech białych goździków" aresztowano go wczoraj na lotnisku w Poznaniu.

— Za co go aresztowaliście?

— Za pracę na rzecz obcego wywiadu Za kierowanie siatką dywersyjno-sabotażową. Za zamordowanie obywateli: Jacka Czystonia, Barbary Nowakowskiej, milicjanta Woźniaka i za przyczynienie się do wyłączenia na przeszło rok z pracy w aparacie bezpieczeństwa kapitana Grena, który prowadził tę sprawę.

— To nie do wiary

— Mam nadzieję, że bardzo ciekawe materiały znajdziemy przy aresztowanym.

— Gdzie on jest teraz?

— Powinien już być w pokoju obok.

— Każcie go wprowadzić.

— Dobrze.

Pułkownik Kowalski podszedł do drzwi.

— Proszę do środka, Masnowski.

— Towarzyszu pułkowniku, dokładna rewizja osobista nic nie wykazała — zameldował konwojujący oficer.

Na biurku rozłożono rzeczy znalezione w teczce Wśród bielizny osobistej i przyborów toaletowych poniewierało się kilka pudełek „Poznańskich".

— Po co wam tyle papierosów?

— Żeby nie wydawać marek w Berlinie.

— Aha... Oszczędność?

— Tak.

— Wyprowadźcie aresztowanego — powiedział Kowalski. Zaczął rozrywać papierosy.

— Co to? — zapytał dyrektor.

— Mikrofilmy.

— W jaki sposób wpadliście na to?

— Odkrył to oficer śledczy, przesłuchujący Kazimierza Sokolnikowskiego.

— A jak doszliście do Masnowskiego?

— Urządził sobie podwójny lokal konspiracyjny. Przyjmował tam oficjalnie współpracowników aparatu bezpieczeństwa, a korzystając z wyjątkowej okazji, urządził punkt dla spotkań ze swą agenturą. Nawet gdyby ktoś z Ministerstwa przyszedł przeprowadzić kontrolę, zastałby Masnowskiego z kimś obcym; przecież agenci nie są osobom nie zainteresowanym znani. Trudno byłoby udowodnić, że spotykają się tam szpiedzy.

— Sprytnie pomyślane.

— Tak, towarzyszu dyrektorze, trudno było wpaść na trop. Ale każdy popełnia błędy. Popełniał je i Masnowski. Poza tym kapitan Brun miał swoje spostrzeżenia i podejrzenia, które bardzo wnikliwie uzasadnił.

— Wyjaśnijcie bliżej, pułkowniku.

— Bardzo chętnie. Uwagę Bruna zwróciła chociażby nagła chęć ujrzenia kapitana Grena w szpitalu w chwilę po dowiedzeniu się, do kogo idziemy z wizytą, i zaraz potem zamach za pomocą granatu. To było zastanawiające, że po nieudanym zamachu pielęgniarki, która była agentką, od razu wiedziano, gdzie został przeniesiony nasz chory. Kto poza mną i kapitanem Brunem mógł wiedzieć, że okna separatki wychodzą na ulicę? Tylko Masnowski. Pielęgniarka zginęła, więc nie mogła powiedzieć, gdzie leży Gren. Toteż tylko on, po dokładnym zapoznaniu się z terenem, mógł dokonać tej akcji.

A właściwie wszystko zaczęło się dzięki kapitanowi Grenowi, dzięki odcyfrowaniu odcisków palców ze stuzłotówki. Tędy doszliśmy do Kazimierza Sokolnikowskiego, *vel* Włodzimierza Sokalskiego, *vel* Kazimierza Szokalnickiego. Oczywiście, Masnowski miał swój udział w obsadzeniu wielu stanowisk przez niezbyt udolnych pracowników. Śledztwo trwało więc długo. Ale wróg, obawiając się kapitana Grena, nie docenił zarazem talentu operacyjnego, energii i wytrwałości kapitana Bruna, no i w ogóle wielu naszych ludzi. Ci nieudolni — to, na szczęście, nieliczne wyjątki. No tak... A teraz mamy je-

szcze meldunek złożony przez Ryszarda Zygmuntowicza, który miał podobno napisać Mieczysław Medwecki.

— Więc nie jesteście pewni, czy to on pisał?

— Jeszcze nie, próbki jego pisma, według zdania ekspertów, są różne od pisma w tajnopisie. Dopóki tego nie wyjaśnimy, musi siedzieć w areszcie, choć osobiście jestem pewny jego niewinności. Wypuszczenie jego zależy od szybkiego ujęcia więźnia Ryszarda Zygmuntowicza, który obecnie się ukrywa.

— Dziękuję wam, pułkowniku.

— Nie mnie. Podziękujcie towarzyszom: Grenowi, Brunowi, Krupińskiemu, Kuśmirkowi i wielu innym, którzy swą ofiarną pracą przyczynili się do zlikwidowania siatki.

— Tak, macie rację.

— Towarzyszu dyrektorze.

— Słucham.

— Mam do was prośbę.

— Każda wasza prośba zostanie spełniona.

— Proszę o pozwolenie na szybszy powrót do pracy towarzysza Grena.

— Załatwione.

3. Pułkownik Kowalski zakończył długą, wyczerpującą rozmowę z Brunem. Była ona poświęcona wynikom rewizji przeprowadzonej na Saskiej Kępie. Przed pożegnaniem spojrzał uważnie na zmęczoną, zobojętniałą twarz Tadka.

— Siadaj tu, bliżej koło mnie, Brun. Chcę z tobą porozmawiać niezupełnie służbowo — powiedział cicho, niemal serdecznie. — Powiedz mi, czy ty nie nadużywasz, chłopie, swego stanowiska?

— Nie rozumiem...

— To co w takim razie mają znaczyć te częste i długie spotkania z Moniką Medwecką?

— To wiecie już o tym... No, tak... Nie chciałem mówić dotąd... Trudno, szefie, wpadłem. No, wzięło mnie. Ja nic nie wykorzystuję. Po prostu, chciałbym... ona... i ja...

— Chłopie, opamiętaj się, o czym ty mówisz?

— Czy nie można kochać córki aresztowanego? Zresztą Mieczysław Medwecki siedzi niewinnie. Na pewno! Zrozumcie, szefie, on ma stuprocentowe alibi. W czasie,

w którym miał niby to dawać dolary i spotykać się z tym szczeniakiem, był w Paryżu. Nie mógł jednocześnie załatwiać tam spraw handlowych i być szpiegiem w Warszawie. Tu jest jakaś cholerna pomyłka! Mówiłem już o tym tyle razy — bezskutecznie. On powinien być na wolności.

— Tak, zgadzam się z tobą, być może masz rację, ale złap szczeniaka, tego Zygmuntowicza, a daję ci oficerskie słowo honoru, że stanę na głowie i wydobędę go. Tylko zrozum, chłopak musi mieć udowodnione i przyznać się, że to on pisał.

— Tak... Rozumiem to, szefie...

— Jeszcze jedno. Tadek. Czy dziewczyna wie, gdzie pracujesz?

— Nie, boję się jej powiedzieć, bo nie chcę jej stracić. Przecież to my... jej ojca...

— Powiedz jej całą prawdę. Jeżeli cię kocha, zrozumie, będzie chciała zrozumieć. Tak...

Z archiwum wygrzebano odciski palców nieznanego denata z ulicy Mokrej. Pasowały jak ulał do odbitek z kartoteki WIS-01, znajdujących się pod nazwiskiem Jacka Czystonia. Pocisk wystrzelony ze znalezionego pistoletu był identyczny z pociskiem wyjętym z rany Grena. W ten sposób zakończono po roku sprawę „Trzech białych gozdzików". Opierając się częściowo na dalszym śledztwie, częściowo czerpiąc dane ze skorowidza, zlikwidowano największą i najbardziej niebezpieczną siatkę szpiegowsko-dywersyjną.

Analiza przeprowadzona w Zakładzie Medycyny Sądowej wykazała, że w ampułkach witaminy $B_1$ jest trucizna. Ta sama, od której zginął „zamiatacz" i milicjant w szpitalu na Żelaznej.

Przez ostatnie tygodnie Hubert nie spotykał się z Tadkiem. Każdy z nich był pochłonięty własnymi sprawami. Gorączkowy pośpiech tego okresu przyczynił się do chwilowego, nie zamierzonego zresztą, przerwania kontaktu. Gren przygotowywał się do przyjęcia nowego stanowiska w Ministerstwie.

Spotkali się znowu w kwietniu 1949 roku, w mieszkaniu Grena. Wyczerpawszy zawsze frapujący dla Huberta temat jego syna i niezmiennie ubóstwianej Teresy, zaczęli omawiać szczegółowo sprawę „Trzech białych goździków", jej powiązania, komplikacje, wspólny w niej udział. Wreszcie Gren zainteresował się nie znanymi mu dotąd szczegółami zakończenia całej historii.

— Teraz powiedz, co się stało z tym niby głównym bohaterem — sierżantem Mieczysławem Medweckim.

— Poczekaj, wyjaśnię wszystko kolejno. Mieczysław Medwecki nie przyznawał się do winy. Porównywaliśmy charaktery pisma. Nie pasowało. Sprawdzaliśmy z pismem córki. Też nie. Pobraliśmy próbki pisma od żony Mieczysława Medweckiego — i tu czekało nas fiasko. Zaczęliśmy szukać. Może ktoś jeszcze należał do paczki? Ktoś, kogo nie wybrały nasze sieci? Nie dawało to żadnego rezultatu. Dopiero w marcu 1949 roku aresztowano pod Terespolem Ryszarda Zygmuntowicza. Sciągnęliśmy go do Warszawy. Porównaliśmy próbkę jego pisma z tajnopisem. Przecież wiesz, ze cały czas podejrzewałem smarkacza. Tak, to on napisał. Oczywiście, zarówno od Medweckich, jak i od niego, braliśmy próbki pisma wykonane pędzelkiem — tak jak „wymalowany" był szyfrogram. Kiedy mu w śledztwie pokazano dowody winy, po długich wykrętach przyznał się. Mam tu zresztą protokół śledztwa:

> — Dlaczego zrobiliście z Mieczysława Medweckiego szpiega?
>
> — Z zemsty.
>
> — Wytłumaczcie jaśniej.
>
> — Medwecki od samego początku nie był chętny moim zalecankom do jego córki. Kiedy w styczniu po powrocie z Francji powiedziałem mu, że chcę się z nią żenić, przegonił mnie. Ostatecznie na napisanie tajnopisu zdecydowałem się pierwszego lutego po rozmowie z nim i córką na stacji. Moją propozycję małżeństwa w ogóle wykpił, a ona patrzała na mnie jak na wariata. Powiedziałem, że się zemszczę, i uczyniłem to.
>
> — Skąd wiedzieliście, że Masnowski jest zaangażowany w obcym wywiadzie?
>
> — Przez zwykły przypadek. Podczas przesłuchiwania mnie w 1948 roku do pokoju wszedł akurat kapi-

tan Masnowski. Wzrokiem dał mi do zrozumienia, żebym milczał. Wtedy wymieniono jego nazwisko. Gdybym nawet zdradził go, nikt by nie uwierzył w to, co mówię, a ja na pewno zostałbym wykończony. Wolałem milczeć.

— Skąd wiedzieliście, że Kazimierz Sokolnikowski też jest związany z obcym wywiadem?

— Przed moim aresztowaniem w 1948 roku podczas jednego spotkania pułkownik WIS-01, czyli Masnowski, powiedział mi, że przejdę pod opiekę kapitana WIS-37 W styczniu mecenas Sokolnikowski — chcąc mnie wybadać, czy współpracuję z bezpieczeństwem — podszył się pod pracownika UB. Kiedy się zorientowałem w pomyłce, zniknąłem na miesiąc z Warszawy, a w raporcie zdekonspirowałem go za karę, że mnie zmusił do przyznania się do współpracy z szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa z Otwocka.

— Powiedzcie mi, Zygmuntowicz, dlaczego złożyliście fałszywą informację na posterunku milicji w Radości?

— Chciałem się przekonać, czy rybka chwyci. Kiedy to się udało, miałem jedyną okazję zarobienia bez narażania się osiemdziesięciu tysięcy, no i wolności. Czy nie rozumie pan? Chodzić swobodnie po ulicy za bzdury wyssane z palca — to najlepszy numer!

— No tak, ale dopóki nie mielibyśmy konkretnych wyników, nic byś nie otrzymał.

— Nie spodziewałem się tego. Myślałem, że wszystko dacie.

— Z czego żyliście w czasie ukrywania się?

— Otrzymałem trzydzieści tysięcy od Willego z „Polonii" za „Tissota", oraz trzy tysiące od szefa bezpieki z Otwocka.

— Kto to jest Willi?

— Wiolonczelista. Trudni się skupem kazionnych rzeczy.

— To znaczy paser?

— Może być i tak.

— U kogo się ukrywaliście?

— U takiej jednej babki, Misi.

— Kto to jest i gdzie mieszka?

— Prostytutka. Mieszka na Żoliborzu, ulica Towiańskiego, numeru nie pamiętam, ale mogę pokazać.

— Dlaczego się ukrywaliście?

— W domu powiedziano mi, że jakiś gość dowiadywał się kilkakrotnie o mnie. Domyślałem się, że szef chce mnie zlikwidować, aby się zabezpieczyć przed wsypą. Później wolałem zwiać, bo gdybyście mnie od razu znaleźli, to Mieczysław Medwecki już by dawno wyszedł.

Zapanowała chwila milczenia. Wreszcie Hubert odezwał się pierwszy.

— To jednak pętakowi się udało! A ten nieszczęsny Medwecki też posiedział niewinnie dwa miesiące. A co z tym smarkaczem?

— Dostał 15 lat łącznie z poprzednią karą. Mieczysława Medweckiego zrehabilitowano, dano mu odszkodowanie.

— Czy tajnopis odszyfrowaliście do końca?

— O tak. Szyfr był dziecinny — dlatego trudny. Dalej brzmiało to mniej więcej tak:

„Kochane bezpieczniaki. Wszystko, co napisałem do tego miejsca, jest kompletną, wyssaną z palca bzdurą. Pocałujcie mnie w nos. Wasz pilnie poszukiwany przyjaciel Ryszard Zygmuntowicz, agent WIS-311".

— Cholerny smarkacz! A poza tym... Nie mówisz mi nic o sobie... O sprawach osobistych...

— No cóż... Pracuję dalej. Zżyłem się już z tym wszystkim. Był czas, że chciałem dać nogę, zmienić firmę. Ale teraz zostaję. A tobie serdecznie gratuluję awansu na majora i na stanowisko naczelnika wydziału w Ministerstwie.

— Dziękuję. Ale do tej pory nie powiedziałeś, co z Moniką. Poszła w niepamięć — jak tyle innych?

— Zwariowałeś! Monika! Żenię się, do cholery!

Gren wybuchnął śmiechem.

— Ty? Ty, wróg kobiet?

— No to co? Monika to Monika, i już...

— A wiesz co? Przyniosę wam w dniu ślubu trzy piękne, pachnące białe goździki...

*Warszawa, styczeń 1962 r.*

Redaktor techn. Alfreda Kaska
Korektor Halina Maryańska

„Książka i Wiedza", Warszawa, sierpień 1962 r. Wydanie I. Nakład 30 000+260 egz. Obj. ark. wyd. 10,5. Obj. ark. druk. 11,25 (9,1). Papier dzieł. masz. gł. kl. V, 65 g, 82×104 cm. Oddano do składu 5. V. 1962 r. Podpisano do druku 6. VI. 1962 r. Druk ukończono w lipcu 1962 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Piotrkowska 86. Zam. nr 232/A/62.
A-3. Cena zł 15.—

*Sześć tysięcy sto dwudziesta ósma publikacja „KiW"*



Cena zł 15.—